
THE LIBRARY OF CONGRESS

ŹRÓDŁA DO DZIEJÓW POLSKI POROZBIOROWYCH III.

MIKOŁAJA MALINOWSKIEGO
KSIĘGA WSPOMNIEŃ

WYDAŁ

JÓZEF TRETIAK.

W KRAKOWIE
NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
1907.

Malinowski, Mikołaj.

ZRÓDŁA DO DZIEJÓW POLSKI POROZBIOROWYCH III.

MIKOŁAJA MALINOWSKIEGO
KSIĘGA WSPOMNIEŃ

WYDAŁ

JÓZEF TRETIAK.

W KRAKOWIE
NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
1907.



Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod zarządem J. Filipowskiego.

OD WYDAWCY.

Mikołaj Malinowski należał do tej młodzieży filareckiej, która się stała chlubą uniwersytetu wileńskiego i tak wielkie mu nadała znaczenie w dziejach polskiej oświaty. Jego zasługi naukowe polegają głównie na wydawaniu materyałów historycznych w czasach, kiedy dla braku poparcia mało kto się tem zajmował. W latach 1843—1844 Malinowski wydaje *Źródła do dziejów Polski*, w r. 1846 *Kronikę Stryjkowskiego*, od 1846 do 1849 *Kronikę Wapowskiego* w przekładzie. Jemu też zawdzięczamy wcześniejsze o lat dwadzieścia od tych wydawnictw wydanie *Jerozolimy Wyzwolonej* Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego, opatrzone obszerną przedmową (Wilno 1826). Już to wydanie zjednało mu sławę uczonego; później sława ta tak wzrosła, że Jul. Bartoszewicz w swojej *Historyi literatury polskiej* nazywa go »jednym z najuczeńszych mężów polskich«, i mówi o nim: »znakomitość wielka, który brał udział w każdem prawie przedsięwzięciu naukowem, dotyczącem historyi«. Od Bartoszewicza, a i skądinąd wiemy, że Malinowski pracował także nad większą pracą konstrukcyjną (była nią *Historya Jagiellonów na Węgrzech*), ale pracy tej zapewne nie ukończył, gdyż nie ogłosił drukiem, i dziś niewiadomo nawet, co się z nią stało po śmierci autora. Nieznany autor krótkiego wspomnienia, poświęconego Malinowskiemu w *Kronice Rodzinnej* z r. 1875, który musiał znać owę pracę, powiada o niej, że Malinowski występuje tu w nieznanym dotąd charakterze, »jako malarz historyczny, należący do rzędu najznakomitszych w świecie«.

O życiu Mikołaja Malinowskiego bardzo niewiele wiemy; w szczególności jego stosunki rodzinne są prawie wcale nie-

znane. Urodzony w r. 1799, odbywa nauki gimnazyalne w Winnicy, a w r. 1819 zapisuje się na uniwersytet wileński. Prawdopodobnie ze szkół winnickich przywiózł dobrą znajomość i zamiłowanie języków klasycznych, skoro już na pierwszym roku studyów uniwersyteckich należy do najlepszych uczniów Grodka, pisze seminaryjną rozprawę o filozofii stoickiej, a za drugą rozprawę konkursową na temat »O duchu mowy poetycznej Homera« w tymże roku otrzymuje nagrodę pieniężną i list pochwalny.

W życiu filareckiem brał Malinowski żywy udział, dla tego znał je dobrze i mógł wiele o niem powiedzieć w swoich wspomnieniach. Że cieszył się zaufaniem kolegów, świadczą zaszczytne stanowiska, które mu w związkach koleżeńskich się dostawały. W błękitnym t. j. literackim związku Filaretów był trzecim z kolei Przewodnikiem (po Janie Czeczocie i Józefie Kowalewskim); wraz z tymiż dwoma poprzednikami swymi należał do komisyi konkursowej, która miała przyznać nagrodę za najlepszą pieśń, wyrażającą cele filaretów. Wiemy wreszcie, że piastował urząd sekretarza Izby pożyczkowej i sekretarza komitetu egzaminacyjnego przy Towarzystwie dla wspierania ubogich uczniów uniwersytetu, a także współredaktorem pisma *Dzieje Dobroczynności krajowej i zagranicznej.*

Prześladowanie, które spadło na Filaretów, nie mogło i jego ominąć. Został aresztowany, ale nieco później od Zana, Czeczota, Mickiewicza i innych, bo dopiero 1 listopada 1823, osadzony zaś w osobnej celi więziennej w klasztorze Bernardynów, gdzie pozostawał aż do kwietnia roku następnego. W pamiętniku Malinowskiego, który obecnie wydajemy, znajduje się bardzo ciekawy obraz tego życia więziennego i sposobów porozumiewania się więźniów z miastem. Z tego pamiętnika dowiadujemy się również, że w tych czasach Malinowski był zaręczony z p. Guttówną, zamieszkałą w Wilnie, nazywa ją tam bowiem »swoją przyszłą żoną« i »bogdanką«, małżeństwo to jednak widocznie nie przyszło do skutku, skoro pod datą o trzy lata późniejszą, mówi o sobie, jako o kawalerze: »a serce wolne było jak u ptaszka, nie kochałem się w nikim«.

Nie wiemy, czemu zawdzięczał Malinowski to, że ominęła go kara, która spadła na 20 jego kolegów, że nie został skazany na wygnanie do rosyjskich gubernii. Może tu odegrał jaką

rolę stosunek z Łobojką, profesorem literatury rosyjskiej, który świeżo przybywszy z Petersburga do Wilna i chcąc się nauczyć po polsku, od Malinowskiego brał lekcye tego języka. Nie wiemy także, co porabiał Malinowski między 1824 a 1826 rokiem. Może to w tym czasie zajmował się prywatnem nauczycielstwem w domu państwa Nyków na Wołyniu, o czem wzmiankuje w jednem ze wspomnień swoich. Ale to wiemy od niego samego, że w sierpniu 1826 wybrał się na dłuższy pobyt do Petersburga. Co go skłoniło do zamieszkania w tem mieście, nie powiada, ale wspomniany już autor notatki o Malinowskim w *Kronice Rodzinnej* tak tę rzecz objaśnia. Malinowski, podług niego, był już wtedy »tak dalece znany i ceniony, że otwierały się przed nim widoki zostania nauczycielem historyi polskiej przy osobie, stojącej na jednym z najwyższych, niemal najwyższym szczeblu drabiny hierarchicznej w państwie. Te widoki, oraz chęć zbliżenia się do nieprzebranych źródeł historyi politycznej i piśmienniczej kraju, ściągniętych do biblioteki cesarskiej w Petersburgu, zaprowadziły go do tego miasta na kilkoletni pobyt«.

Czy tą osobą, stojącą »niemal na najwyższym szczeblu drabiny hierarchicznej w państwie«, nie był cesarzewicz, następca tronu, którego ojciec, jak skądinąd wiemy, chciał wychować nie tylko na cesarza rosyjskiego, ale i na króla polskiego, i czy pośrednikiem w tej sprawie nie był znowu Łobojko? Takie się nasuwają przypuszczenia, ale słuszności ich sprawdzić nie możemy. To tylko za pewną rzecz trzeba uważać, że nadzieje Malinowskiego, o ile odnosiły się do dawania lekcyi języka polskiego osobie, stojącej »na najwyższym szczeblu drabiny hierarchicznej«, nie ziściły się.

Pod koniec następnego (1827) roku przyjechał z Moskwy do Petersburga Mickiewicz na paromiesięczny pobyt, dla załatwienia różnych spraw literackich i innych, i Malinowski znalazł sposobność odświeżenia znajomości ze sławnym już wtedy autorem *Wallenroda*. W tych też czasach (24 listopada) zaczął pisać dziennik pobytu swojego w Petersburgu, a znając to do siebie, jak sam się przyznaje, że nie umiał trzymać swoich papierów w porządku i pod kluczem, i bojąc się, aby niepowołani nie zaglądali do tego dziennika, pisał go po łacinie. Dobremu uczniowi Grodka nie przychodziło to zapewne z tru-

dnością. W tym dzienniku, jak świadczy w *Kronice Rodzinnej* cytowany już anonim, »zwięzłemi słowy notował prawie dzień po dniu wszystkie doznane złe i dobre przygody do dnia 4 kwietnia 1824«. Tutaj to znajdował się obszerny opis (na sześciu kartach ścisłego pisma) owego wieczoru grudniowego, podczas którego Mickiewicz improwizował całą tragedyę o Samuelu Zborowskim, a większa część opisu poświęcona była streszczeniu owej improwizowanej tragedyi.

Dziennik łaciński Malinowskiego nie wyszedł dotychczas z ukrycia i znany jest tylko z paru wyjątków, przytoczonych w przekładzie przez *Kronikę Rodzinną* z r. 1875 i powtórzonych w T. IV *Korespondencyi Mickiewicza*.

O dalszem życiu Malinowskiego bardzo niewiele wiemy. Przeniósłszy się napowrót z Petersburga do Wilna, został mianowany sekretarzem generalnym tak zwanej komisyi Radziwiłłowskiej, następnie jej pełnomocnikiem i prokuratorem, Praca w tej komisyi szła równolegle z pracą nad wydawaniem źródeł historycznych. Zajęcia archiwalne źle oddziaływały na wzrok Malinowskiego, a w końcu zabrały mu go zupełnie. W owych to czasach, w ostatnich latach życia (umarł w roku 1865) wiązały Malinowskiego węzły przyjaźni i zażyłości z rodziną A. H. Kirkora, redaktora *Kuryera Wileńskiego*, i Malinowski, choć już ociemniały wtedy, wspierał to pismo artykułami. Co ważniejsza, tej to rodzinie zapewne zawdzięczamy, że Malinowski zostawił po sobie wspomnienia, które obecnie na świat wychodzą. Oto, jak tę rzecz przedstawia cytowana już parę razy bezimienna notatka w *Kronice Rodzinnej* (1875). Podajemy dosłownie odpowiedni ustęp, jako bardzo ważny komentarz do *Pamiętnika* Malinowskiego:

»U schyłku dni swoich, pozbawiony wzroku, który zabrały archiwa i kroniki, a może i niejedna łza tajona przed światem, Mikołaj Malinowski rad padał myślą na czasy ubiegłe, malował je w kółku przyjaciół z dziwną swobodą a rzadkim wdziękiem wysłowienia. Niekiedy całe wieczory tak upływały rzekomo na pogadance, a w istocie na słuchaniu jego opowiadań, do których wątku już to z historyi ogólnej kraju, już ze stosunków osobistych opowiadacza, dostarczała mu nadzwyczaj rozległa i do ostatniej chwili na podziw bystra pamięć. To poszepnęło przyjaciołom Malinowskiego myśl uproszenia go, ażeby zamiast

ulotnej improwizacyi, zacierającej się z czasem w umysłach słuchaczy, raczej dyktował swoje opowiadania w formie luźnych urywków pamiętnika. Niełatwo na to się zgodził i niezbyt skwapliwie stawał do dyktowania; przyjazna jednak ręka zdołała sporo dorywczych jego opowiadań pochwycić na papier, a te następnie podług własnych wskazówek Malinowskiego poprawione, złożyły dużą książkę. W liczbie tych opowiadań znalazł się też ustęp o wieczorze 24 grudnia 1827 r. w Petersburgu, częścią przetłumaczony z owego pamiętnika łacińskiego, częścią zaś uzupełniony z przypomnienia naocznego świadka. Treść obu w głównym zarysie jest jednakowa, ale w redakcyi polskiej nierównie więcej nagromadzono drobnych szczegółów i przydano parę epizodów ubocznych, mających dalszy związek z opisanym wypadkiem«.

»Nie wiemy w tej chwili (1875), jaki los spotkał rzeczoną księgę wspomnień Malinowskiego. Ustęp, który poniżej zamieszczamy, był w swoim czasie, około roku 1862 przepisany osobno i szczęściem dochował się do tej pory«.

Księga wspomnień Malinowskiego, której losy były nieznane autorowi notatki, jest właśnie tym pamiętnikiem, który obecnie wydajemy. Dostała się ona Bibliotece Akademii Umiejętności w Krakowie i tam się przechowuje.

Ale zanim przejdę do opisu tego pamiętnika, chcę zwrócić uwagę na jeszcze jeden znany fakt z życia Malinowskiego, który rzuca światło i na osobę autora w ostatnich latach jego życia i na pewne ustępy pamiętnika. Malinowski był jednym z tych, co brali udział w wydaniu *Album wileńskiego*, poświęconego cesarzowi Aleksandrowi II z okazyi pobytu jego w Wilnie w r. 1858. Inicyatorem tego pomysłu, jak się można domyślać, był Adam Kirkor, współpracownikami jego w tej manifestacyi uczuć lojalnych byli oprócz Malinowskiego: Antoni Edward Odyniec, Ignacy Chodźko, Wincenty Korotyński i jeszcze jakiś nieznany Żmudzin; dwaj ostatni zresztą wystąpili z utworami poetyckimi w języku żmudzkim i białoruskim w oddzielnym dodatku do *Album Wileńskiego*. Malinowskiego artykuł, zamykający książkę, napisany był po francusku, a miał tytuł: *La Lithuanie depuis l'avènement au trône de Sa Majesté l'Empereur Alexandre II*«. W artykule tym była wyrażona nadzieja, że ze wstąpieniem na tron nowego cesarza dla ziem

litewskich i ruskich otwiera się nowa era, era pomyślności i swobodnego rozwoju, ponieważ wszystkie dotychczasowe akta tego monarchy były nacechowane zapomnieniem przeszłości, łaskawością i sprawiedliwością i ponieważ to wszystko, co ten kraj uważa za swoje największe dobro: religia ojców, macierzysty język i cześć dla przeszłości, zostało otoczone najwyższą opieką.

W istocie po srogich rządach Mikołaja I, zakończonych klęską pod Sebastopolem, powiał inny, cieplejszy wiatr po szerokich przestrzeniach państwa rosyjskiego, zapowiadający i dla prowincyi litewskich jakieś zmiany ku lepszemu. Zdawało się literatom litewskim, wyżej wymienionym, że powinni, korzystając z tego wiatru i odwiedzenia Wilna przez cesarza, wystąpić z hołdem literackim dla nowego monarchy, aby owe spodziewane zmiany przyśpieszyć i utrwalić. Był to krok w kierunku polityki Wielopolskiego, która niebawem miała się ukazać na horyzoncie.

Nie będę wchodził w to, czy godność narodowa była dostatecznie obwarowana w tym akcie, bo w takim razie potrzebaby analizować całe *Album wileńskie*, na co tu niema miejsca; dość będzie wskazać, że próba literacka polityki realnej nie powiodła się i jak w kilka lat potem, tak i teraz romantyczny patryotyzm wziął górę nad patryotyzmem polityki realnej. Wziął górę tem łatwiej, że bezpośrednio po ukazaniu się *Album wileńskiego* nastąpiła wojna włoska pod hasłem zjednoczenia i niepodległości Włoch i niespodziewanem została uwieńczona powodzeniem, co na wzrost naszych nadziei patryotycznych, zawiedzionych po wojnie krymskiej, wywarło wpływ ogromny. Najcięższe gromy, które spadły na wydawców *Album wileńskiego* w broszurze Klaczki (Odstępcy) i w *Listach z pod Lwowa* Ujejskiego pochodziły już z okresu podnieconych wojną włoską nadziei patryotycznych.

Ten kierunek polityki realnej odbił się i w poglądach historycznych Malinowskiego, zawartych w jego księdze wspomnień. Odnosi się to w szczególności do tych ustępów, które były dyktowane już po upadku powstania 1863, w czasach najsroższego tępienia polskości na Litwie przez Murawiewa. Znajdują się też tam niektóre zwroty, niektóre wyrażenia, które zdają się wskazywać obawę, aby i te niewinne wspomnienia

o czasach filareckich, nie wpadły przy częstych rewizyach w ręce policyi i nie były poczytane za zbrodnię. Styl urzędowo-lojalny niektórych, nielicznych zresztą ustępów, miał tu odgrywać zapewne rolę analogiczną do tej, jaką odgrywała łacina w dzienniku petersburskim Malinowskiego z lat 1827 i 1828. Niedarmo na str. 59, tam, gdzie się zaczyna »Rzut oka na administracyę północno-zachodniego kraju« dopisano na boku wskazówkę chronologiczną: »Zaczęto dyktować r. 1864 d. 21 września«.

Co się tyczy rękopisu, jest to duży in 4-to zeszyt o 188 stronach, z których tylko 133 początkowe są zapisane, oprawny w bronzowe płótno. Na zewnętrznej stronie okładki wyciśnięte są litery M. G. a pod niemi rok: 1863. Na wewnętrznej stronie okładki znajdujemy dwa napisy ołówkowe: Jeden jest taki: *Notatki dyktowane przez M. Malinowskiego, przez p. Kirkorową*, drugi poniżej: *Dar pani Z. Kirkorowej*. Pierwszy napis jest niejasny; nie wiemy, jak uzupełnić mysl zawartą w słowach: »przez p. Kirkorową«, czy słowem »pisane«, czy słowem »darowane«.

Książka widocznie była z początku przeznaczona do innego użytku, dla wypisów z poezyi i prozy. Na stronicach jej od 1 do 4 znajdujemy wypisy z Syrokomli »Kanonika przemyskiego«, z Gołuchowskiego »Dumań«, z Labruyère'a, Lamartine'a, Brodzińskiego i t. d. Dopiero na str. 4 zaczynają się ustępy oznaczone literami M. M., co wskazuje, jak stwierdza uwaga na str. 59, że pochodzą już od Mikołaja Malinowskiego. Kilka pierwszych drobnych notatek nie ma żadnego znaczenia, (np. o Muzach, o piśmie gockiem i t. d.), dopiero od 9 numeru zaczynają się anegdoty, rzucające światło na polityczne, społeczne lub kulturalne stosunki w Polsce z końca 18 lub początków 19 stulecia. Anegdoty te rozszerzają się następnie do charakterystyk wybitniejszych osób, znanych Malinowskiemu, i do wspomnień z czasów uniwersyteckich, wileńskich i z czasów wspólnego przebywania jego z Mickiewiczem w Petersburgu. Wszystko to rzucone jest luźnie, bez żadnego planu i porządku. Dopiero na str. 59 znajdujemy rzecz, która świadczy, że Malinowski chciał, przy pomocy oczu i pióra przyjacielskiego zużytkować skarb swej pamięci do większej i systematycznej pracy. Nadawał jej tytuł: *Rzut oka na administracyę*

północno-zachodniego kraju Cesarstwa Rosyjskiego, ale tytuł ten niedokładnie wyraża treść, która się pod nim ukrywa, i nie pozwala domyślać się, że główną rzeczą w tej treści będą stosunki uniwersyteckie w Wilnie i życie filareckie, a następnie zniesienie Unii za cesarza Mikołaja. Tutaj to pod tytułem znajdujemy uwagę: »Dyktowano przez Mikołaja Malinowskiego (również jak wszystko, co pod literami M. M. w tej księdze wpisano)«.

Praca ta ciągnie się do str. 90, poczem od str. 91 następuje dokonany przez Malinowskiego przekład pewnych ustępów z pamiętników Sieversa (*Ein russischer Staatsmann, Des Grafen Johann Sivers* (sic) *Denkwürdigkeiten zur Geschichte Russlands* Leipzig 1858. T. III od str. 21—44). Przekład urywa się na str. 114 na nieskończonem zdaniu, a poniżej są dwie uwagi. Pierwsza brzmi: »nie skończono z powodu śmierci«, druga u dołu: »przepisano z brulionu r. 1870«, a więc już w kilka lat po śmierci Malinowskiego.

Od str. 115 zaczyna się nowa rzecz p. t. *O stanie społecznym, umysłowym i obyczajowym kraju po ostatecznym rozbiorze Polski.* Pod tytułem w nawiasie uwaga: »Na żądanie A. H. Kirkora Malinowski przestał tłumaczyć Pamiętniki Sieversa«, a zaczął niniejsze, które (sic) też nie skończył«. Nie jest to, jakby z powyższej uwagi wynikało, przekład, ale nowa próba pracy oryginalnej, konstrukcyjnej. Początek jest bardzo zajmujący, szkoda tylko, że ta praca już na str. 120 urywa się. To, co potem następuje (od str. 121 do 133), prawdopodobnie powstało już bez udziału Malinowskiego. Są to wyciągi z dzieła: *Alexandre I et le prince Czartoryski, Correspondance particulière et conversations 1801—1823...* Paris 1865.

Wydając Księgę wspomnień Malinowskiego, trzeba było wydzielić z niej to wszystko, co nie pochodziło od niego, albo gdzie on występował tylko jako tłumacz, a więc wypisy, zawarte na pierwszych czterech stronach, wyciągi z Korespondencyi Czartoryskiego z Aleksandrem I i przekład wyjątków z Pamiętników Sieversa. Prócz tego wypadało odrzucić kilka drobnych notatek bez znaczenia. Następnie uważałem za rzecz potrzebną wprowadzić pewien ład w luźnie, bez związku z sobą rozrzucone ustępy. Wysunąłem więc na czoło rzeczy i rozmiarami największe i treścią najważniejsze, mianowicie odnoszące

się do historyi oświaty na Litwie, uniwersytetu wileńskiego i życia filareckiego w Wilnie. Potem umieściłem mniejsze ustępy, najbardziej z poprzednimi wiążące się treścią, dalej drobne anegdoty i charakterystyki. Wbrew temu porządkowi na samym końcu umieściłem rzecz p. t. *O stanie społecznym, umysłowym i obyczajowym kraju i t. d.*, ponieważ jest to tylko urywek pracy na większe rozmiary zakrojonej, lecz ledwie zaczętej. W rękopisie wszystkie ustępy, z wyjatkiem ostatnich, oznaczone były liczbami porządkowemi; inaczej rozmieszczając te ustępy, trzeba było zmienić liczby stosownie do nowego porządku.

Pamiętnik Malinowskiego w naszej tak obfitej literaturze pamiętnikowej jest czemś zupełnie odrębnem i wyjątkowem. Wiele się względów na to składa. Naprzód, że nie był układany systematycznie, ale przeważnie złożył się z luźnych, oderwanych wspomnień, jak się one przypadkowo nasuwały pamięci opowiadacza; powtóre, że nie był pisany własną ręką ociemniałego autora, ale chwytany z ust jego i potem dopiero zapisane opowiadania poddawano jego kontroli. Sprawiało to zapewne wiele kłopotu, ale ten brak wzroku, brak bezpośredniego zetknięcia się z narzędziami pisania, pozwalał nieraz wyobraźni z tem większą siłą wywoływać obrazy przeszłości. To też występują one we wspomnieniach Malinowskiego tak żywo i plastycznie, jak mało u kogo. Następnie ten doskonały opowiadacz jest z zawodu historykiem, wydawcą źródeł historycznych, posiada gruntowną wiedzę historyczną i kiedy od zajmujących szczegółów anegdotycznych przenosi uwagę na szersze horyzonty, jego sąd odznacza się wytrawnością, trzeźwością, spokojem i uprzedza czasami historyczne sądy Kalinki. Wreszcie zaznaczmy, że pod tą pogodą, pod tym spokojem opowiadania czuć wszędzie gorące serce, gorącą miłość kraju i jeżeli sobie uprzytomnimy, kiedy, gdzie i w jakich warunkach układał się ten pamiętnik, przynajmniej znaczna część jego, że to o przeszłości filareckiej opowiadał ociemniały jej uczestnik w Wilnie w r. 1864 wśród największego srożenia się rządów Murawiewa, to pamiętnik nabiera dla nas tem większego interesu, tem lepiej rozumiemy, czem były dla słuchaczy Malinowskiego jego opowiadania i jak bardzo im chodziło, aby te wspomnienia nie przebrzmiały z głosem opowiadacza, ale mogły być zachowane w piśmie dla potomnych.

W jednem ze wspomnień, podanych w tej książce, gdzie jest mowa o Malinowskim w trzeciej osobie, położono przy nazwisku jego zaszczytne określenie: »sławny nasz historyk Malinowski«. Słowa te naturalnie nie mogły pochodzić od autora wspomnień, tylko od tej osoby, która je zapisywała; wszakże nie wyrzuciłem ich, zostawiłem na swojem miejscu, jako świadectwo tej czci, jaką ociemniały filareta-historyk otoczony był w gronie swoich najbliższych znajomych.

Józef Tretiak.

1.

Rzut oka na administracyę północno-zachodniego kraju Cesarstwa Rosyjskiego [1]).

Opisanie geograficzne kraju, obejmującego teraz gubernie: mohylewską, witebską, mińską, grodzieńską, kowieńską, wołyńską, wileńską, podolską i kijowską. Opowiedzenie w porządku chronologicznym zdarzeń, które towarzyszyły wcieleniu tych prowincyi do Cesarstwa Rosyjskiego. Stan części Polskę składających pod względem politycznym i administracyjnym w czasie przejścia tych części pod berło rosyjskie. Dla przedstawienia tego obrazu należy dokładnie odczytać Lengnicha: *Prawo publiczne korony polskiej i wielkiego księstwa litewskiego*« i skreślić podług tego dzieła zarząd duchowny wszelkich wyznań pod rządem polskim mieszkańcom dozwolonych. Kraj przez pierwszy podział Rosyi traktatem r. 1775 ustąpiony, co do religii miał mieszkańców wyznania: greko-rosyjskiego, greko-unickiego, rzymsko katolickiego, starowierzących wychodźców rosyjskich, izraelitów, muzułmanów, protestantów: wyznań augsburskiego i helweckiego. Co do wyznania greko-rosyjskiego odszukać w traktacie moskiewskim r. 1683 artykułu co do zależności duchowieństwa prawosławnego w państwach rzeczypospolitej od metropolii kijowskiej. Wyliczyć dyecezye prawosławne, podział ich na dekanaty, cerkwie parafialne, klasztory obojej płci. Odszukać w Полномъ собранiи законовъ ukazy, tyczące się do zarządu duchownego prawosławnege w nowo nabytych krajach. Co do zarządów duchowieństwa rzymsko-katolickiego, gubernie mohylewska i witebska składały za rządów polskich osobne oficyalstwo białoruskie. Potrzeba rozczytać

---

[1]) Rzecz ta oznaczona w rękopisie liczbą porządkową 54. Obok tytułu znajduje się uwaga: «Zaczęto dyktować r. 1864 d. 21 września«. Nad właściwym tytułem znajduje się nieco wyżej inny tytuł: *„Źródła do historyi zarządu w Polsce w końcu XVIII w.“*, co widocznie stosuje się do początku tej pracy, gdzie właśnie Malinowski owe źródła wymienia. (Uw. wyd.)

się w książce, wydanej przez księdza Stanisława Szantyra: *Historya kościoła rzymsko-katolickiego w Rosyi* [1]. Znajduje się tam dokładnie opisane przejście zarządu wyznania rzymsko-katolickiego z pod zwierzchności biskupa wileńskiego pod osobny zarząd biskupstwa białoruskiego, które później podniesione zostało do stopnia arcybiskupstwa. Po drugim podziale Polski zaszły nowe rozporządzenia, które ukazami, znajdującemi się w Полномъ собраніи законовъ, rozciągnięte zostały i na resztę kraju polskiego, wcielonego do Rosyi. Za cesarza Pawła, końcem porządniejszej organizacyi kościoła katolickiego, ustanowione zostały: duchowne kolegium katolickie, podobnież greko-unickie; greko-prawosławne porównane z ogólnym zarządem duchownym w całem cesarstwie pod wiedzą najświątobliwszego synodu. Oprócz dzieła księdza Szantyra posłuży do opisu tej części administracyi w kraju północno-zachodnim i południowo-zachodnim: *Prawo kanoniczne* księdza biskupa Krasińskiego. Z Lengnicha zaczerpnąć można wiadomość o zakonach obojej płci w tych krajach. Tu znajdzie miejsce wiadomość o Jezuitach i o klasztorach, tudzież o misyach, jakie temu zakonowi już w późniejszych czasach zostały nadane, a ukaz o wyrugowaniu tego zakonu z Rosyi nauczy, jakie posiadał instytucye, fundusze i wiele liczył zakonników.

Oświecenie. Głównem źródłem o tej gałęzi administracyi są dzieła Balińskiego: *Akademia Wileńska* i *Pamiętniki o Janie Śniadeckim*. W epoce przejścia północno i południowo-zachodniego kraju pod panowanie rosyjskie szkoły rządziły się ustawą komisyi edukacyjnej, którą pilnie przejrzeć należy i treść jej rozporządzeń tak pod względem naukowym, jakoteż administracyjnym podać. W Полномъ собраніи законовъ muszą znajdować się ukazy pod względem zarządu szkół wydane. To, co w tej mierze uczyniono w guberniach białoruskich, służyło później za normę i w krajach późniejszemi podziałami do Rosyi wcielonych. Zwrócić tylko na to uwagę należy, że w dwóch guberniach (witebskiej i mohylewskiej) z pierwszego rozbioru, nie było ani jednej szkoły świe-

---

[1] Właściwy tytuł: *Zbiór wiadomości o kościele i religii katolickiej w cesarstwie rosyjskiem od r. 1773—1826, zebrany z pism urzędowych, dokumentów i własnego widzenia.* Poznań 1843. (Uw. wyd.)

ckiej za czasów rzeczypospolitej, lecz wszystkie znajdowały się w ręku zakonników rzymsko-katolickiego wyznania. Pomijać nie należy szkółek parafialnych, o których w ustawie Komisyi Edukacyjnej znajdują się bardzo rozumne, stosowne rozporządzenia. Główny dozór nad niemi należał do biskupów, ale ponieważ największa część ludności była wyznania greko-prawosławnego lub greko-unickiego, utrzymywanie więc szkółek parafialnych ruskich do zwierzchności duchownej tychże wyznań należało. Zebranie wiadomości o tych szkółkach jest bardzo trudne. Przy zborach wyznań augsburskiego i helweckiego szkółki, zaprowadzone jeszcze za rzeczypospolitej, utrzymywały się i po zmianie politycznej doli kraju. Dozwolone przez rząd rosyjski synody coroczne, dla wyznawców helweckich, czuwały nad dwiema szkołami na stopniu gimnazyów, istniejącemi w Kiejdanach i Słucku.

Za dawnych czasów w wiekach XVI i XVII możni panowie litewscy pozakładali fundusze w Królewcu, w Malborgu i w Lejdzie (w Holandyi) dla młodzieży wyznania protestanckiego, pragnących słuchać wyższych nauk teologicznych. Rząd rosyjski nie wzbraniał wyjazdu za granicę na nauki tej młodzieży, ale później znalazłszy, że te podróże połączone były z niedogodnościami, a prócz tego, że i same fundusze wskutek wojen i innych okoliczności zostały zachwiane, rząd zamienił je na stypendya przy uniwersytecie dorpackim i już młodzież kraju północno-zachodniego nauk teologicznych w owym uniwersytecie słuchała. Po ustanowieniu ministerstwa narodowego oświecenia i reorganizacyi uniwersytetu wileńskiego, poruczony mu został zarząd oświecenia we wszystkich guberniach do Rosyi powróconych tak, że pod względem instrukcyi drukarstwa i księgarstwa, okręg naukowy wileński bezpośrednio zależał od ministerstwa oświecenia.

W tem miejscu najwłaściwiej będzie przebiedz zmiany, jakim ta gałąź administracyi uległa przez zaprowadzenie nowych zakładów, jak np. liceum wołyńskiego, głównego seminaryum przy uniwersytecie wileńskim, akademii połockiej, utworzenie pózniej uniwersytetu kijowskiego, a więc i nowego naukowego okręgu.

Co do składu politycznego kraju, był on obwarunkowany podziałem na jaki rozpadała się ludność społeczna.

Stany: szlachecki, miejski i włościański, w czasie przejścia północno i południowo-zachodniego kraju pod berło rosyjskie, co do swoich praw i obowiązków dokładnie opisane są w Lengnichu. Wiadomo, że stan rycerski stanowił naród i używał, jeden tylko, praw obywatelskich. Cały więc nastrój (sic) społeczny zastosowany był do tego politycznego składu narodu. Cała ziemia w krajach litewskich i ruskich pod względem politycznym dzieliła się na województwa, ziemie, powiaty i księstwa. Województwa, zabytek pierwotnego jeszcze urządzenia kraju, kiedy oręż był głównym obowiązkiem posiadaczów ziemi, były tak urządzone, aby dostarczały królowi mężów do rady i lud zbrojny do wojen zaczepnych lub odpornych. — Po województwach, w miejscowościach z położenia swego warowniejszych, powznoszono zamki (castella); ich dowódzcy zwani byli kasztelanami, podobnież mieli wstęp do rady królewskiej. Z dostojników tych dwóch stopni utworzył się senat, który dopomagał królowi w zawiadywaniu sprawami zewnętrznemi kraju, a ponieważ panujący był nietylko najwyższym wodzem siły zbrojnej, ale i najwyższym sędzią wszystkich spraw uczynkowych i majątkowych, toczących się między obywatelami, dlatego przybierał do boku swojego senatorów dla rozstrzygania spraw, przechodzących drogą appelacyi od sądów ziemskich i grodzkich do wyroku ostatecznego królewskiego. Dla utrzymania porządku, żaden szlachcic nie mógł być pozywanym do innego sądu, tylko do tego, który znajdował się w tym powiecie lub ziemstwie, gdzie pozwany miał swoją osiadłość. Od najdawniejszych czasów sędziowie byli obierani na sejmikach ziemskich czyli powiatowych, z obywateli osiadłych tegoż powiatu. Przy coraz rozleglejszym rozwoju stosunków społecznych, liczba spraw mnożyć się musiała, a więc i liczba takich, które przez apelacyę szły pod wyrok królewski, podobnież rosła. Pojęcia teoretyczne polityki wewnętrznej coraz szerzyły się między stanem szlacheckim i wcześnie wyrobiły się do tej dojrzałości, na jakiej dziś w zachodniej Europie zostają. Ztąd poszło, że obywatele nie chcieli być sądzonymi tylko przez równych sobie i to ludzi własnego wyboru. Gdy tak z jednej strony ta nauka polityczna coraz bardziej się rozpowszechniać poczęła, a z drugiej liczba praw apelacyjnych coraz więcej pracy i czasu królowi zabierały, kiedy nakoniec dla większej dogodności prawu-

jących się król musiał przejeżdzać się z jednego województwa do drugiego dla sądzenia spraw zaległych, taki wymiar sprawiedliwości coraz stawał się dla panującego i poddanych uciążliwszym. Król Stefan Batory, za radą znakomitego i uczonego na swój wiek prawoznawcy, doktora praw Jana Zamojskiego, zgodził się na ustanowienie dwóch trybunałów: jednego dla Korony, drugiego dla Litwy, na które całą służącą sobie władzę sądową przelał. Cały kraj północno i południowo-zachodni pod względem sądownictwa podlegał statutowi litewskiemu, który po raz pierwszy w r. 1529 za prawo ogólnie obowiązujące ogłoszony, później w dwóch redakcyach za Zygmunta Augusta i Zygmunta III pomnożony, objaśniony i uzupełniony, stał się księgą prawa dla całego kraju i w chwili przywrócenia tego kraju do Rosyi zachował długo jeszcze powagę swoją z woli cesarzowej Katarzyny II, Pawła I, Aleksandra I i Mikołaja I aż do r. 1840, w którym już Swod Zakonow pod względem sądowym porównał ten kraj z ogółem cesarstwa.

Pod względem czysto administracyjnym kraj trzymał się następnego trybu. Ogólne prawo rozciągnięte na kraje litewskie i ruskie *neminem captivabimus* tj. nikogo więzić nie pozwolimy, dopóki wyrok sądowy nie zapadnie, było rękojmią wolności osobistej. Od niej wyjmował jedynie przypadek schwytania przestępcy na gorącym uczynku. Porządek i spokojność kraju oddana pod opiekę praw, zachowaną była w ten sposób, że w każdym powiecie, na sejmikach wybierany był urzędnik z liczby obywateli osiadłych. zwany instygatorem. Jego obowiązkiem było wywiadywanie się o wszelkich przestępstwach, nadwerężających bądź bezpieczeństwo pospolite, bądź osób pojedyńczych. Jeżeli strona pokrzywdzona była dość niedbałą, aby o krzywdę swoją przez pozew do sądu powiatowego winowajcy nie powołała, wówczas instygator w imię obrażonego prawa, pozwać go był powinien. Obręb jego urzędu był nadzwyczaj rozciągły, chociaż ograniczał się tylko granicami powiatu, lub liczbą jego mieszkańców; ale już bez różnicy stanu, do którego pokrzywdzony mieszkaniec należał.

Miasta rządziły się prawami wprost z Niemiec przeniesionemi. W początkach osadzenia miast w Litwie i krajach ruskich, osadnicy niemieccy warowali sobie od panujących, że mają żyć pod powagą tak zwanego prawa magdeburskiego,

które w Polsce od XII w. już znajome z dobroczynnych skutków swoich znalazło wziętość na Litwie i Rusi. To prawo pod nazwą »zwierciadła saskiego« znane, obejmowało nietylko ustawy sądowe, lecz nadto cały porządek policyi i administracyi miejskiej. Zasada wyborcza tu głównie przemagała. Miasta rządziły się i sądziły przez urzędników wolnemi głosami wybieranych. Po dobrach królewskich starostowie mieli w swym ręku władzę wykonawczą i spełniali dekreta królewskie, oraz wyroki sądowe; do nich też należała czujność nad bezpieczeństwem osób i majątków; na wezwanie starosty szlachta powiatowa obowiązaną była stawić się na miejscu wskazanem jezdno i zbrojno, a to dla wykonania wymaganych przez okoliczności rozporządzeń.

Najliczniejszy stan w kraju, stan wiejski, nie miał żadnej prawami obwarowanej organizacyi. Jak w dobrach królewskich zależał co do osoby, majątku, pracy swojej od starosty lub dzierżawcy, tak w dobrach duchownych od prałata lub zwierzchności klasztornej, stosownie do tego, jaki fundusz, czy duchowieństwa świeckiego, czy zakonnego składał; tak nakoniec w dobrach szlacheckich był wyłącznym poddanym obywatela. Są ślady dawnych urządzeń gminnych, ale te zatarły się z upływem czasu i władza dziedziców ziemskich coraz się szerzej krzewić poczęła. Sejm radomski z roku 1505 pamiętnym jest z ucisku ludu wiejskiego w Polsce. Posłowie ziemscy wynękali na królu Aleksandrze Jagiellończyku, że potwierdził uchwałę ścieśniającą i bez tego szczupłe swobody kmieci. Do najuciążliwszych należała ta ustawa, że bez zezwolenia pana nie wolno było kmieciowi posyłać syna do szkoły lub oddawać do rzemiosła. Wszakże w dobrach królewskich i duchownych, które trzecią niemal część ludności wiejskiej w kraju obejmowały, nie była ona bez opieki. Przy kanclerzach obojga narodów, prawo ustanowiło tak zwane sądy asesorskie, do których należały wszystkie sprawy, bądź włościan z dziedzicami lub dzierżawcami, bądź majątków ościennych i tym podobne. W kraju północno i południowo-zachodnim obowiązywały aż do ostatnich czasów mądre ustawy Zygmunta Augusta, przepisujące za ziemię, oddaną włościanom na użytek, bardzo umiarkowaną robociznę i czynsz nadzwyczaj mały. Inwentarze przez komorników królewskich dla starostów lub obdarzonych docześnie temi dobrami sporządzane, są wzorem porządku i znajomości

gospodarczej. Skoro rząd poddał się względem ludu wiejskiego tej normie, że inwentarz będący pewnego rodzaju kontraktem, chciał mieć za prawidło stosunków między właścicielem ziemi i jej dzierżawcą, wnet upowszechnił się zwyczaj spisywania takichże inwentarzów i po dobrach obywatelskich. Mnogie były przyczyny skłaniające do spisywania takich inwentarzów, bo właściciel ziemski dóbr, zwłaszcza rozległych, chciał mieć nietylko opis majątku, ale i zbiór prawideł, podług których ustanowiony przezeń rządca, miał powierzonym sobie majątkiem zawiadywać. Nadto w ciągłych frymarkach, przez jakie dobra ziemskie szlacheckie przechodziły, oddawauo też dobra bądź w drodze dobrowolnej umowy w dzierżawę, bądź szły one z wyroków sądowych w tak zwaną tradycyę, to jest, że majątek ziemski niewypłatnego dłużnika oddawał się wierzycielowi; dla ustanowienia zaś rachunku, jak długo wierzyciel majątek ten wytrzymać był powinien, sąd zsyłał urzędnika dla sporządzenia na miejscu inwentarza, w którym wykazywano nie tylko źródła dochodów, ale i określano powinności, jakich dwór miał prawo od wieśniaków wymagać. Takie inwentarze stawały się już obowiązującemi i dla właścicieli ziemskich względem ich włościan, a chociaż prawo wyraźnie nie postanowiło, dokąd włościanie, w razie ucisku lub łamania inwentarza, skargi swoje zanosić byli powinni, przecież zwyczaj mieć chciał, że podkomorzy powiatowy był w podobnych zdarzeniach najbliższym rozjemcą. W zapomnieniu, jakiego dopuściła się rzeczpospolita względem największej liczby swoich synów, sprawiedliwy sąd potomności napiętnował ją hańbą, że wolność, a nawet życie wieśniaka oddała bez odpowiedzialności w ręce właścicielów ziemskich. Stąd poszło, że nietylko włościanie, ale i każdy człowiek mieszkający na ziemi obywatelskiej należał do przysądu dworu, do którego i ziemia należała. Tak więc jeżeli dopuścił się jakiego występku szlachcic czynszowy, Izraelita lub Tatar na ziemi obywatelskiej zamieszkały, wzywano go do właściwego sądu powiatowego lub grodzkiego, a zawsze w asystencyi dziedzica; część więc odpowiedzialności za popełnione wykroczenie i na dziedzica spadała. Było to dzielnym hamulcem od zbrodni, bo mieszkający na ziemi obywatelskiej nie tyle się lękał dalekiego ziemstwa lub grodu, ile dworu, mającego wszel-

kie środki do ujęcia go i ukarania, bądź na osobie, bądź na majątku.

Największy zarzut, jaki niedołężności ówczesnego prawodawstwa uczynić słusznie można, jest ten, że życie wieśniaka nie było dostatecznie zawarowane; w razie bowiem zbrodni gardłowej, sąd należał do właściciela ziemskiego. W podobnych zdarzeniach, z pobudek raczej sumienia, niż obowiązku, nie chciał on brać odpowiedzialności całej na siebie, dla tego w zdarzeniu dowiedzionej zbrodni, właściciel ziemski wzywał kilku sąsiedniej szlachty i z niemi składał pewien rodzaj sądu przysięgłego; spełnienie zaś zapadłego wyroku zupełnie już od niego zależało. Były to wyroki ostateczne i nieodwołalne, stąd łatwo pojąć, na jak słabej rękojmi polegało życie ludzkie. Odzywały się tu i ówdzie wymowne głosy obywateli mądrych i cnotliwych, dopominających się o zabezpieczenie tej najdroższej własności człowieka; ale ledwie w. r 1772 Andrzej Zamojski, kanclerz wielki koronny, wezwany przez króla i stany rzeczypospolitej do ułożenia księgi praw, opiekę ich rozciągnął na stan wiejski, tak że nie tylko otworzył ludności wiejskiej drogę do swobodnego przenoszenia się z ziemi jednego właściciela ziemskiego na ziemię drugiego, ale ograniczył powagę sądów miejscowych dworów do przekroczeń potocznych, policyjnych. Na nieszczęście większość posłów sejmowych uważała tę ustawę za ścieśniającą prawo własności i zabiegami swemi dokazała, że »zbiór praw« redakcyi Andrżeja Zamojskiego nie otrzymał sankcyi sejmowej. Odtąd, aż do pamiętnego czteroletniego sejmu, ten przedmiot leżał odłogiem i dopiero w konstytucyi trzeciego maja wolność i życie ludu wiejskiego oddano pod opiekę praw ogólnych. Należy oddać sprawiedliwość asesoryom koronnej i litewskiej, że toczące się przed ich sądami sprawy najwięcej przyczyniły się do sprostowania wyobrażeń co do stosunków, jakie między właścicielem ziemi a dzierżawiącym ją rolnikiem istnieć powinny. Jak wszystkie sądy rzeczypospolitej, tak i sądy asesoryi były jawne. Stawali w nich adwokaci, ludzie po większej części światli, których powodzenie głównie zależało od sławy, uczciwości i sumienia, na jaką zasłużyć potrafili. Odrębnie więc od samej sprawy upowszechniały się w narodzie zdrowe pojęcia o stosunkach, opartych na sprawiedliwości i wiele przyczyniały się do ulżenia doli ludu wiejskiego.

Nie wszystko zapewne tak poszło, jakby pójść było mogło, gdyby wyższe duchowieństwo świeckie i bogatsze zakonne poczytało za główny swój obowiązek przyświecać przykładem krajowi w postępowaniu z ludem wiejskim. Ale nie zawsze duchowieństwo umiało tłumić w sobie narowy i przesądy szlacheckie; często chciwość zagłuszała w jego sercu głos sprawiedliwości, a te zboczenia były tem zdrożniejsze, że powagą przykładu upoważniały niejako świeckich właścicieli ziemskich do nadużyć.

Po powróceniu Białej Rusi pod panowanie rosyjskie, wybór cesarzowej Katarzyny II wielkorządcy tego kraju padł na męża pełnego rozumu, doświadczenia i szlachetności. Pierwszym wielkorządcą przywróconego kraju był hrabia Zacharyasz Czernyszew. Tu należy rozpatrzyć Полное собраніе законовъ i wymienić te rozporządzenia, które w nowo nabytych guberniach wprowadzono, bo posłużyły one za przykład do tych zmian, jakie z kolei wprowadzono w administracyi później wcielonych części północno i południowo-zachodniego kraju.

Już Białoruś znajdowała się od lat kilku pod nowem panowaniem, kiedy genialne urządzenie gubernii i miast ogłoszone zostało przez cesarzową Katarzynę II. (W tem miejscu należy podać w treści główny zarys tej pamiętnej ustawy, zwrócić uwagę na te szczegóły, które zdały się być wówczas najpotrzebniejszemi). Tak między innemi założony bank pożyczkowy, dający łatwość obywatelom na zastawę majątku zaciągania umarzających się przez opłatę odsetków pożyczek, przyjęty był z wielką wdzięcznością i w ówczesnych gazetach warszawskich umieszczano listy pisane z Białej Rusi, w których przebijało się to zadowolenie.

Główną zmianą, jaka największą część ludności najbliżej dotknęła, było wprowadzenie powinności rekruckiej. Za rządów rzeczypospolitej wojsko organizowało się podług przepisów statutu litewskiego w rozdziale o »obronie ziemskiej«. (Potrzeba ten rozdział z pilnością przeczytać i przedstawić z niego obraz wojskowości. Poczem ze zbioru praw Trembickiego wykazać zmiany, jakie po ściśnieniu władzy hetmańskiej i ustanowieniu departamentu wojennego zaszły, a z tego ukaże się, jakim trybem szczupłe wojsko koronne i litewskie formowało się pod koniec istnienia rzeczypospolitej).

Z tegoż dzieła Trembickiego potrzeba zrobić wyciąg wszystkich ustaw tyczących się skarbu aż do ustanowienia departamentu komisyi skarbowej. Z tego da się skreślić dokładny obraz systematu podatkowania, handlu, przemysłu i wydanych dla nich przepisów. Tu wypadnie mieć pod ręką Czackiego: »*O polskich i litewskich prawach*« i radzić się tablic, jakie sporządzał, będąc sam u źródła, jako wysoki urzędnik w komisyi skarbu obojga narodów.

Od r. 1795, po złożeniu korony przez Stanisława Augusta, nowy rząd wybrał trzy główne punkta zarządu północno i południowo-zachodniego kraju: Połock, Wilno, Kijów. Ten sam tryb, jaki zaprowadzony był od r. 1775 w dwóch guberniach białoruskich rozciągnięto na: wołyńską, kijowską, podolską i obie litewskie: wileńską i grodzieńską. Książę Repnin i Tutolmin, zdolni i doświadczeni mężowie stanu, wzięli się umiejętnie i pracowicie do zaprowadzenia administracyi, którą chcieli uczynić podobną z administracyą gubernii wielko-rosyjskich. Natrafiając przecież na istniejący dawniej porządek, zwłaszcza pod względem sądowym, policyjnym. wiele dawniejszych ustanowień zostawili w swej mocy. Cesarz Paweł I po wstąpieniu na tron postanowił zwiedzić nowo nabyte kraje i odbył to z wielką okazałością. Na granicy każdego powiatu czekała przybycia monarchy majętniejsza i ukształceńsza młodzież konno i przeprowadzała do miasta powiatowego, gdzie po klasztorach, jako budowniejszych gmachach, zwykle przybierano salę tronową, a tam wszystkie stany i korporacye składały hołd cesarzowi. Ludność, z niewymowną łaskawością przez cesarza przyjmowana, otrzymała z tronu zapewnienie, że dobro ogólne będzie najbliższym przedmiotem jego troskliwości. Jakoż gdy dawne prawa, któremi ten kraj rządził się i sądził, były dla mieszkańców miłemi, cesarz Paweł, nie tylko zostawił je w swej mocy, ale zostawił trybunały, od których jednak apelacyi do senatu dozwolił. Okoliczności, które poprzedziły ostateczny upadek rządu polskiego, dały powód, że możniejsi obywatele kraju uważani byli przez rząd za przychylnych lub podejrzanych. Z liczby senatorów ci, którzy niczem nie narazili się Rosyi, pootrzymywali stopnie, wyrównywające tym, jakie piastowali w r. 1795; tak ministrowie, jeżeli byli wojskowymi, jeszcze przez Katarzynę II mianowani byli jenerałami broni; jeżeli pia-

stowali urzędy cywilne, rzeczywistymi radcami tajnymi; dostojnicy drugorzędni otrzymali rangi rzeczywistych tajnych lub rzeczywistych radców stanu. Tak naprzykład: marszałek wielki litewski, Ludwik Tyszkiewicz, był rzeczywistym radcą tajnym; wojewodowie: trocki, książę Józef Radziwiłł, i miński, Chmara, zostali radcami tajnymi. Jenerał artyleryi litewskiej: książę Franciszek Sapieha, radcą tajnym; Ksawery Chomiński, wojewoda mścisławski, radcą tajnym. Tak więc znakomitsi urzędnicy dawnego rządu znaleźli w nowym poważanie dawniej piastowanych urzędów.

Wstrząśnienie, wywołane przez powstanie Tadeusza Kościuszki, ściągnęło na wiele osób surowość rządu. Jeszcze w latach 1795—1796 znaczna liczba tych, którzy uznali władzę naczelnika narodu, za jakiego Kościuszko był uznany, doświadczyli sekwestru, konfiskaty majątków a nawet wygnania na Syberyę. Cesarz Paweł wszystkim niemal pozwolił powrócić do kraju i majątki ich uwolnić z pod sekwestru. Dawnym wojskowym, mającym urzędowe dowody na posiadanie rangi, dozwolony był wstęp do wojska rosyjskiego jednym stopniem niżej; bo było to we zwyczaju w Rosyi, że tylko oficerowie wojsk cesarsko-niemieckich przyjmowani byli w tych samych rangach, oficerowie zaś pruscy, chociaż wojsko tego kraju używało sprawiedliwej sławy pod względem ukształcenia wojskowego, przyjmowani byli jednym stopniem niżej, co też i na oficerów wojska polskiego rozciągnięto.

Wspaniałość cesarza Pawła i oczywiste jego współczucie dla nowych poddanych obudziło w nich najwyższe dla monarchy przywiązanie, ale okropny kierunek, jaki rewolucya francuska przybierać poczęła, ujęcie przez Jakobinów steru rządu i krwawe panowanie zgrozy, sprawiły, że Paweł I nakazał najpilniejszą czujność, aby wyobrażenia, które wzięły górę we Francyi i znaczną część Europy opanowały, nie przedarły się do kraju. Stąd utrudniono wydawanie paszportów za granicę, przepisano surowe prawidła na handel księgarski, obostrzono cenzurę pocztową — i ścisłą baczność rozciągnięto na sposób myślenia, przyjazny zasadom we Francyi i w znacznej części Niemiec wówczas rozszerzanym. Ustanowienie przez cesarza Pawła tak zwanej tajnej ekspedycyi, wielu trwożyło umysły. Doraźne jej postępowanie napełniło kraj wielkim postrachem

i nie dozwoliło rozkrzewić się instytucyom wielko-rosyjskim w nowo wcielonych krajach.

Tymczasem postępy oręża francuskiego pod hasłem zasad republikańskich zwabiły część wojska polskiego pod Madalińskim i Kniaziewiczem nad Ren i do Włoch. Obudzone zamarłe nadzieje silnie wstrząsnęły umysły młodzieży, która tajemnie wymykać się poczęła z kraju i śpieszyła do legii włoskiej lub nadreńskiej, oddając się ułudnym nadziejom, że pod chorągwiami francuskiemi wywalczyć potrafi wskrzeszenie ojczyzny. Taki zwrot wyobrażeń nie dozwolił młodzieży, a nawet i dojrzalszym, patrzeć trzeźwo na nowy stan rzeczy w kraju zaprowadzonym. Stąd ludzie zdolniejsi nie zrozumieli, że dobro ich rodzinnej ziemi powoływało ich do wiernej służby nowemu rządowi. Stożsamienie nowo wcielonych krajów z prowincyami wielkorosyjskiemi zapowiadało dla pierwszych wielkie korzyści, a mianowicie, że kraj mógłby być administrowany przez urzędników miejscowych, bo dla ludzi już do zarządu wdrożonych, po większej części w dobrze urządzonych szkołach wychowywanych i hojnie pod względem umysłowym uposażonych od przyrodzenia, nie mogła nawet nieznajomość języka rządowego stawić niepokonanej przeszkody. Rzadkie wyjątki dawniejszych polskich urzędników, którzy, zdrowiej rzeczy pojmując, starali się o posady pod nowym rządem, dowiodły, że rzecz sama z siebie nie była trudną i że rząd dość chętnie przyjmował ich posługi, tak dalece, że znaczną część urzędników pocztowych i największą liczbę kasyerów na miejscu zostawił. Przez ostatnie lata panowania cesarzowej Katarzyny przemagał pewien rodzaj dyktatury; pod berłem cesarza Pawła naród ujęty wielkiemi dobrodziejstwami, a mianowicie wprowadzeniem wzorowej karności w wojsku, która pod przeszłem panowaniem wielce się była rozprzęgła, przywykał do nowego porządku rzeczy. Pod cesarzem Aleksandrem I niezrównana dobroć tego monarchy czyniła go przedmiotem powszechnej czci i uwielbienia jego nowych poddanych. Utworzenie ministerstw jak w całym kraju zapowiadało utworzenie porządnej administracyi, tak oddziałało dobroczynnie na kraj północno i południowo-zachodni. Mianowanie kilku znakomitych dawniejszych dostojników senatorami, jak np.: Seweryna Potockiego, Filipa Olizara, Waleryana Strojnowskiego, Ksawerego Chomińskiego,

Adama Chmary, Worcela, zaszczepiło w narodzie wiarę, że rząd pragnie bliżej wyrozumieć potrzeby i życzenia nowych swoich poddanych. Płacąc zaś ufnością za ufność, ci, którzy przyjęli i oprzysięgli poruczone sobie miejsca, starali się nieposzlakowanem postępowaniem usprawiedliwić zaszczytny dla siebie wybór. Z pośród klęsk i straszliwej burzy, w której samoistność kraju zginęła, niektórzy dostojnicy dawnego rządu wynieśli imię czyste i sławę niczem nie zachwianej prawości. Rozgłos ich cnoty doszedł do wiadomości tronu. Cesarz Paweł poruczał im często bardzo ważne sprawy, a mianowicie takie, które z treści swojej zdawały się należeć do sądów polubownych. Do liczby takich mężów należeli: Jerzy Białopiotrowicz Michał Zaleski, Tadeusz Czacki, Franciszek Sapieha i niektórzy inni. Głos ich i w innych często drażliwych zdarzeniach słuchany był przez panującego. Ze wszystkich gałęzi administracyi najbliższą była sercu gałęż oświecenia narodowego. Pierwszym ministrem był hrabia Piotr Zawadowski, mąż wysokich zdolności i prawdziwy miłośnik oświecenia. Jemu też kraj ten zawdzięcza urządzenie uniwersytetu wileńskiego i taką organizacyę przywiązanego do niego zarządu instrukcyi publicznej w dziewięciu guberniach, że wszystko upoważniało do nadziei najbujniejszego jej rozkwitu. Jakoż ustanowione przezeń dwie komisye sądowe, edukacyjne: jedna w Wilnie, druga w Krzemieńcu, najczynniej zajęły się odszukaniem funduszów, jakie przeszłość dla sprawy oświecenia zgromadziła. (Obraz zasług tych komisyi da się sporządzić z »*Żywota Tadeusza Czackiego*«, napisanego przez księdza Aloizego Osińskiego i z »*Pamiętników o Janie Śniadeckim*« przez M. Balińskiego, a nakoniec z »*Historyi szkół na Litwie*« przez Józefa Łukaszewicza).

Przy usilnem współdziałaniu kuratora uniwersytetu, księcia Adama Czartoryskiego, nie tylko sam zakład pięknie zakwitł, ale i szkoły pod jego rządem zostające coraz skuteczniej zaczęły odpowiadać swojemu przeznaczeniu. Szczególniej upowszechniła się w kraju miłość nauki i przekonanie o jej potrzebie. Przy współdziałaniu biskupów, duchowieństwo zakonne a mianowicie zgromadzenia: pijarów, bazylianów i dominikanów wielkie położyły w tej mierze usługi; szczególniej odznaczyły się uległością i posłuszeństwem względem uniwersytetu,

tak, iż nie było przykładu nieuległości z ich strony zalecaniom i radom uniwersytetu. Nie było prawie ani jednej szkoły zakonnej, przy którejby nie istniał jaki fundusz dla ubogiej uczącej się młodzieży. Te fundusze, czyli tak zwane konwikta, sumiennie administrowane, dopomagały ubogiej młodzieży do odbywania nauk w szkołach, na stopę gimnazyów urządzonych. Do dawnych przybywały coraz nowe. Czacki szczególniej odznaczał się umiejętnością ich tworzenia, na co w szczodrobliwości obywatelskiej znajdował wszędzie środki. Możne rodziny głównie zasługiwały się tem krajowi. Nowe gimnazya powstawały po rozmaitych powiatach. Czartoryscy utworzyli i uposażyli dwa gimnazya: jedno w Międzybożu, drugie w Klewaniu, na co starożytne zamki swoje rodowe oddali. Potoccy uposażyli gimnazyum na Podolu w Niemirowie; Steccy postąpili podobnież w Międzyrzeczu na Wołyniu; Braniccy w Białej Cerkwi; Wincenty Tyszkiewicz w Świsłoczy, już nic nie mówiąc o tem, że gdziekolwiek szkoły utrzymywane przez zgromadzenia zakonne istniały, wszędzie też zgromadzenia znajdowały najczynniejszą pomoc i zachętę obywatelską. Do dawniejszych funduszów przybywały nowe, jak naprzykład: konwikt Lerneta w Krzemieńcu, bursa biskupa Pilchowskiego i podstolego Walickiego w Wilnie i przy każdej niemal szkole stypendya dla większej lub mniejszej liczby ubogich uczniów. Komisye edukacyjne czynnie ze swej strony pracowały nad wydobyciem funduszów, które dawność czasu zatarła, i nad zwróceniem ich do właściwego celu, jeżeli późniejsi dziedzice zapomnieli o włożonych na nich przez przodków obowiązkach dla wychowania publicznego. Głośna była w swoim czasie sprawa ze spadkobiercami Hilzenowskiemi, którzy dobroczynne zamiary świątobliwego biskupa smoleńskiego wypaczyć usiłowali. Rząd ze swej strony udzielił najczynniejszą opiekę funduszom wychowania, skoro je tylko wyroki komisyi edukacyjnych wyjaśniły i udowodniły. W Wilnie do dobroczyńców oświecenia należał podstoli Walicki i za niedawnych jeszcze czasów profesor Jundziłł oraz biskup Cywiński. Mniemanie powszechne wzięło sprawę oświecenia pod swoje orędownictwo, tak, iż dość było odezwać się w jej imieniu, aby wnet obywatele tego kraju pospieszyli z hojną pomocą. W tem uczuciu wzięło początek:

Towarzystwo wspierania ubogich uczniów, które przez czas krótkiego swego bytu wiele przyniosło pożytku, a w późniejszym swoim rozwoju, godnym naśladowania, mogłoby przybrać rozległe rozmiary. Bo jeżeli konwikta przy szkołach pozwalały niedostatnim dzieciom korzystać z instytucyi publicznej, tedy w uniwersytecie dwie tylko były drogi, któremi uboga młodzież znajdowała środki słuchania wykładanych nauk. Rząd uniwersytetu utrzymywał dwunastu młodzieńców w tak zwanem seminaryum nauczycielskiem. Obowiązkiem przyjętego do tego seminaryum ucznia było wysłużenie w okręgu naukowym wileńskim przez lat sześć nauczycielem w któremkolwiek gimnazyum, lub szkole powiatowej według naznaczenia rządu uniwersytetu. Drugim środkiem bezpłatnego słuchania nauk był tak zwany instytut medyków skarbowych. Profesor Józef Frank podał projekt rządowi utrzymywania własnym, odrębnym od uniwersyteckiego nakładem, młodzieży poświęcającej się naukom lekarskim, pod warunkiem odsłużenia skarbowi, bądź w wojsku, bądź w powiecie, podobnież lat sześć, tam gdzie go zwierzchność przeznaczy.

Znajdował się wówczas w Wilnie, przy bibliotece uniwersyteckiej, człowiek niepospolitej zacności serca, prawdziwy miłośnik światła, głęboko przenikający potrzeby kraju i pochopny do zastosowania wszystkiego, co gdziekolwiek ludzie dobroczynni dla dobra ogólnego podjęli. Tym człowiekiem był Kazimierz Kontrym, który za istnienia jeszcze wojska litewskiego, po odbyciu nauk w akademii, wszedł do artyleryi w stopniu oficera; następnie opuściwszy zawód wojskowy przyjęty został jeszcze za rektorstwa księdza Marcina Poczobuta do kancelaryi uniwersyteckiej. Wkrótce spełniał w niej obowiązek sekretarza za rządów księdza Hieronima Strojnowskiego i Jana Śniadeckiego. Mianowany adjunktem, przybrany był za pomocnika przez profesora Godfryda Ernesta Groddecka, który, prócz wykładu literatur: greckiej i rzymskiej, był prefektem biblioteki. Z tego miejsca Kontrym dobroczynnie wpływał na młodzież akademicką, przewodniczył jej doświadczonemi radami swojemi, a posiadając rozległe stosunki w mieście i prowincyi, niewyczerpany był w obmyślaniu sposobów pomocy materyalnej. Owóż Kontrym obeznawszy się z biografią Augusta Hermana Franke, który w Halli, po-

cząwszy od bardzo drobnych składek doszedł do tego, że tak zwany dom sierocy *(orphano tropheum)* zakwitnął jako wspaniały zakład wychowania naukowego, który dostarczył na całe Niemcy ludzi dokładnie usposobionych we wszystkich gałęziach wiedzy, Kontrym podzielił się z bliższymi przyjaciółmi swoimi w Wilnie myślą, że przy wzrastającej liczbie młodzieży, ochoczo napływającej z całego okręgu naukowego wileńskiego, obejmującego dziewięć gubernii, najważniejszą było rzeczą dostarczyć jej środki (sic) utrzymania się w Wilnie. Profesorowie: Mikołaj Mianowski, Jan Wolfgang, Leon Borowski, oświadczyli najochotniej swoje współpracownictwo w doprowadzeniu do skutku tego pięknego zamiaru. Przed rozpoczęciem więc roku szkolnego z 1821 na 1822, d. 22 sierpnia, zgromadzili się: Mikołaj Mianowski, Michał Dmochowski, pisarz komisyi edukacyjnej razem i za brata Aureliana, marszałka oszmiańskiego; Jan Rychter, współpracownik przy redakcyi Kuryera litewskiego; Robert Kleczkowski, podkomorzy trocki; Jan Wolfgang, profesor razem i za Jana Szantyra geometra uniwersyteckiego; Kazimierz Kontrym; Leon Borowski, profesor literatury powszechnej, razem i za Feliksa Siesickiego, sędziego wiłkomirskiego; Stanisław Rodziewicz, kasyer uniwersytetu; Franciszek Wróblewski, doktor medycyny; Józef Karczewski, znakomity w swoim czasie prawnik i obrońca sądowy w komisyi Radziwiłowskiej; Ignacy Łagiewnicki, adwokat; Jan Gieczewicz, obywatel powiatu wileńskiego; Ignacy Baliński, marszałek powiatu wileńskiego, razem i za brata Michała. Na tem posiedzeniu postanowiono następne prawidła: członkami towarzystwa zostają dobrowolnie wszyscy, którzy cel jego za ważny i pożyteczny uznają, bez różnicy wyznania, stanu i powołania. Aby otworzyć drogę dla największej liczby członków, upłata uchwalona była nadzwyczaj mała, bo każdy z członków wnosił jednorazowie po rs. 3 i obowiązał się płacić co miesiąc z góry 2 złote srebrem. Prócz tego otrzymywał książeczkę drukowaną, tak dla zbierania nowych członków, jakoteż dla zbierania dobrowolnych składek choćby w najdrobniejszych ilościach. Tacy kollektorowie zebrane składki i opłaty miesięczne wnosili do kasyera towarzystwa, Stanisława Rodziewicza. Nimby towarzystwo otrzymało stałą organizacyę

od zwierzchności uniwersyteckiej, założyciele jego naznaczyli: dyrektora, sekretarza i ekonoma.

Skoro ustanowienie towarzystwa rozgłosiło się w Wilnie i na prowincyi, powszechność przyjęła myśl jego założenia z wielkiem zadowoleniem. Liczba członków codziennie wzrastała. Zamożniejsi obywatele chętnie zapisywali się do jego grona, ale nawet ubożsi, ze stanu kupieckiego, rzemieślnicy, nie wyłączając starozakonnych, oświadczyli chęć należenia do przedsięwzięcia, którego pożytek dla każdego był oczywistym. Rektor, Szymon Malewski, znajdując zamiar towarzystwa chwalebnym i pożytecznym, potwierdził jego istnienie d. 26 sierpnia tegoż roku i wnet z początkiem roku szkolnego 1821/2 działania towarzystwa weszły w życie. Z początku dyrektor z członkami mieli dowiadywać się u profesorów, jacy z ubogich uczniów zasługiwali przed innymi na wsparcie, składające się z biletów wydawanych na miesięczny stół bezpłatny, po dwie potrawy na obiad, a jedną na wieczerzę, w najętej przez ekonoma gospodzie; ale wkrótce postrzeżono, że tego rodzaju pomoc była najpotrzebniejszą dla uczniów poraz pierwszy przybywających z gimnazyów i szkół powiatowych, o których profesorowie jeszcze zdania powziąść (sic) nie mogli. Na jednem więc z posiedzeń założyciele postanowili komitet egzaminacyjny, przed którym każdy z uczniów niedostatnich, żądających pomocy, składał świadectwa otrzymane od zwierzchności szkolnej, i paszport dozwalający mu zamieszkać dla nauk w Wilnie, (sekretarzem tego komitetu był Mikołaj Malinowski). Mniej starano się powziąść wyobrażenie o naukowem usposobieniu ucznia, jak o rozwoju jego umysłu i o stopniu pojętności, tudzież ochoty do pracy. Doświadczenie przekonało, że to była najwłaściwsza droga. Według świadectwa osób w komitecie egzaminacyjnym zasiadających, nie jeden z uczniów szkół powiatowych bardzo miernego usposobienia, ale okazujący wrodzone zdolności i chęć do nauki, odznaczył się później swietnemi postępami przy słuchaniu kursów uniwersyteckich. Zasoby pieniężne towarzystwa pomnażały się i przyszłość jego zdawała się już być zapewnioną, gdy w r. 1822 zawisła nad Uniwersytetem burza, której przewidzieć ani lękać się było niepodobieństwem.

Po krótkiej przerwie wykładu nauk w uniwersytecie z powodu wojny r. 1812, wszystko zdawało się wracać do właści-

wego trybu; młodzież majętniejsza obywatelska gromadnie zjeżdżać się do Wilna poczęła, ale na nieszczęście miłość nauki, z małemi bardzo wyjątkami, jeszcze się w niej nie upowszechniła; i owszem, lenistwo, szukanie roztargnień i łatwych rozrywek, martwiło zwierzchność uniwersytecką, a niekiedy gorszyło ludzi poważniejszych. Właśnie wówczas kilku dojrzalszych uczniów, a na ich czele Tomasz Zan i Jozef Jeżowski, pojmujący ze wzniosłego stanowiska cele życiowe, boleli nad tym kierunkiem młodszych współbraci i obmyślać poczęli sposoby zwrócenia ich na właściwą drogę.

Według przekonania tych zacnych zwolenników cnoty i nauki widzieli oni konieczną potrzebę podnieść uczniów uniwersyteckich do tego stopnia godności, aby nie tylko ukształceniem naukowem, ale przyzwoitością postępowania i obyczajami byli wzorem dla całego dorastającego pokolenia. Chodziło im głównie o to, aby młodszych uczniów uniwersytetu doprowadzić do zamiłowania wiedzy, a przytem przeniknąć wstrętem do wszystkiego, co było gminnem i pospolitem. W tych latach właśnie pozawiązywały się w uniwersytetach niemieckich stowarzyszenia, między któremi tak zwany »związek cnoty« *Tugendbund*, największy rozgłos otrzymał; tylko, że wskutek właściwego umysłom niemieckim nastroju i ówczesnych okoliczności politycznych, członkowie związku cnoty wywołani zostali do czynnego przeciwdziałania przewadze francuskiej. Rządy postrzegły się wkrótce, że pierwiastek polityczny za wiele począł brać miejsca w życiu młodzieży uniwersyteckiej, poczęły więc działać na jego rozprzężenie. Zaprzeczyć jednak było niepodobieństwem, żeby zbliżenie między sobą młodzieży w celach poważniejszych silnie nie wpłynęło na poprawę obyczajów i na usunięcie tych zdrożności, jakie w postępowaniu uczniów i rozzuchwaleniu ich raziły. Zan i Jeżowski, obeznawszy się bliżej z organizacyą *Tugendbundu*, ocenili cały wpływ obyczajowy, jaki zaprowadzenie podobnego związku mogłoby wywrzeć na wileńską uniwersytecką młodzież. Dalecy od wszelkich pomysłów politycznych, poczytywali za główny cel swoich usiłowań zaszczepienie w młodzieży miłości nauki, zasad uczciwych i ukształconego wdzięku w zewnętrznem życiu. Ale ponieważ tajemnica wywiera pewien urok, na młodą zwłaszcza wyobraźnię, za radą więc Kazimierza Kontryma,

postanowili zawiązać [1]) towarzystwo zwane filomatów t. j. miłośników nauki, które wkrótce zmieniło nazwę na filaretów, miłośników cnoty. W tak zawiązanem towarzystwie, przepisali sobie główne prawidła, rodzaj kodeksu, złożonego rektorowi uniwersytetu Symonowi Malewskiemu, który widząc, że gdyby młodzież uniwersytecka wszystkie te prawidła spełniała, nicby nie pozostawało do życzenia i prowadzenie młodzieży byłoby wzorowem, upoważnił ten rodzaj kodeksu swojem potwierdzeniem.

Wszyscy filareci dzielili się na siedm gron, czyli związków, podług siedmiu pierwotnych, przyrodzonych barw światła. Dni tygodnia rozebrane były w ten sposób, że w każdym z nich po kolei odbywało się posiedzenie jednego związku, na czele których stał wolnemi głosami wybrany przewodnik, utrzymujący kierunek zatrudnień wspólnych. Na posiedzeniach układano programat następnej schadzki, zapisywali się ochotnicy do czytania za tydzień swoich wypracowań na piśmie. Nie było prawie zdarzenia, żeby kto nie wywiązał się z przyjętego obowiązku. Prócz członków zwyczajnych, należących do grona, wolno było każdemu filaretowi odwiedzać je w dniu schadzki. Związek błękitny, jako składający się z uczniów wydziału filologicznego, najczęściej był odwiedzany, bo spodziewano się usłyszeć jaki piękny utwór poezyi lub prozy. Zresztą przedmioty brane za treść tych wypracowań na piśmie, obchodziły ludzkość wogóle, i nigdy prawie nie należały do rzędu jakiej szczególnej odrośli wiedzy. Tu po większej części występowali młodzi poeci: Adam Mickiewicz, Antoni Edward Odyniec, Julian Korsak, Ignacy i Aleksander Chodźkowie, Jan Wiernikowski, Feliks Kułakowski, Dominik Orlicki i wielu innych. Lecz nie należy rozumieć, aby inne grona jak naprzykład: prawników, fizyków i matematyków, medyków i sztuk pięknych nie były odwiedzane przez filaretów poświęcających się innym gałęziom nauk. I owszem, skoro wieść rozeszła się, że który ze znajomych uczniów miał czytać swoją robotę, wnet schodzono się tak gromadnie, jak

---

[1]) W tem miejscu brak zapewne wyrazu »tajne«, bez którego zdanie nie byłoby logicznie związane. (Uw. wyd.).

tylko miejscowość pozwalała — i te posiedzenia były bardzo pożyteczne i nauczające.

Młodzież pochopną jest z przyrodzenia do rozmiłowania się w przedmiocie, który ją bliżej zajął, a to nawet do tego stopnia, że często nie waha się poniżać przedmiotów innych, z któremi nie miała zręczności bliżej się obeznać. Powstawały stąd częste spory, a owocem tej umysłowej szermierki było to właśnie, że młodzi nabywali wielostronnego ukształcenia, unikali pedantyzmu i zasklepienia się w danej jakiej ciaśniejszej skorupie. Rzeczywiście też ówczesna młodzież uniwersytecka odznaczała się wielostronnością ukształcenia i szerszym na świat i ludzi poglądem. Każdy, który dowiedział się o jakim ważniejszym szczególe uprawianej przez siebie nauki, tem chętniej dzielił się nim ze współbracią, bo wiedział, że znajdzie ochoczych i pojętnych słuchaczów. To wzajemne odwiedzanie gron, ten ciągły stosunek młodych pracowników całego obszaru wiedzy wywierał wpływ dobroczynny i nieraz widziano zdolniejszych zwolenników Hipokratesa, lub Justiniana, żywo zajętych rozpytywaniem się tego, co świeżo zjawiło się na polu dziejów, filozofii, lub nauk ścisłych. Lata w których filareci wspólnie pracować zaczęli, były pod względem umysłowym pięknemi latami europejskiego ukształcenia. Jeszcze nie przebrzmiał głos wielkich wieszczów i zdawało się, że we Francyi, Anglii i Niemczech otwierało się rozleglejsze pole dla nauk nadobnych i sztuki. Katedry wielkich mistrzów brzmiały wymownemi ich głosami: Guizot, Villemain, Cousin potrafili rozniecić prawdziwy zapał do rzeczy pięknych i wzniosłych. Duch poezyi na strunach Brodzińskiego, Malczewskiego, a głównie Mickiewicza, objawił się niesłychanym dotąd głosem. Łatwo więc pojąć, że w takim nastroju ducha najczęstsze stosunki i wymiana uczuć i pojęć musiała być wielkiego wpływu. Dla głównego zadania, które przewodniczyło zawiązaniu się filaretów w towarzystwo, t. j. dla moralnego ich udoskonalenia, to zbliżenie się młodzieży między sobą było również zbawienne. Uczucie miłości braterskiej w najszlachetniejszem tego wyrazu znaczeniu coraz więcej nabierało potęgi, tak dalece, że każdy filaret poczytywał za najświętszy obowiązek czuwać nad bratem, aby ten nie zboczył z tej drogi, jaką poszli najznakomitsi między niemi. Miłość nauki i doskonalenia wszystkich władz

umysłu i serca stawała się coraz silniejszą, a przekonanie, że w tem przedsięwzięciu szczera, braterska pomoc jest najskuteczniejszą, coraz się bardziej upowszechniało. Stojący na czele stowarzyszenia Tomasz Zan przyświecał wszystkim, wzorem prawości, czystych obyczajów i serdecznego braterstwa. Zadanie moralnej poprawy młodzieży i czujność uad jej życiem wymagało wiele pracy. Jeden arcy, jak Zana zwano, nie byłby w stanie wszystkiego i wszystkich pilnować, należało mu więc dodać pomocników; znaleziono ich naprzód w przewodnikach siedmiu gron, a później nieco w filaretach większą dojrzałością wieku i nauki zaleconych. Oni to razem z Zanem składali izbę dozorczą, w której zbiegały się wszystkie siły stowarzyszenia. W izbie doradczej obmyślano środki łatwiejszego dojścia do celu i za jej postanowieniem zdolniejsi filareci pootwierali wykłady nauk wstępnych, mogących ułatwić mniej przygotowanym uczniom uniwersytetu korzystne słuchanie kursów i nauk pomocniczych, jakiemi były języki obce. Pod tym względem, praca tych, którzy podjęli się wykładu, o ile była szczerą i gorliwą, o tyle przyniosła nieobliczonych korzyści. Szczególniej zasłużyli się na tej drodze: Jan Sobolewski, Jan Hejdatel, Józef Jeżowski, Jan Wiernikowski, Józef Kowalewski, że wiele innych pominiemy. Ale prócz nauki, wpływ izby doradczej na obyczaje był niezrównany. Przy zachowaniu najściślejszej tajemnicy, żadne zboczenie nie uniknęło czujności głównego zwierzchnika. Nie lekceważono drobnych nawet usterków. Nie zbywało filaretowi uniesionemu, czy złym przykładem, czy krewkością wieku, na wczesnej, rozumnej, a zawsze z najczulszem przywiązaniem wypowiedzianej przestrodze. Wszystkie stosunki towarzyskie między filaretami nosiły to znamię i dążyły do owego złotego prawidła: *mens sana in corpore sano*: t. j. do utworzenia zdrowej myśli w zdrowem ciele. Rozrywki zastosowane były do osiągnięcia tego celu. Na przechadzkach, zwykle porannych, udawano się w dalekie urocze okolice Wilna, gdzie lekki posiłek z mleka, pod obydwoma względami odpowiadał i wiekowi i potrzebom młodych nieskażonych umysłów. Zdarzyły się niekiedy uroczystości, również proste, ale nie mniej wzniosłe i rzewne. Przybycie którego filareta, mieszkającego zdala od Wilna, lub dzień urodzin którego z zasłużeńszych dawał do nich powód. Pa-

miętnym był dla wszystkich, po dłuższej nieobecności i przebytej ciężkiej chorobie, powrót Adama Mickiewicza, którego współbracia powitać chcieli w prześlicznej dolinie prowadzącej z Markuć do Gór, gdzie wieszcz uniesiony najszczytniejszemi uczuciami braterstwa, przecudną improwizacyę przy złożeniu pierścienia Zanowi zachwycił całe grono jednomyślnych z sobą słuchaczów. Zapewne żaden z filaretów nie zapomni dnia wielkanocnego r. 1823. Znaczna ich liczba nie mogąc rozjechać się na święta do rodzin, chciała ten najuroczystszy dzień w chrześcijaństwie święcić razem; obrano więc na to Góry, majętność wówczas jenerała Paca. Przygotowano skromne święcone, a jeden z filaretów, ksiądz Lwowicz, młody kapłan zgromadzenia księży Pijarów, odprawił na podróżnym ołtarzu mszę świętą i pobłogosławił zacną ręką zebranych współbraci. Późniejsze życie tego męża, niezłomna moc jego duszy, wytrwałość w prześladowaniach, kazały każdemu z tych, na których głowę spłynęło to błogosławieństwo, widzieć w niem zadatek przyszłej opieki nieba.

Tymczasem dobijała ostatnia godzina bytu zgromadzenia filaretów, na co wpłynęły zmiany, jakich doznał sam uniwersytet [1]).

Było to w r. 1823. Książę Czartoryski przestał już być kuratorem. Nowosilcow, nie naznaczony jeszczę na tę dostojność z ręki Cesarzewicza, zarządzał uniwersytetem wileńskim. Rektor Twardowski złożył urząd, Pelikan spełniał jego obowiązki. Może wszystko wróciłoby do równowagi, kiedy prosty przypadek nadał rzeczom zgubny obrót. Między uczniami uniwersytetu znajdował się młody Józef Massalski, syn obywatela powiatu Ihumeńskiego, który sprawę o majątek w sądzie głównym mińskim przegrał. Napisał list pełen rozpaczy do syna, narzekał na niesprawiedliwość wyroku, ale razem oświadczył, że niema środków dochodzenia swej krzywdy w senacie, bo majątek szczupły, a odcięto mu z niego połowę. Józef Massal-

---

[1]) W tem miejscu w rękopisie jest odnośnik: „Patrz strona 49 Nr. 51«. Stosownie do tej wskazówki wprowadzam tu ustęp oznaczony powyższym numerem, a wiążący się ściśle treścią z tem, co poprzedza. (Uwaga wyd.).

ski, chłopiec ognistej głowy i serca, tknięty rozpaczą ojca, uwierzywszy w to, co powtarzano, że cesarzewicz był sprawiedliwym, wpadł na myśl dziwną, oddania mu sprawy ojcowskiej w opiekę. Nie radząc się nikogo, poszedł do jenerał-gubernatora Korsakowa i oświadczył mu, że żąda być posłanym do Warszawy, do Wielkiego Książęcia, dla odkrycia mu bardzo ważnej tajemnicy politycznej. Korsakow był starcem już przez wiek złamanym, ale z gruntu był dobry, powiedział więc Józefowi Massalskiemu, aby zwierzył mu się z tą tajemnicą, że on oceni, czy warto utrudzać Wielkiego Księcia; przedstawił mu następstwa, jeżeliby cesarzewicz nie osądził tajemnicy za tak ważną, jaką zdawała się być Massalskiemu, że to ściągnąćby mogło smutne dla niego następstwa. Massalski zimno i stanowczo powiedział, że chce jechać do Warszawy. Przy dodanym więc urzędniku od policyi i żandarmie wyprawiony został w tę podróż. Nieszczęście tak chciało, że stanął w Belwederze o godzinie 1-szej po północy. Wielki Książę Konstanty sypiał mało, ale mocno, i nadzwyczaj go gniewało, kiedy mu sen przerwano. Jednak ponieważ aż do najwyższego pedantyzmu posuwał obowiązki służby, jak nazywał, skoro więc urzędnik oświadczył dyżurnemu adjutantowi, że przyjechał z depeszą od jenerał-gubernatora wileńskiego, ten natychmiast poszedł obudzić Wielkiego Księcia Konstantego i wręczyć mu pismo. Przeczytawszy, że miał dowiedzieć się o ważnej tajemnicy politycznej, rozdąsany, że go obudzono, zerwał się z łóżka boso i nic nie włożywszy na siebie wpadł do sali i ujrzawszy Massalskiego, krzyknął tylko chrapliwym głosem: »mów«, dając znak ręką, aby wszyscy wyszli. Massalski wyrecytował przygotowaną w drodze mowę o niesprawiedliwości domierzonej jego ojcu, opowiedział szczegółowo cały proces, błagał o opiekę nad pokrzywdzonym i z milczenia księcia rokował najlepszą nadzieję. Tymczasem cesarzewicz piorunującym głosem krzyknął: »Kłamiesz! Miałeś uczciwe wzruszenie w Wilnie, chciałeś odkryć spisek, ale rozmyśliwszy się w ciągu drogi ułożyłeś jakąś bajkę, która do mnie nie należy, bo wyroki sądowe rozpatruje senat; ja mieszać się w żadne pieniactwa nie chcę: mów prawdę, albo zginiesz«. Massalski odpowiedział, że nie widząc innego sposobu ratowania całej rodziny, tylko w odwołaniu się do sprawiedliwości cesarzewicza, użył tego fortelu, aby znaleść przy-

stęp do jego osoby. Cesarzewicz kazał natychmiast przywołać sekretarza, napisać do jenerała Rozen, dowodzącego dywizyą wojska litewskiego w Wilnie, aby Massalskiego sądzić za zbrodnię oszustwa Wielkiego Książęcia. Na czwarty dzień po wyjeździe odwieziono Massalskiego do Wilna, osadzono w więzieniu w koszarach św. Kazimierza i rozpoczęto śledztwo. Zaczęto od zebrania o obwinionym wiadomości, a między innemi, z kim z kolegów miał najbliższe stosunki. Dowiedziano się, że z Janem Jankowskim, uczniem uniwersytetu, bratem stryjecznym Johna of Dycalp. Kazano go szukać, ale nie było go w Wilnie, wyjechał na wakacye; w mieszkaniu zaś jego na Skopówce, w domu dawniej Święcickiego, znaleziono w zajmowanym przezeń pokoiku kuferek z książkami i papierami. Komisya przy ich rozpatrzeniu znalazła listę Filaretów i kilka przepisanych piosnek tego towarzystwa, a oprócz tego, ponieważ Jan Jankowski i sam pisywał wiersze — lubo zdolności do poezyi nie posiadał — komisya napadła na własny jego przekład bezecnych erotyków Barkowa. Już tego było dość do ściągnięcia na Jankowskiego surowej kary. Posłano go szukać, nie znaleziono w domu rodziców, bo zrobił wycieczkę do krewnych swoich, mieszkających za Bugiem w Krolestwie Polskiem. Nowy występek, przejechał granicę bez paszportu. Tymczasem z rozkazu Wielkiego Księcia Konstantego rozesłano po wszystkich dziewięciu guberniach polskich więzić i do Wilna przywozić Filaretów, znalezionych na liście Jankowskiego. Lista ta była niezupełna i więcej niż w połowie urwana, ale już w lipcu więzienia napełniać się poczęły. Tomasz Zan najpierwszy został przywieziony i osadzono go w Ostrogu. Odtąd dzień nie minął, żeby kilku lub kilkunastu nie schwytano. Niewiadomo czemu przypisać, że chociaż w Wilnie wielka liczba Filaretów przez czas wakacyjny została, żadnego z nich nie turbowano. Nakoniec sprowadzono i Jankowskiego, a gdy z konfrontacyi jego z Józefem Massalskim nic się nie wyjaśniło, prócz, że obaj byli Filaretami, sąd wojenny, do którego należała tylko sprawa o zarzucane Massalskiemu oszukanie Wielkiego Księcia, prędko wyrok swój wydał i potępił Massalskiego na prostego żołnierza w korpusie litewskim bez wysługi. Cesarzewicz kazał go odesłać do jednego z pułków, stojących na Wołyniu. Jankowski, zastraszony srogością kary za bluźnierstwa, jak nazywano, mio-

tane na cesarzową, i łudzony nadzieją przebaczenia i względów rządowych, jeżeli wszystko wyzna, co wiedział o towarzystwie Filaretów, począł albo potwierdzać obwinienia, które mu nastręczano, albo sam wymyślać zamiary polityczne, które nigdy w obręb działania towarzystwa nie wchodziły. Im więcej więźniów przybywało, tem akt oskarżenia stawał się obszerniejszym i rozmaitszym, bo u wielu młodych znaleziono wiersze, tchnące nienawiścią do rządu, książki zakazane, listy, których treść dawała powody do podejrzeń i tym podobnie. Uzupełniono też listę Filaretów, a po przywiezieniu już do Wilna rozpierzchłych po rozmaitych powiatach, zaczęto więzić tych, którzy stale mieszkali w Wilnie. Adam Mickiewicz, po ciężkiej chorobie przebytej w Kownie, otrzymał od uniwersytetu pozwolenie zamieszkania w Wilnie, gdzie mógł mieć łatwiejszą pomoc lekarską. Uniwersytet z ojcowską wyrozumiałością zostawił mu pensyę nauczycielską, jaką pobierał w Kownie i przeznaczał dlań po wyzdrowieniu wyższą posadę w swoim gronie. Ale skoro komisya ustanowiona przez Nowosilcowa znalazła go na liście Filaretów, natychmiast jak i inni został zamknięty w klasztorze Bazylianów, zamienionym na więzienie. Śledztwo ciągnęło się leniwie, jesień nadchodziła, trzeba było urządzić na zimę klasztory: bernardyński, pijarski, dominikański, franciszkański i misyonarski. Profesorowie dowiadywali się co rana o tem, że po kilku ich najlepszych, albo dawniejszych, albo teraźniejszych uczniów w nocy zabierano.

Na jednej lekcyi zacny Groddeck, tłómacząc mowę Demostenesa za Ktezyfonem, doszedł do pysznego ustępu, w którym mowca opowiada okropności tej nocy, w której Filip Macedoński wtargnął do Aten i najzasłużeńszych obywateli rzeczypospolitej do więzienia powtrącać rozkazał. Wymawiając słowa — »noc była« — zalał się łzami, bo właśnie przeszłej nocy uwięziono: Mickiewicza, Kowalewskiego, Aleksandra Chodźkę, Jeżowskiego, Wiernikowskiego i jeszcze kilku innych. Ale nadszedł dzień pierwszy listopada; wieczorem około godziny 10, największą liczbę pochwytano po domach. Wówczas i Malinowski był wzięty i odprowadzony do klasztoru Bernardynów. Cela była nadzwyczaj mała, ćwierć jej zajmował jeszcze ogromny piec ceglany; widać, że dawno nie była zamieszkaną, gdyż była nadzwyczaj brudną. Wydała się Malinowskiemu okropną.

W rozruchu zabierania osoby i pościeli trudno było pomyśleć o wzięciu z sobą jakiej książki. Co więzienie okropnem czyniło, to, że z początku każdemu więźniowi dodawany był żołnierz, który z nim razem w tej celi musiał się mieścić. W kilka dni jednak to się zmieniło i już żołnierze na korytarzu straż odbywali. Że zaś każdy po pięć cel miał pod dozorem, stanowiło to pęk kluczów, któremi ciągle po korytarzu jak kajdanami brzękali. Pod względem wygód nie było niedostatku, bo mieszkańcy wileńscy dali wówczas dowody wzorowej ludzkości. Właściciele domów zamożniejszych pospisywali więźniów po klasztorach i komu do którego klasztoru było bliżej, jeżeli Filareta bliższe związki pokrewieństwa lub przyjaźni z kim nie łączyły, przyjęli na siebie obowiązek pamiętania o wygodach stołu i bielizny. Uwięzieni u Bernardynów obsyłani byli przysmakami od panien Święto-Michalskich. Na usilną prośbę, zaniesioną do odwiedzających urzędników, a mianowicie do poczciwego policmajstra Szłykowa, każdy dostał po kilka książek sprowadzonych z domu albo dostarczonych przez księgarza Józefa Zawadzkiego, który okazywał w tej mierze najszczerszą uczynność. Ale ponieważ odmiana mogła tylko następować przez ręce Szłykowa, szło to bardzo leniwo, tak, że często po tygodniu i więcej nie było co do czytania. Jednego wieczoru w początkach grudnia (1823) Malinowski zgasił świecę i zatopił się w myślach. Wtem coś zlekka poczęło uderzać w szybę tak jakby zziębnięta ptaszyna dzióbkiem dopominała się o danie sobie przytułku. Malinowski otworzył połowę okna. Długa żerdź wsunęła się do celi; ująwszy ją po ciemku, więzień poczuł, że koniec obwinięty był papierem. Skoro go zdjął, żerdź cofnęła się nazad Rozniecił ogień i znalazł kilka słów napisanych ołówkiem przez Aleksandra Borowskiego, młodszego brata profesora Leona, z którym Malinowski ściśle był sprzyjaźniony. Śliczny to był chłopiec ten Aleksander. A taki serdeczny, taki miły i usłużny, że równego mu znaleść było trudno. W papierze, którym żerdź była okręconą, znalazł się mały kawałeczek ołówka i przestroga, że jeśli przyjdzie co odpisać, należy w okno zapukać, a żerdź odpowiedź przyjmie. Donosił też razem, że jako uczeń skarbowy medycyny mieszka bezpłatnie w klasztorze Bernardynów, na dole, tuż pod Malinowskim i że co nocy, nim księżyc wejdzie, będzie mógł tą drogą komuni-

kowaś się z sąsiadem. Malinowski prosił, aby Aleksander poszedł nazajutrz do przyszłej jego żony i poprosił ją o uszycie sporej torbeczki z grubego płótna, aby w nią włożyła kłębek szpagatu, parę ołówków, scyzoryk i z pół libry papieru. Tegoż dnia wieczorem usłużna żerdź to wszystko podała. Od tej pory korespondencya szła najregularniej; tą drogą dostały się wszystkie żądane książki, listy, nowy zapas papieru i drobniejsze sprzęciki. Koledzy Malinowskiego, może pozbawieni tego środka, mogącego im skrócić czas i osłodzić samotność więzienia, nie zważając na zimno, otwierali okna, i leżąc na nich rozmawiali z sobą. Komendant miasta, obchodząc straże, postrzegł to, doniósł, kazano popieczętować okna. Kilka dni przerwała się wszelka komunikacya. Szłykow z obowiązku odwiedzając więźniów wszedł do celi Malinowskiego, który żalił mu się, że powietrze było nieznośne w tak ciasnem zamknięciu, którego przez odemknięcie okna odświeżyć było niepodobna. Szłykow z uśmiechem odpowiedział, że na to jest sposób wybić niby przypadkiem szybę, a nim nowe szkło wstawią, można celę przewietrzyć, aby zaś nie było zimno, zatkać otwór poduszką. Malinowski zapytując: »czy tak?«, uderzył w szybę, która wyleciała z brzękiem. Ledwie na trzeci dzień zastąpiono szkło rozbite nowem, a tymczasem żerdź znowu ukazała się przed otworem i Malinowski mógł napisać, żeby mu przysłano kawałek laku i strunę fortepianową. Odtąd co wieczór, kiedy miał zkomunikować się z poczciwym Aleksandrem, nagrzewał strunę nad świecą, potem pociągał ją pod pieczęć policyjną, która odstawała od drzewa bez najmniejszego naruszenia. Za danym znakiem żerdź zjawiała się i korespondencya szła regularnie na nowo. Malinowski nie doznawał już niedostatku w książkach. Przywykł do swego położenia, nawet to ciągłe odosobnienie poczynało nabierać jakiegoś smutnego powabu. Dla ruchu zażądał od żołnierza, aby za dane mu pieniądze kupił szczotkę i co dzień najczyściej wymiatał swoją celę. Sprowadzonemi w worku ścierkami pył ścierał i cela nabrała nawet pewnego rodzaju elegancyi. Przeczytał w więzieniu wszystkie dzieła Cycerona i Xenofonta, historyę literatury włoskiej przez Ginguené, historyę rzeczypospolitych włoskich Sismondi, prócz kilkunastu romansów Walter-Scotta. Dni upływały jednostajnie, ale mile. Często zaczytawszy się głęboko

w noc, usypiał po północy. O godz. 4-ej żelazna grzechotka budziła Bernardynów do chóru, budził się i Malinowski, ale wnet przy jednostajnym śpiewie zakonników, przy poważnym, a tłumionym głosie organów znowu usypiał i kołysany tą harmonią nie pamiętał, aby kiedykolwiek przedtem i później tak słodkiego snu używał. Czasami, kiedy kapral był katolik, niektórzy z Bernardynów zachodzili do celi choć na krótką pogadankę. Malinowski raz tylko wzywany był na komisyę i wracał w czasie takiej zamieci śniegowej, że świata było nie widać. Przechodząc mimo księgarni Zawadzkiego, chciał do niego wejść i podziękować mu za obsyłanie siebie książkami. Żołnierz zgodził się na to, a obdarzony przez Zawadzkiego rublem zapytał: czy jeszcze dokąd zajść nie miał więzień ochoty? Zwrócił więc na prawo i wstąpił do domu Guttów. Sama pani Guttowa (w młodości była cudnie piękną) złotego serca kobieta, była właśnie na dole swego mieszkania w śpiżarni. Malinowski wbiegł, aby jej ręce ucałować. Niespodziany widok człowieka, którego jak syna kochała, sprawił, że z radości zemdlała. Zbiegła i bogdanka Malinowskiego. Widzenie się im niespodziańsze, tem milsze, dodało Malinowskiemu odwagi do znoszenia swej doli. Ciągnęły się tak dni i miesiące, aż dopiero w wielki czwartek w kwietniu (w r. 1824) został uwolnionym. Nazajutrz poszedł odwiedzić znajomych. Naprzeciw księgarni Zawadzkiego zdybał się z Gołuchowskim, który serdecznie ściskając go, powiedział: »toż dziś tylko Barabaszów uwalniają«. Malinowski odrzekł, że był już uwolniony wczoraj na Wieczerzę Pańską. Idąc w dół ulicą Biskupią ujrzał idących naprzeciw siebie państwa Tycyusów. Młoda i śliczna wówczas pani Tycyus tak się ucieszyła widokiem znajomego sobie i sprzyjaźnionego z domem Filareta, że zapomniawszy się, że to było w dzień biały i na ulicy, rzuciła mu się na szyję. Za przybyciem do Groddcka starzec ze współczuciem rozpytywał go o szczegóły więzienia. A kiedy mu Malinowski powiedział, że całego Cycerona przeczytał od deski do deski, a znakomitsze mowy i Tuskulanki po kilka razy: uszczęśliwiony Groddeck uścisnął go jak syna.

Jankowski po skończeniu całego śledztwa, obciążony hańbą zdrajcy i wiarołomcy, otrzymał od rządu przebaczenie, a nawet przyjęty został do służby, ale sam prosił, aby mu dano posadę

w głębi Rosyi, w dalekiej jakiej prowincyi. Posłany więc do Permu, na powtórną prośbę otrzymał pozwolenie zmiany nazwiska i ślad po nim zupełnie zginął. Józef Massalski służył od r. 1823 prostym żołnierzem, aż do wojny tureckiej, i wtenczas po zawarciu pokoju adryanopolskiego (1829) otrzymał dymisyę. W wojsku jeszcze będąc poznał się i sprzyjaźnił z młodym oficerem ułanów Jurewiczem, który potrafił zjednać miłość hrabiny Joanny z hrabiów Moszyńskich Piotrowej Moszyńskiej, której mąż, jeden z najzacniejszych miłośników kraju, sądzony był w r. 1827 na utratę tytułu hrabiego i dziewięcioletnie wygnanie do Tobolska. Przez ciąg dwuletniego jego więzienia w kazamatach w Petersburgu, pani Joanna Moszyńska, zajęta nową miłością, myślała raczej o rozwodzie niż o dzieleniu doli męża. Dobra wówczas nie były konfiskowane. Piotr Moszyński używał wszystkich dochodów z ogromnych majętności posiadanych na Ukrainie, któremi wzorowo i sumiennie zarządzał jego przyjaciel Ksawery Sabatyn, zamożny obywatel na Podolu. Massalski po wyjściu z wojska użyty był przez Jurewicza do administrowania dobrami pani Joanny Moszyńskiej, która po rozwodzie podzieliwszy się dobrami z mężem wyszła za Jurewicza. Piotr Moszyński córkę jedynaczkę wydał za hrabiego Szembeka, sam zaś, oddawszy im majątki i zawarowawszy sobie znaczny z nich dochód, przeniósł się do Krakowa, gdzie dotąd jeszcze żyje i prócz gotowości na wspieranie nędzy należy do wszystkiego, co jest prawdziwie polskiem i szlachetnem. Massalski tymczasem w uczciwej pracy i w hojnem wynagrodzeniu znalazł byt zapewniony. Kupił na Wołyniu piękny majątek, ale niedługo z niego korzystał. Umarł około r. 1845 zostawiwszy młodą wdowę i troje dzieci [1]). Jako pa-

---

[1]) Wydawca może tu dodać od siebie wiadomość, zasłyszaną w dzieciństwie od matki, która, jako mieszkająca w pobliskiej wiosce, znała się dobrze z Massalskimi. Massalska ogromnie kochała swego męża; kiedy umarł i już pochowany został w sąsiedniem miasteczku Uściługu, śniło się jej w nocy, że on leży żywy w grobie i woła ratunku. Zbudziwszy się przerażona, natychmiast wybrała się do Uściługa, aby własnemi oczami przekonać się, czy jej sen nie łudził. Otworzono grób: Massalski leżał nieżywy, ale miały być ślady bardzo wyraźne, że pochowano go w letargu i że dopiero w grobie naprawdę umarł. Wiadomość o tem ogromne wrażenie wywołała

miątkę po sobie, zostawił niewielki tomik poezyi ulotnych, jeszcze z czasów uniwersyteckich, ale pełnych werwy, wesołości i dowcipu [1]).

Gdy więc odkrycie Filaretów spowodowało usunięcie od obowiązków kuratora księcia Adama Czartoryskiego, senator Nowosilcow stanął na jego miejscu i postanowił nadać wychowaniu zupełnie odmienny kierunek. Użyci przez niego pomocnicy niezrozumieli ani ogólnych potrzeb Cesarstwa, ani wyłącznych północno i południowo zachodnich jego części. Goniąc za celami ogólnemi, ukształceniu kraju obcemi, nie podnieśli nauk w uniwersytecie, zaniedbali rozwój ich przez ulepszenie gimnazyów, a usiłując psuć wszystko, co od początku wieku dobrego na drodze oświecenia zrobiono, jątrzyli mniemanie powszechne przeciw rządowi, w którego oczach starali się opacznie przedstawiać sposób myślenia i uczucia mieszkańców. Rok 1824 był początkiem reakcyi; raz zasiany kąkol nieufności z jednej, a żalu z drugiej strony, coraz jątrzył wzajemne stosunki. To, co w każdym innym razie przeszłoby niepostrzeżenie, przy takim nastroju umysłów służyło za powód do skarg na rząd, niczem nie usprawiedliwionych. Zwyczajne omyłki lub mimowolne nadużycia przypisywano złej woli rządu i powszechność wmawiając sobie, że tylko złej woli z jego strony doświadcza, gromadziła coraz obfitszy zapas powodów do niezadowolenia. Nawet instytucye, w których widzieć należało uszanowanie dla przeszłości, opacznie tłómaczono; i tak, między skargami, których tłómaczem wystąpił Franciszek Szemiot z gorżkiem narzekaniem na nadużycia komisyi Radziwiłowskiej, w liście do jenerał-gubernatora prowincyi nadbałtyckich, książęcia Lievena, nie wiedział, czy wiedzieć nie chciał, że ustanowienie komisyi było prawdziwem dobrodziejstwem dla prowincyi i wznowieniem tylko najsprawiedliwszej i koniecznej uchwały stanów rzeczypospolitej jeszcze w r. 1775 zapadłej.

---

w sąsiedztwie. Szczegół to o tyle godny zanotowania, że z nim przybywa jeszcze jeden promień mistyczny do sprawy Filaretów.

[1]) Tu kończy się ustęp, oznaczony numerem 51; to, co dalej następuje jest dalszym ciągiem numeru 54. (Uw. wyd.).

Rozmaite przyczyny wywołały w r. 1830 światodziejowe wstrząśnienie we Francyi. Odgłos gwałtownej burzy, która obaliła tron starszej dzielnicy Bourbonów, przebiegł ze straszliwym łoskotem Europę. Narzekania na skutki postanowień wiedeńskich w r. 1815, podniesione we Francyi, z boleścią powtarzano we wszystkich krajach. Zdawało się ludom, że wybiła godzina wynagrodzenia krzywd i sprostowania narzuconych, niesprawiedliwych warunków. W obu obozach sądzono, że czas przerobienia systematu państw nastąpił. Nikt nie wątpił, że rządy wypowiedzą wojnę ludom; w Belgii ukazały się pierwsze objawy walki, która groziła, że cały ląd ogarnie. Utworzone w r. 1815 królestwo holenderskie znalazło się pod bliską opieką: Anglii, Prus, Austryi i Rosyi. Związki rodzinne silniej jeszcze krzepiły myśl polityczną, która przewodniczyła utworzeniu tego królestwa. Król holenderski był mężem królewnej pruskiej; syn jego i następca tronu, był mężem cesarzówny rosyjskiej (Anny Pawłówny); młodszy syn króla pruskiego poślubił królewnę niderlandzką; a drugi syn króla holenderskiego królewnę pruską. Belgowie, którzy składali połowę królestwa niderlandzkiego, różni od Holendrów językiem i wyznaniem, mimo nadaną im konstytucyę doświadczali ze strony panującego plemienia rożnych krzywd i nadużyć. Za przykładem Francuzów podnieśli we dwa miesiące po paryskiem powstanie w Brukselli. Rządy, bliżej i ściślej złączone z domem panującym w Hadze, nie taiły myśli tłumienia Belgów i powszechnie wierzono, że wojna stała się nieuchronną. Francya podniosła wówczas zasadę nie interwencyi i należało oczekiwać, że jeśli wojska cudzoziemskie pośpieszą na pomoc królowi holenderskiemu, wówczas Francya, z całą potęgą praw, pragnień ludu belgijskiego bronić będzie. Obawa, aby to nie zapaliło powszechnej wojny europejskiej, nakazała mocarstwom, a mianowicie Anglii, która wszelkiemi siłami postanowiła nie dopuścić do wojny, całą tę sprawę sprowadzić na pole rokowań polubownych. Ale nikt wierzyć w ich skuteczność nie chciał; mocne było przekonanie, że wojna ogólna zapalić się musi. W Królestwie Polskiem ta wiara była jeszcze niż gdzieindziej silniejszą i ludzie, którzy w traktacie wiedeńsqim widzieli sankcyę krzyczącej niesprawiedliwości tego kraju w latach 1775—1795, wierzyli, że wojna nastąpić musi. Wojsko polskie, przedmiot szczególnej troskliwości i przywiązania

wielkiego księcia Cesarzewicza Konstantego, bitne, ćwiczone i karne, pamiętne braterstwa broni z wojskiem francuskiem, boleśnie cierpiało na myśl, że będzie zmuszone bić się przeciw Francuzom. Wolało więc wszystko ścierpieć, niż wziąść (sic) udział w tej ostateczności.

Za granicą tak zwane stronnictwo wyzwolone, z którego wnet urodziła się liga wyzwolona, liczyło w swem gronie wielką liczbę imion z zasad swoich, swobodzie przychylnych, dobrze już znanych. Tymczasem wyobrażenia przyjazne Belgom coraz w Królestwie Polskiem rosły w mocy i w znaczeniu — i ludzie, stojący na czele ruchu społecznego, przedstawiali ostateczność walczenia przeciw Francyi, na potłumienie zamiarów belgijskich, za największe narodowe nieszczęście. O ile z jednej strony powszechność wierzyła, że Belgia będzie wkrótce widownią wojny, o tyle z drugiej w Królestwie Polskiem usiłowano przekonać siebie i innych, że uczestnictwo wojska polskiego w tej wojnie będzie kopaniem własnemi rękami grobu dla Polski. Pod wpływem tych przekonań, gdy z powodu zawichrzonego stanu Europy rozkazano wojsku w Cesarstwie i Królestwie mieć się w gotowości do pochodu, myśl powstania na własną rękę dojrzała. Kierownicy sprawy powszechnej ludów we Francyi pragnęli wywołać ogólną wojnę, weszli więc w stosunki bezpośrednie z towarzystwami politycznemi, które od roku 1816 Hiszpanię, Włochy, Niemcy, a nawet Północ nurtować poczęły. Wskutek łatwowierności ludzi gorąco kraj miłujących, ale nie dość w głębsze tajemnice polityki i prawa bytu społeczeństw wtajemniczonych, wskutek błędów zarządu w Królestwie Polskiem, rozjątrzenie coraz mocniej wzrastało i do tego doszło, że 17 (29) listopada roku 1830 rokosz wojskowy w Warszawie wybuchnął. Ludzie rodowitością, majątkiem, zasługami i osobistym wpływem przeważni, ujęli w ręce ster władzy i wszystkie kraje polskie pod berłem rosyjskiem zostające powołali do współdziałania. Ani jedna cząstka dawnej Polski nie została głuchą na to wezwanie. W kraju północno-zachodnim naprzód Żmujdź zbrojno wystąpiła, do czego przyczyniło się niewczesne rozporządzenie zaciągu wojskowego w miesiącu marcu wydane. W kraju południowo-zachodnim, zwłaszcza w sąsiedztwie Galicyi, (która zagrzewaną do powstania była przez komitet utworzony w Kra-

kowie, gdzie kształt rządu republikański zaprowadzony przez traktat wiedeński dawał wszelką łatwość do robót politycznych), zapaliło się powstanie co do liczebnej siły swojej dość ograniczone, ale co do przestrzeni, jaką ogarnęło, wielce dla Cesarstwa kłopotliwe.

Rzecz prosta, że niepodobna było myśleć o bitwach w otwartem polu, ale utrudnianie zapasów żywności i zapasów wojennych, przejmowanie gońców, zabieranie poczt, utrudniały skuteczność rozporządzeń wobec ówczesnych okoliczności czynionych. W Królestwie Polskiem wojna prawidłowiej była toczoną. Rozmaite jej przejawy umiejętnie i dokładnie opisane zostały przez Szmita[1]), którego dzieło naprzód zagranicą w języku niemieckim wydane, świeżo wyszło w przekładzie na język rosyjski. Po wzięciu Warszawy, rząd przystąpił do uspokojenia wewnętrznego kraju i poczęto pracować nad takiem jego urządzeniem, aby powrót powstania uczynić niepodobnym. Ogromna liczba osób ze stanu właścicieli ziemskich i wogóle ze szlachty okazała się winną czynnego udziału w powstaniu. Dobra wielkich panów, tak w Polsce, jak i w krajach połnocno-zachodnim i południowym uległy konfiskacie. Obszerne majątki Czartoryjskich, Paców, Sapiehów przeszły na własność skarbu. (Trzeba zebrać wiadomość o dobrach rządowych i skonfiskowanych, które Cesarzowa Katarzyna i Cesarz Paweł rozdarowali jenerałom i wysokim urzędnikom rosyjskim).

Zdawało się rządowi, że wychowanie szkolne należało w zasadach swych zmienić, wskutek czego uniwersytety: wileński i warszawski zamknięto; liceum krzemienieckie z powodu utworzenia nowego uniwersytetu w Kijowie zwinięto; pomoce naukowe, przy rozmaitych zakładach naukowych znajdujące się, gdzieindziej przeniesiono. I tak: księgozbiór uniwersytetu warszawskiego, bibliotekę i zbiory »Towarzystwa przyjaciół nauk«, przeniesiono do Petersburga, nawet zbiory rodzin, jak naprzykład: bibliotekę Puławską podobnież do stolicy Cesarstwa przewieźć kazano. Kraj nagle ujrzał się wyzutym ze skarbów naukowych, od wieków troskliwie zbieranych.

---

[1]) Właściwie Smitta. Smitt Fr. Geschichte des polnischen Aufstandes und Krieges in den Jahren 1830 und 1831 nach authentischen Quellen dargestellt. (Przyp. wyd.).

Zastanawiając się nad pierwiastkami, zasilającemi wyobrażenia krajowi zachodniemu właściwe, rozumiano, że klasa szlachecka i duchowieństwo były ich najdzielniejszemi dźwigniami. Dla tego też obostrzono sposoby prawnego udowodniania rodowitości szlacheckiej; wprowadzono nieznaną w kraju zachodnim klasę odnodworców, a co do duchowieństwa, znaleziono, że liczba klasztorów była zbyt wielka i że największą ich część pozamykać było można. W wykonaniu tego rozporządzenia nie zadano sobie pracy obmyślić pewny, wyrozumowany plan postępowania; kasata klasztorów nastąpiła pośpiesznie i bez ładu. Najszacowniejsze zabytki w księgach, rękopismach i dziełach sztuki poginęły, lub rozbiegły się tak po ręku, że wszelki ślad o nich na zawsze stracony. W dalszym rozwoju tej samej myśli, wskrzeszenia jakoby pierwiastka rodzimego krajom północno i południowo-zachodnim, a tłumienia pierwiastka napływowego, polsko-katolickiego, przystąpiono do zniesienia Unii.

Rozmijałby się z prawdą, ktoby twierdził, że myśl Piotra Skargi doprowadzenia ludności krajów polskich wyznania wschodniego do uległości Rzymowi, była czysto duchowną. I owszem, Skarga dobrze pojmował całą jej polityczną doniosłość. Jakoż pobłażającym był na różnicę obrzędów i kreśląc warunki zgody obu wyznań, nie nastawał na zmianę obrzędów; zostawił unitom cały tryb nabożeństwa, nie dotknął się dogmatów, jedno tylko posłuszeństwo Papieżowi za główny warunek położył. Ale duchowieństwo wyznania wschodniego rozumiało, że, wezwane do braterstwa, miało być we wszystkiem porównane z duchowieństwem rzymskiem. Tak zdrowy rozsądek uczył, tak potrzeba kraju wymagała. Ale przesądy szlacheckie duchowieństwa katolickiego stanęły na zawadzie. Aby wynaleść pozorną przyczynę zachowania duchowieństwa unickiego w niższości, zapomniano umyślnie o bardzo ważnym szczególe, to jest, żeby biskupi uniccy inaczej do tego stanu wynoszeni nie byli jak za bullami papieskiemi; gdy ten warunek był dla duchownych rzymsko-katolickich nieodzownym, mianowanie biskupów unickich zostawiono bezwarunkowo królowi. Na nieszczęście kraju, otworzono wstęp biskupom katolickim do senatu, biskupów zaś unickich do tego najwyższego zgromadzenia nie dopuszczono, z powodu niepewnego ich szlachectwa. Odrazu więc złamano

im wiarę, bo zachęcając do wspólnej uległości papieżowi, wyłączono ich od uczestnictwa jednostajnych prerogatyw. Z powodu, że Skarga był głównym działaczem w tej sprawie, zakon jezuicki uważać ją niejako za własną począł, a sprawiedliwie zważywszy, że zakonnicy będą najpodatniejszym narzędziem do coraz bliższego stożsamienia duchowieństwa unickiego, otworzyli młodzieży zakonnej unickiej, czyli tak zwanym Bazylianom, wstęp do swoich szkół. Że zaś podług zasad Kościoła wschodniego tylko zakonnicy mogli być biskupami, wkrótce cała wyższa hierarchia unicka wychodzić poczęła z rąk Jezuitów i powodować się ich radami. Dla większego jeszcze zbliżenia obu wyznań już w początkach XVIII wieku postarano się o zebranie synodu unickiego w Zamościu i kanony tego synodu przycisnęły pieczęć jednostajności organizacyi wewnętrznej wyznania unickiego z rzymskiem. Bazylianie coraz więcej zbliżali się do Jezuitów i stali się do nich tak podobnymi, że gdy w roku 1773 Klemens XIV zakon jezuicki skasował, Bazylianie największą część kollegiów jezuickich objęli i postarali się o poruczenie sobie wychowania młodzieży. Jeżeli niesprawiedliwość przez duchowieństwo katolickie domierzona unitom, że ich biskupów nie przypuszczono do senatu, wielce ich bolała, jeżeli zamilczenie prawa o stanie synów kapłanów unickich, którym rząd prerogatyw szlacheckich nie przyznał, jeżeli ich skądinąd nie posiadali, ciężko boleć ich musiało, to jednak duchowieństwo wyższe i zakonnicy silnie do nowego składu swego Kościoła było przywiązane.

W ostatnich czasach metropolitą wszystkich unickich w Rosyi kościołów był ksiądz Jakób Bułhak, mąż sędziwy w latach i bardzo do wyznania swego przywiązany. Ponieważ to wyznanie pod względem jego zarządu cesarz Paweł, ustanawiając kolegium duchowne, pod też same prawidła, pod jakie zarząd kościoła katolickiego, poddał, poszło za tem. że po wypadkach r. 1831, kiedy rząd zwrócił uwagę na duchowieństwo i ludność unicką i kiedy powziął myśl zamiany tego wyznania na czysto prawosławne, ówczesny minister spraw wewnętrznych, późniejszy hrabia Błudow, pod którego zarządem znajdowały się wszystkie obce wyznania w Rosyi, pragnął metropolitę Bułhaka skłonić do przystąpienia do cerkwi prawosławnej, ale sędziwy

starzec w żaden sposób zgodzić się na to nie chciał. Postanowiono więc czekać bliskiej jego śmierci, w nadziei, że następca okaże się powolniejszym. Jakoż znajdował się wówczas w stolicy ksiądz Józef Siemaszko, który zasiadał jako członek z dyecezyi łuckiej w kollegium spraw duchownych unickich. Owóż ksiądz Siemaszko wyświęcony na kapłana w bezżeństwie, snać w nadziei wysokich dostojeństw cerkiewnych, ubiegał się o względy ministra, od którego mianowanie biskupów unickich zależało. Nie unikał rozmów z hrabią Bludowem treści hierarchicznej i łatwo zgodził się na to, że duchowieństwo ruskie krajów rzeczypospolitej polskiej i wielkiego księstwa litewskiego nie miało żadnej przyczyny do obstawania przy unii, co pod względem nauki było rzeczą obojętną, a pod względem dogodności i uposażenia cerkwi unickiej szkodliwą. Ale metropolita Bułhak nie umierał; nie nastręczała się też żadna przyczyna do prześladowania unitów. Wtem wybuchnęło powstanie w r. 1830 w Królestwie Polskiem. W gubernii lubelskiej i części podlaskiej ludność wiejska była wyznania unickiego pod zwierzchnością osobnego biskupa tego wyznania, którym był ksiądz S z u m b o r s k i. W Galicyi kościół unicki kwitnął i rządzony był przez arcybiskupa metropolitę halickiego i całej Rusi, bo uważać należy tę okoliczność, że dawniej, póki cały kraj Czerwonej Rusi i Ukrainy do korony polskiej należał, cerkiew ruska, podlegająca patryarsze carogrodzkiemu, była pod bliższym zarządem metropolity urzędującego w Kijowie, a który nosił nazwę a r c y b i s k u p a k i j o w s k i e g o i h a l i c k i e g o. Gdy zaś Kijów odpadł od Polski i wcielony został do Rosyi i gdy później po pierwszym rozbiorze Polski, w r. 1773, Ruś Czerwona przeszła pod berło austryackie, gabinet wiedeński nie chciał na to pozwolić, aby wyznawcy cerkwi ruskiej uznawali zwierzchność metropolity, mieszkającego w obcym kraju i poddanego obcego rządu. Istniejące więc arcybiskupstwo lwowskie podniósł do stopnia metropolii; że zaś Halicz także znajdował się pod panowaniem Austryi i że od czasów jeszcze kwitnienia osobnego królestwa halickiego cerkiew tego grodu używała wielkiej powagi, przeto przepisano metropolicie arcybiskupowi lwowskiemu nazywać się: halickim, z zachowaniem tylko tej ostrożności, aby godność arcybiskupa halickiego poprzedzał dodatek: i kijowskiego, wbrew temu, co się w Ki-

jowie zachowuje. Zresztą metropolia halicko-kijowska rządzi tylko duchowieństwem i ludnością unicką.

Kiedy w Rosyi minister Błudow uważał za rzecz niezmiernie pod względem politycznym ważną zniesienie unii, a jednak sądził, że to nastąpić nie będzie mogło bez czynnego uczestnictwa wyższego unickiego duchowieństwa i gdy spostrzegł w księdzu Józefie Siemaszce narzędzie bardzo przydatne do tej roboty, objaśniony przez niego, znalazł, że długie zatargi, jakie duchowieństwo unickie świeckie i zakonne między sobą różniły, mogą być bardzo do upadku unii przydatne.

Podług kanonów kościoła greckiego, biskupami mogli być tylko zakonnicy, co po przyjęciu unii zakonowi Świętego Bazylego Wielkiego w Polsce nadało taką powagę, że mając niemal w swojem rozporządzeniu wszystkie dobra klasztorne, a mianowicie bogate opactwa, których wielka liczba znajdowała się zwłaszcza w województwach południowych, samą przewagą majątku nadzwyczaj górował nad duchowieństwem świeckiem, składającem się jedynie z księży parafialnych. Zakonnicy Bazylianie utrzymywali liczne szkoły i uczciwie spełniali przyjęte obowiązki. Przyjmowanie do tych szkół dzieci kapłańskich unickich jedynie od zwierzchności zakonnej zależało. Ojcowie Bazylianie z prawdziwą miłością chrześcijańską wychowywali te dziatki, opatrywali nawet niezbędne potrzeby życia, co duchowieństwo świeckie unickie stawiło w zupełnej od zakonników zależności. Zakon, kierujący się mądremi radami Jezuitów, coraz rósł w znaczenie, tak dalece, że pierwsza osoba w zakonie Świętego Bazylego, piastująca dostojność protoarchimandryty, rzeczywiście więcej posiadała władzy od samego metropolity. Kiedy książę Czartoryski, jako kurator uniwersytetu wileńskiego, czuwając nad rozwojem oświaty w tym kraju, pomyślał o ukształceniu duchowieństwa świeckiego unickiego i wyjednał, że w ustanowionem przy uniwersytecie seminaryum głównem razem z trzydziestu sześciu klerykami katolickiego wyznania pobierało nauki dwunastu kleryków wyznania unickiego: w przeciągu lat kilkunastu świeckie unickie duchowieństwo zasiliło się znaczną liczbą uczonych teologów i wogóle ludzi bardzo ukształconych.

Świeccy kapłani uniccy ubolewali nad uciskiem, jakiego niekiedy ze strony duchowieństwa zakonnego swojego wyzna-

nia doznawali. Wówczas niektórzy z nich wzięli się do wyszukiwania w archiwum metropolitalnem dokumentów i znaleźli, że fundowane w wieku XVI i XVII opactwa wszędzie prawie obowiązywane przez fundatorów były do wychowania naukowego synów biednych unickich kapłanów. Gdy tymczasem proto-archimandryta, wezwany przez duchowieństwo świeckie unickie, aby złożył rachunek, jak dochody tych fundacyi były obracane, poczytał to za roszczenie zuchwałe i niczem nieuzadnione. Wówczas księża: Sosnowski i Bobrowski, już profesor uniwersytetu, i niektórzy młodsi, na mocy wyżej wspomnianych dokumentów rozpoczęli z duchowieństwem zakonnem naprzód walkę piśmienną, którą umiejętnie i zdolnie popierali, a następnie toż duchowieństwo świeckie wytoczyło zażalenie swoje do ministra spraw wewnętrznych. Ksiądz Józef Siemaszko sprzyjał duchowieństwu świeckiemu, na którem też najwięcej ministrowi zależało. Przy jego tylko współdziałaniu mógł się spodziewać, że ludność unicka za wzorem swoich pasterzów do cerkwi prawosławnej przejdzie. Jeżeli obawiano się oporu, to ze strony duchowieństwa zakonnego, które po większej części dostatnio uposażone, przy skromnych i osobistych tylko potrzebach życia, mniej było dostępne materyalnym, przymusowym wpływom. Za radą księdza Józefa Siemaszki, z powodu tu i ówdzie spostrzeganych w zarządzie opactw i bogatszych klasztorów nadużyć, minister mianował z wyższych duchownych świeckich komisyę do wejrzenia w sprawy i administracyę duchowieństwa unickiego zakonnego, oraz dla nadania komisarzom większej powagi, mianował z nich niektórych biskupami. Wspomnieliśmy już o wielkiej omyłce Stolicy Apostolskiej, że po doprowadzeniu na synodzie brzeskim cerkwi unickiej w Polsce do uznania nad sobą władzy papieskiej, biskupi rzymsko-katoliccy nie zgodzili się na to, żeby nikt biskupem unickim zostać nie mógł bez osobnej na to bulli papieskiej i znowu (uparli się), żeby żaden z biskupów unickich w senacie nie zasiadał. Dawnym zwyczajem opatrywano katedry biskupie unickie następnym sposobem. Według przykładów pierwszych wieków chrześcijaństwa, lud wybierał sobie biskupów, owóż w Polsce, gdzie królowie przywłaszczyli sobie prawo mianowania biskupów katolickich, w cerkwi unickiej zostawili nietknięty dawny zwyczaj wyboru pasterzów przez lud i duchowieństwo dyecezyi.

Biskupstwa były szczodrobliwie przez królów, książąt i pobożnych uposażone. W razie osierocenia katedry, zwierzchność duchowna zwoływała wyznawców, żeby w dzień naznaczony zebrali się na wybór biskupa. Rozumiało się samo z siebie, że głos każdego równie był ważnym, ale dopóki wielu jeszcze ważniejszych znaczeniem i majątkiem książąt i właścicieli ziemskich nie poprzechodziło do obrzędu rzymskiego, na te zjazdy zgromadzali się: Chodkiewiczowie, Czetwertyńscy, Dubrowscy, Hołowczyńscy, Kurcewiczowie, Massalscy, Ostroscy, Poryccy, Połubińscy, Tyszkiewiczowie, Woronieccy, Sołomereccy, Sokolińscy, Zbarascy i wiele innych członków starożytnej i zamożnej szlachty, jak: Hrebniccy, Wołodkowiczowie, Rudniccy, Steccy, Sielawowie i inni.

Im biskupstwa unickie były bogatsze w dobra i dochody, tem szlachta troskliwiej zabiegała, aby dostawały się w ręce ludzi ich rodu, a nawet imienia. Stąd pochodzi, że w katalogach biskupów dyecezyalnych unickich natrafiamy na nazwiska wyżej wypisanych rodzin. Obrzęd wyboru biskupa unickiego odbywał się w następujący sposób. Taki, który pragnął biskupem zostać, udawał się (przez innych) albo sam osobiście, jeżeli posiadał jakie u dworu zasługi, do króla dla upewnienia się, czy wybrany przez współwyznawców potwierdzony zostanie. Dwór nigdy prawie nie odmawiał łaski, która wówczas expektatywą nazywała się. Uzbrojony takiem pismem, kandydat przybywał na zjazd wyboru biskupa z góry już zapowiedziany. A chociaż wybór miał odbywać się większością głosów, jednak kiedy książęta i możni obywatele przemówili, już nikt z gminu nie śmiał odezwać się z oporem. Zresztą lud czuł się nadzwyczaj ujętym i pochlebiało to jego miłości własnej, kiedy który z członków głośnych w kraju rodzin, miał biskupem zostać. Skoro więc okrzyknięto czy Chreptowicza, czy Tyszkiewicza, czy którego z kniaziów, lud najchętniej tysiącznemi głosy te znane sobie nazwiska powtarzał. Ale jeden warunek był jeszcze do spełnienia, a mianowicie, że mnich tylko mógł być biskupem. Całe więc duchowieństwo świeckie, już wskutek tego kanonu, było wyłączone z liczby ubiegających się o mitrę. Cóż pozostawało do czynienia takiemu świetnie urodzonemu panu, którego na piastowanie dostojności pasterskiej wybrano? Oto udawał się do pierwszego bliższego bazyliańskiego klasztoru i tam kaptur

mniszy przyjmował. Uczono go czytać po słowiańsku, obrzędów cerkiewnych i, jeżeli miał ochotę, trochę teologii. Dla łatwiejszego zrozumienia rzeczy i wyuczenia się na pamięć tych modłów i hymnów, które się najczęściej powtarzały, drukowano je w Poczajowie (gdzie Bazylianie mieli ogromną drukarnię) głoskami polskiemi i często z polskiem udatnem tłómaczeniem.

Takie książki szeroko rozchodziły się po Wołyniu, Podolu i Galicyi. Biskupi, którzy, obok dochodów do katedr przywiązanych, byli posiadaczami bogatych opactw, bardzo przyczyniali się do wzbogacenia swoich rodzin. Po ostatecznym rozbiorze Polski zaszła stanowcza zmiana; już wyborów na biskupstwa nie było, katedry osadzano duchownymi przez rząd mianowanymi, z mniejszych posuwano na wyższe i dochodniejsze. Kiedy więc mysl dojrzała zupełnego zlania unii, tudzież przyłączenia duchowieństwa i ludu do cerkwi prawosławnej, ksiądz Józef Siemaszko, już z nominacyi rządowej biskup mścisławski, otrzymał najwyższą godność proto-archimandryty, a to dlatego, aby łatwiej mógł wpłynąć na duchowieńswo zakonne. W przywidzeniu, że lud niełatwo przywyknie do samej odzieży duchownej, pozwolono im zatrzymać sutanny, używane w kościele rzymskim. Nawet biskup mścisławski, już po ostatecznem połączeniu się z cerkwią prawosławną, jeszcze lat kilka sutanę fioletową nosił, strzygł włosy i nie zapuszczał brody. Doszło do tego, że gorliwszym i pragnącym się zasłużyć za nagrodę pozwalał strój zmieniać. Wkrótce cała powierzchowność duchowieństwa zmienioną została; już żadnej nie było różnicy między nowo przyłączonymi a starego obrządku kapłanami.

Przyznać należy, że z początku wiele było wyrozumiałości, do tego nawet stopnia, że pozaprowadzane przy niektórych cerkwiach unickich bractwa różańcowe i inne dość długo trwały, procesye używane przy uroczystych nabożeństwach odbywano, a nawet pobożne pieśni śpiewano po polsku, nim nakoniec wyszło to z użycia i zupełna jednostajność zewnętrznych form nie została zaprowadzoną.

Nim nakoniec do urzędowego i uroczystego zniesienia unii w Cesarstwie przyszło, metropolita Bułhak zakończył życie i dopiero po pogrzebie jego okazało się. a nawet chciano, żeby temu wierzono, że jeszcze przed śmiercią sam zniesienie unii pochwalał, ponieważ cały obrzęd pogrzebu, odbyty przez

wyższe duchowieństwo prawosławne, zdawał się dowodzić, że zmarły za życia jeszcze do ich wyznania przeszedł.

Unia pozostała tylko w Królestwie Polskiem, gdzie dotąd (1864) w dyecezyi chełmskiej i podlaskiej istnieje, i w Austryi, w Galicyi. Stolica Apostolska spostrzegła się w swym błędzie i nie tylko zmieniła zwyczaj co do nominacyi biskupów unickich, że już od śmierci metropolity Bułhaka nikt nie może być na biskupa wyniesionym bez bulli papieskiej, ale czego dotąd nie było, z ubliżeniem dla wyznania unickiego, że nigdy żaden z jego kapłanów nie piastował godności kardynalskiej, papież i to usunął, i metropolitę halickiego i kijowskiego, arcybiskupa lwowskiego księdza Lewickiego kardynałem mianował.

2.

Malinowski przybył do Wilna w r. 1819 z początku września. Lekcye Groddcka podniosły w nim miłość starożytności greckiej aż do zapału. Przez całą zimę pracował najusilniej. W czasie przerwy świąt Bożego Narodzenia Groddeck zalecił każdemu z uczniów, aby napisał jaką rozprawę po łacinie, w której dałby dowód swojego rozczytania się w pisarzach greckich i większej lub mniejszej wprawy w stylu łacińskim. Malinowski właśnie wówczas czytał doręcznik Epikteta, prawdziwie złotą książeczkę, obejmującą treść filozofii stoickiej, może najbardziej zbliżonej do moralności chrześcijańskiej, i Dyogenesa z Laertu, który w żywotach filozofów greckich najwięcej roszerzył się nad Zenonem, założycielem sławnej szkoły. Wziął więc za przedmiot rozprawy właśnie filozofię stoików. Groddeck zaprowadził był tak zwane posiedzenia filologiczne, na których oceniał zalety złożonych sobie pism przez uczniów. Wytykał błędy w traktowaniu przedmiotu i uchybienia przeciw czystości języka, ale czynił to wówczas dopiero, gdy który z kolegów, któremu to profesor poruczył, swoje zdanie o pracy spółtowarzysza na piśmie skreślone odczytał. Uczniowie wzajemnie roboty swoje roztrząsali, krytykowali. Rozprawa Malinowskiego dostała się do rozbioru Kowalewskiemu, który bardzo sumiennie ją ocenił. Groddeck już wprzódy poczynił nad nią uwagi i na osobnym papierze je ponotował. Po odczytaniu

krytyki Kowalewskiego Groddeck z tą ogromną wyższością, jaką miał nad uczniami, odczytał własne zarzuty, ale w ogólności robotę Malinowskiego pochwalił i biorąc przyniesione z sobą trzy tomiki Sintenisa[1]) pod tytułem: *Treść filozofii stoickiej*, darował tę książkę Malinowskiemu, mówiąc, że jeszcze wiele o stoikach będzie się mógł z niej nauczyć. Sprawiło to ogromne wrażenie. Groddeck nie był rozrzutnym w pochwałach, wszyscy koledzy winszowali Malinowskiemu tego dowodu zadowolenia, bo mówili, że nikt jeszcze z jego uczniow podobnego zaszczytu nie dostąpił. To zachęciło Malinowskiego do usilniejszej jeszcze pracy i dodało mu odwagi do ubiegania się o nagrodę, którą co roku w każdym fakultecie rozdawano uczniom uniwersyteckim za wypracowanie najlepszej rozprawy w przedmiocie przez tenże fakultet ogłoszonym. Kiedy więc na tablicy, na której wywieszały się wszystkie rozporządzenia uniwersytetu, tyczące się nauki i postępowania uczniów, Malinowski odczytał zadanie do nagrody z wydziału nauk starożytnych, a mianowicie: o duchu mowy poetycznej Homera, kiedy postrzegł, że na wypracowanie rozprawy daje się sześć tygodni czasu, obudził w sobie odwagę ubiegania się o nagrodę, chociaż rzadko zdarzało się, aby uczeń pierwszoletni chciał przed starszymi kolegami w szranki stawać. Malinowski miał wówczas mieszkanie (w dzisiejszym domu Czechowicza naprzeciw wielkiej remizy) ciasne, które dzielił jeszcze z dwoma kolegami, Bielawskim i Górskim (znakomitym historykiem naturalnym, mieszkającym dziś u Kublickich w Polesiu); potrzebując spokojności, uprosił Tyciusa, żeby odstąpił mu na mieszkanie altany w ogrodzie Tiwoli. Było to dla młodego pracownika tem dogodniejsze, że miał pod ręką restauracyę, a w niej łatwość posiłku. Po godzinie 4 zrana wychodził na Antokol, zamykał się na całe dni i tam najspokojniej pracował. Po wygotowaniu rozprawy i uznaniu jej za zasługującą na nagrodę, z biciem serca czekał na wyrok fakultetu. Największa tajemnica otaczała ten sąd uczony. Dopiero na posiedzeniu publicznem dnia 24 czerwca r. 1820 przy zamknięciu roku uniwersyteckiego, z rozkazu rektora Malewskiego, sekretarz Norbert Jurgiewicz ogłosił imiona i na-

---

[1]) K. Henryk Sintenis, pedagog i filolog, zmarły w r. 1816. (Przyp. wydawcy.)

zwiska czterech uczniów (z każdego fakultetu po jednemu) zaszczyconych nagrodą, składającą się z listu pochwalnego i ze stu rubli. Był to dzień najszczęśliwszy w życiu Malinowskiego. Wspólnie z trzema nagrodzonymi zawołany tamże w sali (sala dolna, gdzie dziś muzeum) do rektora, odebrał z ust jego powinszowanie, do którego przyłączyli się wszyscy dziekani i profesorowie. Sala była jak nabita; oprócz 700 uczniów ogromny zbiór obywateli i wszystkich ludzi oświeconych w Wilnie, nigdy uroczystości akademickich nie zaniedbujących. Wszyscy zwrócili oczy na laureatów. Skończyła się uroczystość. Malinowski wracał do domu, ulice napełnione były wychodzącymi z murów akademickich. Na każdym kroku znajomi i nieznajomi zatrzymywali zaszczyconych nagrodą, ściskali ich i winszowali. Wilno zdawało się składać rodzinę, tak żywo obchodziło ją to wszystko, co się w uniwersytecie działo. Malinowski nazajutrz poszedł podziękować profesorom za względną ich wyrozumiałość. Sędziwy ksiądz Golański, stary Rustem, Leon Borowski, ale nadewszystko Groddeck czule go przyjęli. Koledzy serdecznie cieszyli się, słowem wszędzie widział rozpogodzone i życzliwe oblicza.

3

Mikołaj Malinowski wybrał się pierwszych dni sierpnia r. 1826 do Petersburga. Oglądając po raz pierwszy wielką stolicę i wszystkie zasoby umysłowego w niej życia, obeznał się się z galeryami obrazów, z obu wielkiemi bibliotekami, publiczną i akademii nauk, z ubogiemi jeszcze wprawdzie, ale zawierającemi kilka arcydzieł dłuta, salami rzeźby. Tam po raz pierwszy powziął wyobrażenie czarodziejskiej siły doskonale wykonywanej muzyki, tam napawał się niezrównaną harmonią śpiewaków kaplicy cesarskiej, a mianowicie na prywatnych koncertach, dawanych jak wówczas co środa dla prawdziwych miłośników śpiewu. Smutno tylko było, że płeć piękna, stokroć zdolniejsza odczuwać urok głosu ludzkiego, ani do chórów, ani nawet jak słuchaczki na te koncerta przypuszczaną nie bywa. Zwierzchność bowiem lęka się, aby zbyt silne wrażenie dźwięków nie obudzało niepokoju w sercach młodziuchnych. Stolica liczyła już w końcu r. 1826 znaczną liczbę młodzieży polskiej.

Przełamany został wstręt do służby wojskowej; coraz umiejętniej rozwijane zakłady uczonej broni zwabiały do siebie ukształceńszą młodzież polską. Zaczynano nawet wchodzić do służby cywilnej, a swoboda, panująca w pierwszych miesiącach panowania cesarza Mikołaja, pewien rodzaj potępiania ucisku moralnego, jaki cesarzewicz Konstanty rozciągnął nad Królestwem Polskiem i stojącemi pod jego cywilnym zarządem krajami dawnej rzeczypospolitej, czyniły pobyt dla Polaków w Peterburgu miłym i spokojnym.

Malinowski najwięcej czasu przepędzał w bibliotece publicznej, akademii nauk i muzeum hrabiego Rumiancowa. W pierwszej zwłaszcza, bogatej w nieocenione skarby ksiąg i rękopismów polskich, lubo ich użycie otoczone było nierozumnemi trudnościami pod zarządem sekretarza państwa Olenina, szczęście mu zdarzyło zbliżyć się z Aleksandrem Wostokow, znakomitym i głębokim filologiem rosyjskim, który, oddany z zapałem pracom swoim, najczęściej całe dni, a dwa razy w tygodniu i całe noce, przepędzał w bibliotece. Jako urzędnik miejscowy miał on prawo brać wszystko, choćby najrzadsze księgi i trzymać je na swoim stole tak długo, jak tego znajdował potrzebę. Otóż Wostokow znosił na ten stół wskazane sobie przez Malinowskiego skarby biblioteczne, tak więc młody literat mógł korzystać z nich z największą dogodnością.

Malinowski, codzień odkrywając w stolicy nieznane dla siebie przedmioty, poznawał ludzi znakomitych, czerpał w rozmowach z niemi coraz nowe wiadomości, aby zaś później nie zatarło się to wszystko w jego pamięci, postanowił prowadzić dziennik pobytu swego w stolicy, znając zaś to do siebie, że nie umiał trzymać papierów swoich w porządku i pod kluczem, a nie chcąc być ścieśnionym obawą, aby niepowołani niewcześnie zazierali do tego składu jego myśli, pisał go po łacinie, wiedząc, że jak w wiekach średnich, kiedy nauka języka greckiego upadła, zakonnicy na rękopismach greckich zwykle kładli przestrogę: *graecum est, non legatur* (po grecku, nie warto czytać). I łaciński język poczynał już doznawać doli greckiego.

W tych zajęciach i wzniosłych rozrywkach oswajania się z arcydziełami sztuki, napawania się harmonią tonów i głosu czas bystro i najsłodziej upływał: (a serce wolne było jak u pta-

szka, nie kochałem się w nikim) [1]), ale czekała go niewymowna radość ujrzenia znowu po trzechletniem niewidzeniu przyjaciół swoich sercu blizkich, Adama Mickiewicza i Franciszka Malewskiego [2]). W pierwszej połowie grudnia r. 1827 [3]) książę Golicyn, jenerał-gubernator moskiewski, przy którego osobie obaj ci Filareci byli urzędnikami, przybył do Petersburga i przywiózł ich z sobą. Opowiadania uwielbianego poety, jak z Wilna w listopadzie r. 1824 wywieziony został do Petersburga, jak tam miał dowiedzieć się o dalszem swojem przeznaczeniu, jak natychmiast otoczyła go serdeczna gościnność oświeconych Rosyan, jak dwa jego malutkie tomiki, w r. 1822 wydane, już rozbiegły się po ręku prawdziwych znawców prawdziwej poezyi, jak szczególniej Bazyli Żukowski, sam niepospolity poeta, a wtenczas nauczyciel języka i literatury rosyjskiej wielkich książąt, przyjął go z najszczerszą, braterską miłością, wszystko to zagrzewało serce rodzinną dumą, że Adam znalazł i na wygnaniu należny hołd swemu geniuszowi. Z ust jego Malinowski dowiedział się, że nowi przyjaciele poety nadzwyczaj zręcznie, choć tajemnemi drogami, potrafili nadać taki kierunek rzeczom, że Adam, jako wychowaniec nakładem skarbu instytutu pedagogicznego wileńskiego, wysłany został na nauczyciela do liceum w Odessie. Nic nie mogło więcej odpowiedzieć ówczesnym pragnieniom poety. Widzieć kraj zbliżony pod niebo wschodnie, podziwiać cuda stworzenia, oddychać powietrzem morskiem, żyć wśród tej silnej roślinności, którą opatrzność tak hojnie uposażyła tę błogosławioną ziemię, a żyć w Odessie, gdzie

---

[1]) Zdaje się, że tu pamięć zawiodła Malinowskiego, ponieważ w pewnym urywku pamiętnika łacińskiego (podanym w *Kor. A. Mick.* IV. 32), który pochodzi z owych czasów, wciąż jeszcze mówi on o »siostrze Gutta«, jako o swojej »najukochańszej«. (Uwaga wydawcy.)

[2]) To, co dalej następuje, a co odnosi się do pobytu Mickiewicza w Petersburgu i jego improwizacyi w tem mieście, było już drukowane w IV tomie *Korespondencyi Ad. Mickiewicza* (9—32); a jeszcze przedtem w *Kronice Rodzinnej* z r. 1875. Ta ostatnia, zapewne ze względów cenzuralnych, zmieniła lub opuściła niektóre ustępy, ale i *Korespondencya* pomimo zapewnienia: »Tekst w całości ogłoszony jest tutaj po raz pierwszy«, nie podaje całkowitego tekstu, jaki się w *Księdze Wspomnień* Malinowskiego zawiera. Widocznie kopia, z której korzystał wydawca *Korespondencyi* nie była pełną. (Uwaga wydawcy.)

[3]) W rękopisie mylnie podano: 1826. (Uwaga wydawcy.)

lato zamieniało ją niemal w stolicę Podola i Ukrainy, gdzie przybywają najzamożniejsze i najwykształceńsze rodziny polskie, było to marzenie, któremu oddawać się nawet w ciasnej celi więzienia swojego w klasztorze bazyliańskim w Wilnie nie ośmielał się.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, przybyła latem r. 1825 do Odessy prawdziwa czarodziejka, rozumem, szlachetnością serca i wszystkiemi wdziękami, wszystkiemi powabami oblicza, postawy ruchów i ukształcenia najhojniej ozdobiona. Była nią Karolina [1]) z hrabiów Rzewuskich Sobańska, która, rozstawszy się z mężem, niezdolnym ocenić skarbu, jakim go Bóg obdarzył, przeniosła się do Odessy, gdzie ją nęciła przyjaźń czulsza, niż to sama wiedziała, z jenerałem Józefem Wittem, człowiekiem nadzwyczaj zręcznym, zwłaszcza na śliskiej, dworskiej posadzce. Hrabia Witt, człowiek wielkiego świata, nadto był wykształconym, aby czuć zazdrość; nie raziła go też swoboda stosunków, jakie wkrótce zawiązały się między Mickiewiczem i panią Sobańską. Mickiewicz ze zranionem sercem opuszczał Litwę, nie wyleczył się był jeszcze z miłości dla Marylli, cudzym — jak mówił — pierścieniem do innego przykutej, ale już w r. 1825 rany zabliźniać się poczęły i spokojniej mógł już cofać się myślą w niepowrotną przeszłość. W tak półsennym nastroju swego serca, nie oparł się urokowi magnetycznemu niezrównanych powabów pani Sobańskiej i z najżywszą wdzięcznością przyjął wezwanie, aby towarzyszył wycieczce, którą przedsiębrała do Krymu. Skoro się o tem dowiedziano, rój wielbicieli i przyjaciółek młodych a pięknych pani Sobańskiej przyłączył się do tej podróży. Odbyto ją z całym komfortem, bo i okręty przez wpływ jenerała Witta były na jej usługi, a na miejscu najpierwsi zwierzchnicy lądowi i morscy, przez przyjaźń dla jenerała Witta, przyjmowali panią Sobańską i jej dwór, śmiało powiedzieć można, z największem wytężeniem, aby słać kwiaty pod jej nogi i uprzyjemnić jej pobyt na półwyspie. Mickiewicz miał więc zręczność oglądać wszystko, czego dusza zapragnęła, podziwiać obok cudów stworzenia, rozlanych na południowym zwłaszcza brzegu, zwaliska i szczęty tej odwiecznej cywilizacyi helleńskiej, której poezye

---

[1]) W manuskrypcie: Antonina. (Uw. wyd.)

Eurypidesa, a za naszych już czasów Göthego, takim promieniem ozłociły.

Ale Mickiewicz nie zdołał obronić się od uroku, i dwa albo trzy sonety jego dozwalają uchylić zasłonę na tajemnicę tych stosunków (sic), jakie wówczas między poetą, liczącym lat 27, a czarodziejką liczącą rok 22-gi istniały. Był to raczej stosunek, jaki Katul, Tibul i Propercyus wyśpiewali w swoich elegiach; ale późniejsze rozmowy z Mickiewiczem przekonały Malinowskiego, że nie stanął na tej ślizkiej drodze, jaką szedł Göthe i którą odmalował w swoich elegiach rzymskich. Mickiewicz wrócił do Odesy. Coraz szersze koło jego wielbicieli zakreślać się poczęło. Doszła o tem wiadomość do Wilna, a Wacław Pelikan, który uroił sobie, że Filareci będą dla niego narzędziem kary boskiej, której brudne sumienie lękać się mu kazało, natychmiast przełożył Nowosilcowowi, a ten Wielkiemu księciu Konstantemu, że pobyt Mickiewicza w mieście portowem, w którem mieszkańcy Podola i Ukrainy gromadnie się zbierali, jest niebezpiecznym, jest jakby natrząsaniem się z władzy Cesarzewicza, który oddalił na zawsze z Litwy tego wichrzyciela, knującego zgubne dla rządu zamiary. Nagle więc przyszedł z Petersburga rozkaz, aby Mickiewicza wysłać do Moskwy, do rozporządzenia ówczesnego kuratora uniwersytetu, Pisarewa, człowieka ciemnego i przywykłego ślepo spełniać wolę swojej zwierzchności. Już gotowe było mianowanie Mickiewicza w jednej z najodleglejszych szkół tego okręgu, gdy kilkudniowy pobyt poety w Moskwie, poznanie się jego z najznakomitszą może niewiastą rosyjską, z księżną Zeneidą Wołkońską i zbliżenie się z księciem Wiaziemskim, niepospolitym poetą, było dostateczne, cofnąć wydany już rozkaz. Skłoniono jenerała gubernatora moskiewskiego, księcia Golicyna, że zażądał od cesarza, aby Adama Mickiewicza i Franciszka Malewskiego naznaczyć urzędnikami jego kancelaryi. Przychylono się do tej prośby tem chętniej, że antagonizm między Petersburgiem i Warszawą trwał jeszcze w całej mocy. Tą koleją Mickiewicz wyszedł z pod władzy ministerstwa oświecenia i mógł przyjechać do Petersburga.

Ten przyjazd tem mocniej uszczęśliwiał wszystkich jego wielbicieli, że przywiózł ze sobą już ukończony rękopis Walenroda. Kamerjunkier Dziekoński, urzędnik sekretaryatu stanu

Królestwa Polskiego, uprosił poetę, że nietylko obiecał spędzić u niego wieczór, ale i cokolwiek z nieznanych, a w Moskwie utworzonych poezyi przeczyta. Dziekoński przez dwa dni jeździł po wszystkich częściach Petersburga i jakie tylko znajomsze, lub podające jakąś nadzieję imię przyszło mu na myśl, wszystkich na ten wieczór zaprosił.

Z powodu odkrycia towarzystwa patryotycznego w Warszawie było podejrzenie, że hrabia Aleksander Chodkiewicz, jenerał i kasztelan królestwa, do niego należał. Cesarz Mikołaj kazał mu przyjechać do Petersburga, wyznaczyć dla niego kilka pokojów w pałacu głównego sztabu, opatrzyć wszystkiemi wygodami, bo był to człowiek już niemłody, ale chociaż mu wolno było wyjeżdżać i we dnie i wieczorem, musiał jednak zawsze opowiadać się dyżurnemu jenerałowi. Dziekoński zaprosił Chodkiewicza na dzień umówiony do siebie. Malinowski odnowił z tym potomkiem nieśmiertelnego Jana Karola, największego z naszych bohaterów, znajomość, bo widywał go jeszcze w Winnicy w r. 1817, kiedy ubiegał się o rękę cudnie pięknej Ksawery Szczeniowskiej, którą też później poślubił. Bądź to imaginacya, bądź rzeczywistość, ale Aleksander Chodkiewicz, kiedy wszedł do Dziekońskiego, a miał na sobie rodzaj delii, przy przybladłych licach zapewne wskutek niespokojności o los swój przyszły, tak zdał się wszystkim być podobnym do wizerunków Jana Karola, a zwłaszcza do jego prześlicznego popiersia marmurowego z Ermitażu, że wszyscy z najszczerszem uszanowaniem pochylili przed nim głowę. Mickiewicz po raz pierwszy go widział, a miał głębokie współczucie dla wszystkich imion dziejowych. Nie było to w nim wcale żadne uprzedzenie, albo chęć bratania się z arystokracyą rodową, ale jakby pobożność synowska dla wielkich ojców narodu. Skoro wszyscy już przybyli i zgiełk ustał po krótkiej ogólnej rozmowie, Mickiewicz uproszony, żeby co przeczytał, nie drożąc się, zaczął mówić z pamięci pyszny wstęp do Wallenroda. Głos Mickiewicza był dźwięczny, intonacya rozmaita, ale nigdy nie przechodząca w nagłe spadki, i natchnione wyrazy płynęły z pięknych, chociaż nieco pełnych ust jego, jak strumień: nigdy pamięć go nie zdradziła, czy też istotnie była tak wierną, czy poeta umiał zastąpić wiersz zapomniany innym, może nawet piękniejszym. Najpoważniejszym słuchaczem całego grona był

bez wątpienia Chodkiewicz, bo prócz nazwiska, które nosił, stopnia, jaki w społeczeństwie zajmował, odznaczał się naukowemi zasługami. Przysłużył się krajowi dobrą *Chemią*, wydaną w pięciu tomach, a pisząc w czasach, kiedy sądzono, że dość jest używać czystego języka i staranniejszego rymowania, aby być poetą i Chodkiewicz wydał kilka tragedyi, Wirginia i t. d. Był to utwór prawidłowy, ale mdły i bez życia: zdawało się przecież autorowi, że był właściwym sędzią w poezyi. Zaledwie Mickiewicz pierwszy ustęp wypowiedział, Chodkiewicz zagadnął go: czy to jest poemat bohaterski, czy opisowy, czy dydaktyczny — i więcej jeszcze nazw wymienił, stosownie do podziałów, przyjętych w dawnej szkole. Mickiewicz odpowiedział: »to jest powieść i chciałbym, żeby się podobała«. Po nowym ustępie znowu Chodkiewicz przerywa, pyta się, na wiele ksiąg czy pieśni pracę swoją Mickiewicz podzielił. »Nie wprowadzałem żadnego podziału«, odrzekł poeta. Wszyscy uczuli zimno, jak gdyby oblani wodą, bo już nastrój słuchaczów był wysoko podniesiony. Niewiadomo, czy na Chodkiewiczu Wallenrod uczynił estetyczne wrażenie, chociaż nie szczędził wielomównych pochwał, (nawet) i tego, czego oczywiście nie zrozumiał i nie poczuł. Nie ubliża to nic pamięci tego zacnego i szczerze kochającego kraj męża. Serce miał złote, dobroczynność aż do nieoględności najszczodrobliwszą; bolało też współziomków, że nadzwyczajnej piękności pierwsza jego żona Karolina Walewska nie umiała uszanować imienia, wziętego od męża i w płochem, a nawet gorszącem życiu, poniewierała je za granicą.

Zbliżał się koniec grudnia r. 1827 [1]). Toczyła się wówczas ważna sprawa polityczna, mająca związek ze spiskiem uknowanym w stolicy na obalenie rządu i wyrzucenie z tronu rodziny Holsztyńsko-Gotorpskiej [2]). Wielka liczba Polaków dała się namówić przez Rosyan do współdziałania. Istnienie towarzystwa patryotycznego wyszło na jaw. Tu więc po raz pierwszy otworzyło się pole do zastosowania konstytucyi polskiej z r. 1816, która występki zdrady stanu odsyła do sądu sejmowego. Cesarzewicz Konstanty, pod którego kierunkiem odbywało się śledz-

---

[1]) W rękopisie mylnie: 1826. (Uw. wyd.).

[2]) Mowa tu o dzisiejszej cesarskiej rodzinie Romanowych, która, począwszy od Piotra III, po mieczu pochodzi od książąt Holstein-Gottorp.

two, ani słyszeć o sądzie sejmowym nie chciał, a oburzył się tem gwałtowniej, kiedy mu powiedziano, że w razie wprowadzenia sprawy, sąd sejmowy nie przyjmie śledztwa wyprowadzonego przez osobną komisyę, złożoną głównie z urzędników rosyjskich, ale sam śledztwo przeprowadzi i przy otwartych drzwiach, z dodaniem obwinionym obrońców prawnych, wyrokować będzie. Książę Ksawery Lubecki, ówczesny minister skarbu królestwa polskiego, najmocniej pracował nad przekonaniem Cesarza Mikołaja, aby na wstępie rządów swoich, w rzeczy tak żywotnej, nie nadwyrężał konstytucyi. Przeciwnie Nowosilców, doradca Cesarzewicza, nastawał, aby nie wprowadzać tak zgubnego przykładu jawności obrony i nie narażać, jak mówił, osoby panującego na niepewne sumienie senatorów polskich. Owóż cesarzewicz z największem wytężeniem błagał brata, aby śledztwa pod jego okiem dokonanego roztrząsać nie pozwolił i nie podawał go na pośmiewisko Polski i Europy. Od słowa cesarza wszystko zależało; książę Lubecki, pod pozorem naradzenia się z cesarzem i ministrem Kankrynem w rzeczach skarbowości polskiej, wyjednał pozwolenie przybycia do Petersburga. Ponieważ głównym celem jego podróży była właśnie sprawa spisku, wziął sobie młodego, ale nadzwyczaj zdolnego i uczonego prawoznawcę pana Thies, warszawianina, który później zajaśniał wysoką wymową, jako naczelny prokurator senatu departamentów warszawskich. Pod względem wydziału skarbowego przybył w orszaku ministra Ludwik Jelski, piękny jak Apollo, rozumny, pełen ogłady światowej i przez Sapiehów spokrewniony z kwiatem arystokracyi polskiej; Leon Sapieha, brat księżnej Adamowej Czartoryjskiej, serdeczny chłopak, zręczny i pełen wdzięku tancerz mazura, którego cesarzowa Aleksandra zawsze do tego tańca z sobą wybierała i który z tego powodu bardzo poufale bywał u dworu przyjmowany. Teraz jest to jeden z najpożyteczniejszych obywateli galicyjskich, naśladowca Andrzeja Zamojskiego we wszystkich przedsięwzięciach, zmierzających do ulepszenia bytu owej części Polski, w której rozległe dobra posiada; Aleksander Linowski, syn wymownego i zasłużonego ojca kasztelana, śliczny jak dzień, usposobień szczeropolskich, serce lgnące do wszystkiego, co było piękne i szlachetne, a szczególniej swoje. Owóż ci wszyscy goście z Warszawy pałali żądzą poznania Mickie-

wicza. Kiedy więc myśl skorzystania z dnia 24 grudnia, wigilii Narodzenia Pańskiego [1]) i dzień imienin poety nadchodził, około 40 osób złożyli *(sic)* składkę i postanowili tę wielką uroczystość religijną połączyć z obchodem imienin wielkiego narodowego wieszcza. Oprócz osób już wymienionych, zaproszono malarza Aleksandra Orłowskiego, i malarza Józefa Oleszkiewicza, teozofa, proroka niemal, do którego Mickiewicz przywiązał się uczuciem najwyższego podziwu i utrzymywał, że wtenczas dopiero miałby się za poetę, gdyby choć setną cząstkę natchnienia Oleszkiewicza posiadał. Rzeczywiście imaginacya Oleszkiewicza była potężną, serce niezrównanej dobrotliwości, pracowitość ogromna, wymowa porywająca, ale psuł ją głos niemęski, cieniuchny, a w chwilach zapału krzykliwy. Oleszkiewicz zatopiony w mistycyzmie, w biały dzień wpadał w jakieś nadzwyczajne widzenia, a przemykające się obrazy brał za rzeczywistość. Nie wahał się twierdzić, że Księga Ksiąg wszystko opowiedziała, co było, jest i będzie. Tak mocno w to wierzył, że na dalekie lata z tekstów proroczych przepowiadał przyszłą dolę narodów, a mianowicie własnego. On to był twórcą idei rozwijanej później przez Mickiewicza, Krasińskiego i Odyńca, że naród polski wziął od Boga osobne święte posłannictwo poprowadzenia ludzkości drogami Pańskiemi.

Dnia 24 grudnia, za pierwszem okazaniem się gwiazdy, zebrali się wszyscy do obszernego i pięknie przystrojonego mieszkania Adama Rogalskiego, starszego brata Leona. Po zwykłej obrzędowej wieczerzy, zaczętej od rozłamania się opłatkiem, gdy Linowski usiadł do fortepianu, jakaś zaduma ogarnęła wszystkich, a Franciszek Malewski, jeden z najbliższych przyjaciół Adama, spólnik jego nauk, powiernik później serdecznej boleści, współwygnaniec i nierozdzielny od lat kilku od jego osoby, wpatrzywszy się w oblicze Adama, powiedział, że widzi przebudzające się w nim natchnienie, i jeśliby w tej chwili był wezwany do improwizacyi, stworzyłby coś nadzwyczajnego.

Malinowski, który już od pół roku pracował w bibliotece dawniej Załuskich, miał pełną głowę najrzadszych i nieznanych szczegółów, tyczących się dziejów polskich, lubił je powtarzać i uchodził za więcej oswojonego z niemi, aniżeli było w istocie.

---

[1]) Trzeba się tu domyślać opuszczonego wyrazu: powzięto, (Uw. wyd.).

Pochwyciwszy słowa Malewskiego, udali się z gorącą prośbą do Mickiewicza, aby co zaimprowizował. Poeta odrzekł z uśmiechem: »Może całą tragedyę?« Ogół krzyknął: tragedyę, tragedyę, tragedyę! Wtenczas rzekł Mickiewicz: »Niech i tak będzie, ale niech Malinowski poda treść i szczegóły, bo ja sam osnowy do tragedyi szukać nie chcę, a potem mógłby kto sądzić, że to rzecz przygotowana, a nie improwizacya«. Malinowski właśnie dni kilka pierwej znalazł w bibliotece wiązkę drukowanych broszur, rękopiśmiennych relacyi i spółczesnych listów, tyczących się Samuela Zborowskiego. Była to postać czysto tragiczna: jakaś fatalność, jak Eumenidy greckie, zdawała się pędzić tego człowieka niezrównanego męstwa, wysokiego ukształcenia, ale razem niesłychanej dzikości serca, obok żelaznej woli, ślepego na następstwa, w otchłań zguby. W jednej z relacyi, o których wyżej wspomniano, Malinowski czytał i w świeżej miał pamięci opowiedzenie przewag Zborowskiego między kozakami. Awanturnicze wyprawy na czajkach za morze i lądowe na wiatronogich rumakach ukraińskich, opisane są jakby jedne z Tysiąca nocy. Zborowski, okrzyknięty atamanem, tajemnie związał się z szachem perskim i przyrzekł mu przyprowadzić kozaków, na obalenie jednego z najdawniejszych tronów chrześcijaństwa, bo od II° wieku po Chrystusie nie przerwanie kwitnącego, tronu carów gruzińskich. Posłuszni na głos wodza kozacy poszli za nim, nie wiedząc i nie pytając, dokąd ich prowadzi; ale po przejściu już Donu, kiedy na stepowej pustyni zapowiedział im, że za kilka dni połączą się z wojskiem perskiem i że szach oddaje im Tyflis na rabunek, kozacy oburzeni myślą, że ich Ataman ma tępić chrześcijaństwo na korzyść islamizmu, pochwycili Samuela Zborowskiego, przywiedli nad brzeg Donu i jednomyślny wydali wyrok, że go utopić należy. Nasypali w jego odzienie mnóstwo piasku, aby tem pewniej zatonął, rzucili go w najgłębszy muł rzeki, ale taka była olbrzymia siła tego człowieka, że nietylko więcej dwóch godzin przebył pod wodą, tając dech w piersi, lecz mimo ciężaru cisnącego go na dół, płynął i wyszedł na pusty brzeg, gdzie już drużyn kozackich dojrzeć nie mógł. Kozacy wrócili do domów, a on walcząc z niezwalczonemi niemal trudnościami, wybrnął z pustyni i daleką drogą dostał się do rodzinnego zamku Rytwian w krakowskiem.

Kiedy po śmierci Jana Zygmunta Zapolia, siostrzeńca króla

Zygmunta Augusta, a panującego w Siedmiogrodzie, możnowładcy tego księstwa ubiegać się poczęli o najwyższą władzę, (wtedy) i Stefan Batory wystąpił również jak inni, czując w sobie dostateczną siłę do rządów swej ojczyzny. Samuel Zborowski, tchnący potrzebą działania, posłyszawszy o wojnie domowej, zapalonej już w Siedmiogrodzie, udał się do pogranicznego z Polską zamku Munkacz, dziedzictwa Batorego, z oświadczeniem, że pragnie wejść pod jego chorągwie. Imię Zborowskiego głośne było w Polsce. Wiadomość o przygodach młodego rycerza nie zraziła Batorego, któremu właśnie ludzie dzielnej ręki i nie dbający o życie byli potrzebni. Wkrótce jednak mądrość Stefana przywróciła pokój w Siedmiogrodzie. Zborowski nie miał pola do popisywania się ze swoją walecznością, ale jako młodzieniec ukształcony, zabawił czas jakiś na dworze nowego księcia, gdzie poznał i pokochał jego synowicę Gryzeldę. Relacya, w której to wszystko opisano, mówi, że Gryzelda nie była nieczułą na hołdy młodego Polaka. Wkrótce śmierć ostatniego Jagiellończyka w r. 1572 otworzyła w Polsce nowy pierwiastek wstrząśnień wewnętrznych, przez powołanie narodu do wyboru króla. Zborowski równie pochopny do wichrzeń obywatelskich, jak do wszelkich bitew, rzucił Munkacz i połączył się ze starszymi braćmi Zborowskimi, którzy wielki mieli wziąć udział w tej nowej przejawie życia narodowego. Wiadomo, jak później po ogłoszeniu już królem Henryka Walezego, Wapowski przypadkowo poległ z jego ręki; jak dobycie szabli na zamku królewskim było przestępkiem nie ulegającym ułaskawieniu. Znowu więc ocalając życie i wolność, schronił się na dwór księcia Siedmiogrodzkiego, dokąd go może i serce ciągnęło. Ale we wzniosłość uczucia, jakiem jest szlachetna miłość, ze strony Zborowskiego wierzyć trudno, bo w tejże wiązce dawnych papierów znajduje się broszura, wydana za granicą, bez miejsca druku, w której Ludwik Candian, Francuz, żali się przed światem na Zborowskiego, że przybywszy w orszaku posła Montluc do Polski, zapoznał się z Samuelem Zborowskim, że ten zawiódł go na własny zamek i otaczając wszelką gościnnością, dopuścił się względem niego dzikiej i okrótnej swawoli. Kazał bowiem gwałtem oszyć go w skóry baranie włosem na wierzch, wymazać całego miodem, wyprowadzić na

dziedziniec i dawszy mu oszczep w ręce, spuścić na niego cztery niedźwiedzie, na łańcuchach trzymane, zapewne dla jakiejś myśliwskiej zabawy. Niedźwiedzie, znęcone zapachem miodu, który tak namiętnie lubią, rzuciły się na nieszczęśliwego Francuza; szczęściem, że ten miał tyle przytomności, iż oszczepu nie użył i zostawił czas niedźwiedziom zabawić się tak pożądaną dla nich łakocią. Trwało to blisko godzinę. Już niedźwiedzie, nie mogąc dolizać się miodu i wikłając tylko języki w długie włosy skór baranich, niecierpliwić się i ryczeć poczęły, gdy w tem nadjechał Krzysztof Zborowski, brat Samuela i nie dopuścił dłużej znęcać się nad biednym cudzoziemcem. Francuz krzywdy swej nie darował; wyjechawszy z Polski, opisał i przed światem ogłosił ten krok bezecny Samuela Zborowskiego. Dodał w swej broszurce pogłoski, które pozbierał o wielu innych niegodziwościach Samuela. Listy prywatne znalezione w tejże wiązce, nic na usprawiedliwienie Samuela nie mówią; z nich widać, że był to szaleniec nieuskromionego męstwa, ale nie mniejszej zuchwałości; że nadziei nawet nie było, aby dojrzalsze lata tę wrzącą krew ochłodziły, a którego koniecznie ująć należało, aby sobie i drugim nie szkodził. Uderzony obrazem rozbujałej swawoli, jakiej Samuel Zborowski folgował, Mikołaj Malinowski nabrał przekonania, że ani głowa, ani serce tego człowieka nie były w porządku. Wartość moralna żadna, wyuzdana wściekłość wycisnęła na czole jego piętno, że był sprawiedliwie na śmierć osądzonym.

Owóż, kiedy po wysłuchaniu treści, a nawet niekiedy osnowy tragedyi, o której improwizowanie proszono Mickiewicza, poeta wyszedł na pół godziny do osobnego, ciemnego pokoju dla ułożenia w głowie następstwa aktów i scen dramatu, Malewski opowiadał wiele szczegółów o potędze improwizacyjnej poety. Nieraz, mówił, kiedy w Moskwie kilku współwygnańców zbierało się do naszej komnaty, urywała się rozmowa, smutek nas ogarniał i zapadaliśmy w głębokie milczenie. Adam siedział z zamrużonemi oczami, a skoro cichość zbyt długo trwała, nagle powstawał i mówił: »dzieci! posłuchajcie bajeczki«. Zdawało się rzeczywiście, że zaczyna jednę z tych bajek, jakie piastunki opowiadają dzieciom, lub jakiemi starsi zwykli bawić chłopców i dziewczęta, zebrane na wieczernice. W tem nagle

osnowa kwiecić się poczyna złotemi wzorami imaginacyi, pokorna proza uderza w wiersz wspaniały i często poeta mówić nie przestawał, aż dopóki omdlenie ust mu nie zamknęło. Słuchaliśmy z największem zdumieniem słów Malewskiego; kiedy niekiedy kilkunastu-wierszowe ułamki, jakby oderwane części purpurowego, złotem przetykanego kobierca, roztaczał przed nami, ale gdy rozmowa ciągnie się dalej, gdy znana prawdomówność Malewskiego wątpić nam o tej potędze improwizacyjnej nie pozwala, drzwi się otworzyły, Adam wychodzi z bladem, pełnem wytężenia obliczem, tylko wzrok jego goreje nadziemskim ogniem. Malewski, wiedząc, czego taka chwila wymagała, wezwał Linowskiego, aby siadł do fortepianu i przygrywał zwolna nutę piosnki: »Hej użyjmy żywota«. Wtem do krzesła postawionego na środku sali przyniesiono stoliczek, a na nim spory puhar wody selcerskiej, zmieszanej z kieliszkiem wina szampańskiego. Malewski ostrzegł, aby nikt nie myślał pisać, chociaż już 12 ołówków było przygotowanych, a Józef Przecławski (redaktor Tygodnika Petersburskiego), który niesłychanie prędko mógł pisać, porozdawał obowiązki, że każdy powinien był tylko pół wiersza notować, spodziewał się bowiem, że tragedya będzie wypowiedziana wierszem trzynastozgłoskowym. Ale na przestrogę Malewskiego papier i ołówki poszły do kieszeń, a wszyscy skupili całą uwagę, wytężyli wzrok na mówiącego poetę. Treść dramatu była następną.

Zborowski osądzony jeszcze wyrokiem Henryka Walezego na śmierć, schwytany z rozkazu starosty krakowskiego, którym był Jan Zamojski, siedzi w więzieniu zamkowem. Zamknął się z nim dobrowolnie szlachcic Benedykt z Rogozina. Było to imię i nazwisko poczciwego Benedykta Rogozińskiego, obywatela z Kijowskiego, który znajdował się wówczas w Petersburgu dla interesów i nieodstępnie trzymał się Mickiewicza. Był to człowiek dziwny. Zdawało się, że pogląd praktyczny na rzeczy tak go całego opanował, iż nie zostawił najmniejszego zakątka w jego duszy dla wyższych pojęć, a jednak, kiedy powtarzano przed nim owe niezrównane elegie z *Dziadów*, owe skargi pod wieżą, rozpływał się we łzach, rozwiązywały mu się usta i prostym, rubasznym nawet językiem, przeplatanym nawet ukraińskiemi wyrażeniami, serdecznie malował ten niepokój, tę trwogę i tę litość, które miotały jego duszą. Ale

wróćmy do improwizacyi. Rogoziński zachęca Zborowskiego do ucieczki, przypomina mu, z jakich już niebezpieczeństw wybrnął, przyrzeka, że go z zamku wyprowadzi, ale więcej, niż jego wolności, pragnie poprawy grzesznika, więcej mu chodzi o życie wieczne, niż o ocalenie życia doczesnego. Słowa Benedykta z Rogozina tchnęły takiem namaszczeniem, taką prostotą i rzewnością, było w nich tyle prawdziwie chrześcijańskiego, a przykłady tak szczęśliwie wybrane, że wszyscy mimowolnie powstali dziękować poecie. Po tej scenie, zakończonej zatwardziałą odpowiedzią Zborowskiego, wchodzi on do dalszej komnaty, a do tej, w której toczyła się rozmowa, wstąpił Bartosz z Podgórza, dozorca więzienia. Tu znowu śliczność nad ślicznościami. Benedykt, nie straciwszy nadziei nawrócenia Samuela, namawia Bartosza, aby mu dopomógł do wyprowadzenia go z zamku; kiedy poczciwy góral wymawia się wykonaną królowi i panu staroście przysięgą, Benedykt przebiega z nim pokrótce, a tak prosto, tak zrozumiale, że zdawałoby się słyszeć natchnionego kapłana, wszystkie cnoty chrześcijańskie. Przyszedłszy z kolei do miłości chrześcijańskiej bliźniego, przedstawia, że najwyższem dobrodziejstwem, mogącem się wyświadczyć bliźniemu, jest zostawić mu czas do pokuty dla przebłagania nieba, do osiągnięcia zbawienia. Przemawiał zaś tak czule, że kamieńby zmięknął, jakoż i Bartosz nie mógł oprzeć się namowie Benedykta, przyrzeka, że go uwolni, jedno tylko sobie waruje, żeby ani Zborowski, ani nikt na świecie o uczestnictwie jego nie wiedział, żeby żadna nagroda ziemska nie poniżyła zasługi jego przed Bogiem, bo skoro odkryje się ucieczka, sam odda się w ręce sprawiedliwości, podda głowę pod miecz katowski, silny tylko tą wiarą, że jednemu z bliźnich otworzył drogę do przebłagania Boga poprawą występnego dotąd żywota. Trzecia scena kończy akt pierwszy. W akcie drugim pani Włodkowa, krewna Zamojskiego, ale przez męża spokrewniona z domem Zborowskich, przybywa do zamku, sądząc, że przez synowicę królewską, Gryzeldę Batorówną, potrafi uwolnić Samuela, a przynajmniej wyjednać, żeby śmiercią nie był karany. Rozmowa między temi dwiema niewiastami jest nadzwyczaj zajmującą. Włodkowa, oświadczywszy, że przybywa tylko dla odwiedzenia Gryzeldy, zręcznie podziela się z nią smutkiem, jakim nabawiło ją uwięzienie Samuela w jej

domu. Gryzelda milczy. Włodkowa opisuje jej malownicze przybycie Samuela wśród strasznej burzy do jej domu; zdziwienie swoje z powodu tego, że młodzieniec takiego rodu i tak w Rzeczypospolitej spokrewniony, tułać się musi jak wyrzutek społeczeństwa, że, znając go od dawna, nie odmawia mu schronienia, że uderzyło ją niezmiernie ponure milczenie Samuela i wyryte na twarzy jego ślady wewnętrznych cierpień, zwłaszcza, że już lękać się o osobę swoją nie był powinien, bo dom jej jest najwarowniejszą dla niego twierdzą, a nikomu nie przyjdzie na myśl szukać go w domu krewnej kanclerza. Mówi dalej, że wszystkie jej namowy nie mogły go wyrwać z odrętwienia, od czasu do czasu tylko dawały się słyszeć tłumione w piersiach jęki i łzy mimowolnie tryskały z oczu. Dodała, że nakoniec Samuel wyszeptał słowo: Gryzelda i że niezdolny już dłużej panować nad sobą, rozwiódł się w opisach pierwszego jej poznania w Munkaczu, pierwszych swobodnych z nią zabaw, pierwszych drgnień rodzącej się miłości, pierwszych mąk i rozkoszy, jakiemi bezwiednie serce jego było miotane; że chociaż później nie otrzymał najlżejszego nawet wyznania wzajemności, ale w oczach jej zaczerpnął nadzieję, że miłość jego po twardych może doświadczeniach odrzuconą nie będzie.

Obraz walki między nadzieją a rozpaczą, szarpiącemi duszę Samuela, prześlicznie był opowiedziany. Zdaje się, że poeta przeniósł się myślą do Tuhanowicz (majątek Wereszczaków) i wskrzesił pamięć tych chwil niepowrotnych, kiedy jeszcze nie śmiał wypowiedzieć swej miłości, albo kiedy jego Marylla w dziewiczym wstydzie nie mogła wymówić słowa, które jej serce napełniało.

Z kolei, gdy Gryzelda ciągle milczała, Włodkowa uderzyła w czulszą strunę i taki obrót nadała mowie swojej, że Gryzelda powinna ocalić mu życie, bo on tylko dla upojenia się jej widokiem, mimo grożące niebezpieczeństwo, zbliżył się pod Kraków. Tu Batorówna z godnością niewieścią, a może i z dumą synowicy królewskiej rzekła, że Samuel powinien był wiedzieć, że ona ma oddać rękę kanclerzowi, że wszelka myśl o niej była z jego strony występną, że zatem, aby nie dać nikomu prawa podejrzewania czystości swego serca, imienia Samuela nie wymówi. Włodkowa żywo maluje przed nią tę

przesadę cnoty i nakoniec odbiera słowo, że Gryzelda stryja błagać będzie o darowanie życia Zborowskiemu.

Piastunka Gryzeldy, Marta, siostra Bartosza z Podgórza, przychodzi do niej szukać pociechy w ciężkiem strapieniu, jakiem ją brat nabawił; żegnając się z nią, jak przed śmiercią. i składając w jej ręku węzełek z kilku czerwonemi złotyma, które chował na pogrzeb, mówi, że kruki go pogrzebią. Naglony przez siostrę o objaśnienie tych ciemnych wyrazów, tyle tylko powiedział, że nie Samuel Zborowski, lecz on przypłaci głową za jego występki; że ochotnie na śmierć pójdzie, byleby posłużyła ona na zbawienie jego więźniowi. Gdy Marta chciała go od tej myśli odprowadzić i powtórzyła o nim to wszystko, czego dowiedziała się o jego złem życiu podczas przebywania w zamku Munkacz, Gryzelda mimowoli wzdrygnęła się na ten obraz wyuzdania i przewrotności, a porównywając słowa piastunki ze słowami Włodkowej, mimowolnie dała większą wiarę opowiadaniu wieśniaczki, niż ziemianki, wtajemniczonej we wszystkie manowce płochego albo zdrożnego postępowania Samuela.

Bekiesz wchodzi do komnaty Gryzeldy i oświadcza jej, że dowiedział się, iż Zborowscy przygotowują spisek, aby w dzień ścięcia Samuela Zborowskiego na rynku krakowskim, najęte tłuszcze oraz zbrojni, których tajemnie ukrytych w lasach łobzowskich wprowadzą do miasta, wydarli go z rąk oprawców. Gryzelda zdziwiona, że Bekiesz pierwej oznajmił jej o tem, niż królowi, uczyniła mu tę uwagę. Bekiesz odpowiada, że w jednej z mogich bitew, w których znajdował się obok Samuela, winien mu ocalenie życia, gdy ten uciął rękę nieprzyjaciela, podniesioną już na zabicie Bekiesza; że samo przeprowadzenie go na rusztowanie poczytuje za karę dostateczną za popełnione przezeń przewinienia, nic więcej o tem ani królowi, ani kanclerzowi nie powie i prosi Gryzeldę, aby w tej krawej sprawie niewinnych rąk swoich nie mazała.

Po wyjściu Bekiesza Gryzelda w cudnym monologu rozstrząsa swoje obowiązki jako synowicy królewskiej i narzeczonej kanclerza. Przebija się w jej słowach świtające już w sercu przywiązanie do Zamojskiego; wysoka cnota i rozum kanclerza zupełnie już ją zhołdowały i mimowolnie porównywa ona świetny, czysty, miłością ojczyzny tchnący zawód Zamojskiego, prawość jego serca i niewinność życia z burzliwym,

nierozmyślnym, a często dzikim zawodem Samuela. Zagłębiona w tych myślach powtarza co do słowa to, co z ust Marty słyszała i wzdryga się na samą myśl, że, wybłagawszy życie Samuelowi, dałaby może prawo domagania się jej ręki. Mówiąc sama z sobą, czyli raczej głośno myśląc, przywodzi na pamięć wszystkie dobrodziejstwa, wszystkie pieszczoty i prawdziwie ojcowską czułość stryja dla siebie; mimo przestróg Bekiesza, mimo wstręt wdawania się w tę krwawą, jak ją nazwał, sprawę, uznaje za zdradę zatajenie przed królem tego, co dowiedziała się o uknowanym spisku. Na tem kończy się akt drugi i tu już zawiązuje się węzeł dramatyczny, którego rozwiązanie w sposób fatalny lub pomyślny zależeć będzie od milczenia lub słów Gryzeldy.

Na początku aktu trzeciego ciągnie się rozmowa między królem, kanclerzem i Gryzeldą, a gdy Batory wyrzekł, że teraz przejdzie do naradzenia się z kanclerzem w sprawach rządowych, Gryzelda powstaje i zabiera się do wyjścia. Tymczasem Włodkowa w niewiadomym celu, niechcąca niby, chciała zrazić serce Zamojskiego do Gryzeldy i opowiedziała mu, zmienioną jednak rozmowę swoję z synowicą królewską. W gorących barwach odmalowała jej miłość dla Samuela, Zamojski więc nie chciał długo zostawać pod ciężarem niepewności. Cenił on wysoko zaszczyt powinowactwa z królem, oddawał sprawiedliwość wysokim przymiotom swej narzeczonej, ale miłości, jaką przed kilkunastu laty serce jego pałało do pierwszej żony, Krystyny Radziwiłłównej, nie czuł i czuć nie mógł. Głębsze przyczyny stanu nagliły króla i kanclerza do dania wielkiego przykładu sprawiedliwości, bo buta możnowładcza szeroko rozsiadła się w Rzeczypospolitej i groziła kiedyś jej zagładą. Lecz pod wpływem udzielonej sobie przez Włodkową tajemnicy drżała mu ręka od zadania śmiertelnego ciosu tej, którą w myśli już przywykł był uważać za złączoną z sobą najsłodszemi ogniwami. Ostrożnie więc natrącił o tajemniczem może uczuciu Gryzeldy i jakby ubocznie chciał wybadać stan jej serca. Z tą przenikliwością, jaką Bóg obdarzył niewiastę, Gryzelda wnet domyśliła się, że rozmowa z Włodkową musiała być wypaczoną. Obrażona godność niewieścia sprawiła, że zaniechawszy już wprzódy myśli błagania króla o darowanie w ostatniej godzinie życia Samuelowi, nie chciała jednak złamać danego

Włodkowej słowa, ująwszy za rękę stryja, tuląc ją do ust swoich, wyszeptała głosem, płaczem przerywanym, najczulszą prośbę. Król był wzruszony, bo i sam zawdzięczał Zborowskiemu niemałe usługi, kiedy jeszcze dobijał się o tron siedmiogrodzki. Kanclerz nie był dalekim od zapewnienia tryumfu ustaw krajowych przy innem zdarzeniu, gdy Bekiesz, rozmyśliwszy się, wchodzi do komnaty i uwiadamia króla o zamierzonym spisku. Stefan, powtórzywszy tylko, że czuwanie nad spokojnością stolicy do starosty należy, wziąwszy za rękę Gryzeldę, wychodzi. Urowiecki, doświadczony rotmistrz Zamojskiego, nadbiega szukając kanclerza i potwierdza z większemi jeszcze szczegółami to, o czem dowiedział się świeżo z ust Bekiesza. Oddalają się więc dla odwrócenia następstw spisku i dla nieuchronnych w razie jego wybuchu przygotowań.

W akcie czwartym z kolei poeta przedstawia widzom spiskowych mieszczan, zebranych w jednej z tajemniczych komnat ratusza. Niemcy licznie zebrali się na tę schadzkę i rozważnie odprowadzają rajców polskich od niebacznego zamachu, przedkładają szkodliwe następstwa, jakie obraza króla ściągnąć na miasto może. Polacy wobec tego, że chodzi o życie człowieka, poczytują te uwagi za niegodne ludzi szlachetnych. Spór wzrasta i zajątrza się. Wtem wprowadzony Andrzej Zborowski, brat Samuela, przebrany do niepoznania, widząc stygnącą odwagę mieszczan, grozi im, że w razie zdrady lub nieszczerego postępowania, zbrojnym drużynom, choćby to śmierć brata jego przyspieszyć miało, każe podpalić miasto na czterech rogach. Niemcy zmienili natychmiast tryb postępowania, oświadczając, że podburzenie motłochu nie obejdzie się bez wielkich wydatków, żądają więc, aby bracia Samuela dostarczyli pieniędzy. Scena przenosi się do lasu łobzowskiego. W zbrojnej drużynie, która za uderzeniem w dzwon ratuszowy miała wpaść do miasta, zgiełk przez pospólstwo wszczęty powiększyć, Samuela z rąk starościńskich pachołków wyrwać i w Karpaty z sobą uprowadzić, naradzają się nad sposobem wykonania zamachu. Jak zwykle, na tej naradzie Polaków, w przeważającej liczbie straceńców było dość serc prawych i przeniknionych myślą, że nikt szlachcica na gardło sądzić nie ma prawa, ale do nich, jako do przysięgłych sług Rzeczypospolitej, nie należy w tej mierze wyrokować. Owszem, powinni stanąć na stronie, żal

swój w sercu przechować, a na najbliższych sejmikach w instrukcyi braciom złożyć, aby upomnieli się na sejmie walnym o zniesienie na zawsze kary śmierci. Poeta, sam gorący zwolennik tej nieśmiertelnej prawdy, że człowiek człowiekowi wydzierać życia nie ma prawa, że to jest zbrodnia od pierwszego na ziemi przelewu krwi Abla, o pomstę do nieba wołająca, w prześlicznych i pełnych mądrości słowach rozwinął te pojęcia, o których prawdziwości najgłębiej był przekonanym. Ale wówczas, kiedy się w lesie toczą obrady, przybywa na stanowisko jeden z przekupniów krakowskich, który gdzieś ukryty w komnacie ratuszowej, posłyszał, jak inni dopominali się o pieniądze od Andrzeja Zborowskiego i otrzymali na to jego cyrograf. Chciwość straceńców zapaliła się na tę wieść, wyprawiają więc dwóch z pomiędzy siebie do Andrzeja Zborowskiego, że nie chcą uczynionej im obietnicy dozwolenia łupiestwa sklepów żydowskich na Kaźmierzu, ale domagają się zaliczenia sobie z góry znacznych pieniędzy. Gdy uczta po tej obradzie długo się przeciąga, wpada przerażony jeden z wysłańców do Andrzeja Zborowskiego i donosi, że czaty, rozstawione przez kanclerza wokoło Krakowa, schwytały jego towarzysza, lęka się więc, aby rzecz cała nie wykryła się przed czasem. Istotnie, kanclerz od schwytanego dowiedział się o wszelkich szczegółach spisku, podwoił więc czujność. Urowiecki rozwinął niezrównaną swą działalność; śmierć Samuela zdawała się być nieuchronną kanclerzowi, który widział w spełnieniu nad nim sprawiedliwości zadanie bytu lub upadku Rzeczypospolitej; chodziło, aby ta surowość, ten miecz karzący zabłysnął wśród dnia białego i z końca w koniec przeraził rozpasanych możnowładców zbawiennym przestrachem.

Akt piąty rozpoczyna się znowu od narady kanclerza z królem. W bolesnem uczuciu obaj wielcy mężowie stanu przebiegają szereg niepraktycznych rozumowań, znajdują, że powinni złożyć ofiarę z uczuć serca, uzbroić się nieuchronną surowością i kazać spełnić wyrok.

Tymczasem w więzieniu Samuela Zborowskiego odbywa scena rozdzierająca serce. Benedykt z Rogozina żąda na kolanach przysięgi od Samuela Zborowskiego, że po wyjściu z więzienia uda się do klasztoru Mogilskiego, że tam pokutą oczyściwszy sumienie, przysięgnie na poświęconą hostyę, że zmieni

życie, że z ukrycia, które świętość miejsca czyniła niezgwałconem, błagać będzie o przebaczenie króla, że nadewszystko szczerze i ze skruszonem sercem odpychać będzie od siebie wszelką nienawiść, wszelkie zachcenia zemsty, słowem, że życiem prawdziwie chrześcijańskiem otworzy dla siebie drogę miłosierdzia i przebaczenia Boskiego. Samuel wiedział, że Bartosz z Podgórza już dał słowo Benedyktowi wyprowadzić Samuela z więzienia, już tajemne a podziemne przejście uwolnione było z zawad, już ogromny kamień, zawalający wyjście, został odchylony, czekać tylko należało zmroku i godziny milczenia do wyprowadzenia więźnia, a Benedykt z Rogozina miał już rozstawione konie, któremi Samuel uciekłby do klasztoru Mogilskiego. Samuel z tą płochoscią, z jaką w całem życiu postępował, rozweselony nadzieją bliskiej swobody, zaczyna dworować z Benedyktem, przedstawia mu obrazy wesołego życia, jakie nie w klasztorze, ale na Śląsku z Niemkami prowadzić będzie i w uniesieniu rozmarzonej głowy wyrzekł bluźniercze słowa, że Bóg nie troszczy się o sprawy ludzi, a życie przyszłe jest wymysłem mnichów. Gdy Benedykt struchlał i oniemiał na te wyrazy, Bartosz z Podgórza, który słuchał ich z niewiadomego Samuelowi ukrycia, wpada jak obłąkany, wyrzuca Benedyktowi na oczy, że życie wiernego i przywiązanego sobie człowieka, że złamanie nawet poprzysiężonej wiary wymógł obietnicą zasługi przed Bogiem przez ocalenie duszy chrześcijańskiej od potępienia, ale gdy zamiast skruszonego chrześcijanina widzi przed sobą zakorzeniałego grzesznika i bluźniercę, ściągnąłby potępienie na siebie, gdyby dopomógł mu do ucieczki. Rozżalony i w największej rozpaczy wypada z więzienia. Wkrótce daje się słyszeć huk zapadającego kamienia, którym na nowo wyjście zawalone jest na zawsze. Gdy ten odgłos przeraził i Samuela i Benedykta, uderzenie na gwałt dzwonu zamkowego na wieży pozbawia ich resztki nadziei. Bartosz udał się do Urowieckiego, wszystko mu odkrył, domagając się zasłużonej kary, że na chwilę zachwiał się w winnej królowi wierności. Po krótkiej przerwie słychać bębny, zwiastujące o wzmocnionej straży. Wtem otwierają się drzwi więzienia, świątobliwy biskup krakowski Franciszek Krasiński wchodzi i skłania Samuela, aby przygotował się na wieczność. Tu znowu prześliczne rzeczy o nicości ziemskiej, o obowiązku

człowieka, o potrzebie pomyślenia o prawdziwej ojczyźnie; wszystko to poeta z natchnieniem wypowiedział. Samuel trwa w zaciętym uporze. Biskup zalany łzami odchodzi i przyrzeka nazajutrz przed świtem powrócić. Benedykt z Rogozina stoi jak skamieniały z załamanemi rękami, bo już stracił wszelką nadzieję wzruszenia tego granitowego serca. Samuel miota się w rozpaczy, ale duma nie pozwala mu udawać, pogrążony więc w ponurem milczeniu czeka ostatniej godziny.

Ostatnia scena przedstawia komnatę Gryzeldy. Marta wpada do swojej ukochanej pani, rzuca się jej do nóg i błaga o życie brata swojego Bartosza, który, chociaż Samuela z więzienia nie wypuścił, ale po dobrowolnem wyznaniu, że wszystko do ucieczki przygotował, że w największej tajemnicy chowaną wiadomość o podziemnem przejściu przed nim i przed Benedyktem z Rogozina odkrył, podług surowości ówczesnego prawa i sam na śmierć zasłużył. Urowiecki wzruszony łzami nieszczęśliwej Marty, pozwolił jej widzieć się z bratem, a spokój i rezygnacya, z jaką Bartosz na śmierć się gotował, z jaką upomnień i pociech kapłańskich słuchał, serce jej rozdzierały. Gryzelda, przejęta litością, udaje się do stryja. W czułej prośbie błaga o litość dla Bartosza, a kanclerz dodaje: i dla Benedykta. Król posyła pierścień Urowieckiemu i rozkazuje paziowi, aby natychmiast po spełnieniu wyroku nad Samuelem Zborowskim uwolnił obu starców. Wtem kiedy Gryzelda u kolan stryja dziękuje mu za okazaną litość, ogromny trzykrotny okrzyk ludu, bicie we wszystkie dzwony, uderzenie z dział zwiastują, że stało się już zadość sprawiedliwości ludzkiej nad Samuelem. Król schylił kolano i w rzewnej modlitwie poruczył duszę jego miłosierdziu Boskiemu. Uczynił toż samo i kanclerz, uczyniła i Gryzelda; ale kiedy wszyscy ze łzami w oczach powstali i spojrzeli po sobie, Gryzelda przystąpiła do króla, prosząc, aby jej rękę włożył w rękę Zamojskiego.

Po tych wyrazach poeta, któremu po dwugodzinnej improwizacyi, a często namiętnie wytężonym głosie duch w piersiach zamierał, wpadł jakby w omdlenie. Wszyscy chcieli się rzucić z pomocą, ale Malewski ostrzegł, aby go zostawiono w spokoju. Jakoż w kilka chwil przyszedł do siebie, tylko bladość, rozlana po jego obliczu, świadczyła o większym, niż zwy-

kle wysiłku wszystkich potęg umysłu. Bo też rzeczywiście prócz samej osnowy, którą (przygotował) w samotnej ciszy i ciemności, na którą ustąpił dla obmyślenia i improwizacyi, należało mu nastroić duch swój do nadzwyczajnej wysokości, kiedy wiersze pełne, dźwięczne, poprawne, a niekiedy jak piorun rażące płynęły niewstrzymanym pędem z ust mówiącego. Któż opisze ten wdzięk żywego słowa, te wybuchy zbolałego lub wrzącego zemstą serca? Ale głos ten nie był nigdy wdzięczniejszym i rzewniejszym, jak w rozmowach Benedykta, Bartosza, w upomnieniach biskupa, a nawet w czułem wynurzaniu się Gryzeldy przed stryjem i w krótkiej odpowiedzi Zamojskiego, gdy ugiąwszy bohaterskie kolano przed przyszłą swoją małżonką, rzekł do niej: »Ty będziesz dla mnie Krystyna«.

Poeta, wypocząwszy, jak już powiedziano, z nadludzkiego prawie wysilenia prędko ochłonął. Obecni widząc, jak kolory wracają na jego oblicze, jak się czoło wypogadza, rozpoczęli gwarną rozmowę. Dobra myśl trwała w najlepsze. Ale Aleksander Orłowski usunął się do bocznego pokoju, a posławszy już z początku biesiady do domu po kilka arkuszy ogromnego rysunkowego papieru i różnokolorowe ołówki, zasiadł do pracy, jeżeli pracą nazwać można zdumiewającą bystrość, z jaką postacie zdawały się wyrastać z papieru pod szybkiemi, ledwie dojrzanemi pociągami ołówka. W kwadrans niespełna wyniósł gotowy obraz. We wspaniałym gmachu król siedzi na tronie, otoczony wielkimi dostojnikami państwa; poważne, choć nieco ponure oblicze Zygmunta III, jeszcze wówczas będącego w całej sile wieku, uderzało podobieństwem, a nawet idealnością. Typowe oblicze Jana Zamojskiego, Żółkiewskiego, J. K. Chodkiewicza i kilku innych na pierwszy rzut oka można było rozpoznać. Przed tronem stoi kanclerz litewski, Lew Sapieha, i trzyma wypracowany przez siebie Statut Wielkiego Księstwa, który na podnóżu tronu chce złożyć. Król zdaje się na to nie pozwalać i wskazuje miejsce dla Statutu na swoim tronie. W górze pod sklepieniem gmachu, z otwartego okna widać niebo, a w obłokach otoczony promieniami okazuje się herb Sapiehów, znany krzyż podwójny, zakończony jakby dwiema połączonemi z sobą krokwiami. W oddalonym kącie izby senatorskiej leży wspaniały szyszak, w którym wylęgłe orlęta podnoszą główki. Miało to oznaczać liczne potomstwo Zy-

gmunta III, chcące podlecieć ku niebu i stamtąd czuwać i służyć Polsce. Orłowski w kilku wyrazach serdecznej uprzejmości wręczył ten obraz młodemu Leonowi Sapieże, o którym wyżej wspomniano.

Łatwo pojąć rozczulenie i radość najzacniejszego młodzieńca, którego dusza zdolną była ocenić całą delikatność hołdu, złożonego wielkiemu przodkowi w jego osobie. Było to jakby zachętą, żeby wstępował w dziejowe ślady Lwa Kanclerza. Wszyscy od podziwu żywego słowa przeszli do uwielbienia arcydzieła sztuki.

Wtem Mickiewicz podniósł rękę i prosił, aby sam mistrz kazał oświecić obraz, co natychmiast taki znawca perspektywy, jakim był Orłowski, tak zręcznie uczynił, że obraz, zdało się, że nabiera nowych piękności. Mickiewicz stanął przed nim i, wlepiwszy wzrok, zaczął zwolna nową improwizacyę. Objąwszy jednem spojrzeniem całość kompozycyi i wyczytawszy z niej to, co tam rzeczywiście było, albo to, co geniusz poety w nią włożył, powoli, głosem poważnym i jakby przytłumionym począł mówić. Wypowiedział, że Zygmunt III po tych tryumfach równych rzymskim, jakie panowanie jego ozdobiły, pragnął wywiązać się z drugiej nie mniej ważnej powinności królewskiej, nadania narodowi praw zebranych w jedną księgę, mającą być jego zakonem czyli testamentem. Poeta złotemi słowami opisał i samą osobę królewską i tych, co go otaczali. Miał to być pewien rodzaj spółzawodnictwa, w którem każdy chciał objawić królowi, co najpożyteczniejszego dla społeczeństwa albo dokonał, albo dokonać zamyśla. Lew Sapieha pierwszy głos dla siebie uprosił i tu poeta powtórzył mowę, mianą do króla wierszem pełnym, jędrnym i szczeropolskim. Oddał w najpiękniejszej barwie tę przepyszną przemowę, jaką Lew Sapieha na czele Statutu umieścił. Skoro Sapieha mowę skończył, podniosły się głosy najznakomitszych mężów i wszyscy jednomyślnie zawołali, że wobec nieśmiertelnej zasługi Sapiehy, ustępują pierwszeństwa nagrody, bo nic dorównać nie zdoła błogosławieństwu posiadania takiej księgi praw, jaką Lew Sapieha wypracował. Król, dziękując Sapieże w imieniu żyjących i przyszłych pokoleń, rzekł: że potomność nazwie go prawodawcą Litwy, a imię jego obok Solona i Likurga na zawsze przyświecać ojczystemu niebu będzie.

Tu już uniesienie Leona Sapiehy nie miało granic. Rzucił się do malarza i natychmiast do poety, porwał go z nadludzką prawie siłą na ręce, w czem mu inni dopomogli i z całych piersi nie przestawał wołać: »Górą Litwa, góra Litwa i jeszcze raz i stokroć górą!« Ten okrzyk, długo powtarzany, rozlegał się po obszernej sali, wtem uderzyła północ, godzina urocza i święta dla poety. Mickiewicz dał ręką znak milczenia; wszystkich serca miotane wzruszeniem wrażeń, jakich doznały, rozkołysane błogiem marzeniem, żegnały poetę. Rzeczywiście przytomni nie wiedzieli, czy żyją na tym padole trosk, czy uniesieni w wyższe sfery za krańce widzialnego świata; żyli owem nieopisanem życiem ducha, do którego wyższe umysły tęsknią i dążą, ale tak rzadko oderwać się mogą od pętów, przykuwających do ziemi.

Nic dziwnego, że każdy, co miał szczęście być uczęstnikiem tego na zawsze pamiętnego wieczoru, wróciwszy do siebie, przepędził noc bezsenną. Niepodobna było nacieszyć się wspomnieniami, które w duszy każdego zapanowały. Malinowski natychmiast, skoro tylko znalazł się w swojem zaciszu, siadł do stolika i napisał obszerny list do Kaspra Żelwietra, serdecznego Litwina, od którego doświadczył dowodów najszczerszej przyjaźni i nazajutrz list ten do Warszawy, gdzie Żelwietr mieszkał wówczas czasowo, wyprawił. W nieograniczonej miłości, jaką zacny starzec Litwę ukochał, wyrazy Malinowskiego, cześć i uwielbienie ojczyzny Mickiewicza w jego geniuszu, prosto trafiły do duszy Żelwietra. Uspokoić się on nie mógł, a lubo przy srogości i szpiegostwie, jakie cesarzewicz Konstanty w Warszawie zaprowadził, roztropność kazała mu być ostrożnym, nie potrafił jednak oprzeć się żądzy popisania się, jak mówił, przed Mazurami, jakich to ludzi Litwa wydaje.

Znajdował się wówczas w Warszawie Michał Kontkowski, zacny, cnotliwy, ukształcony, szlachetny w całem znaczeniu tego słowa młodzieniec litewski. Przyjaźń łączyła Żelwietra z rodzicami Kontkowskiego, był on też codziennym gościem Żelwietra. List o Mickiewiczu nie mógł pozostać przed nim tajemnicą. Kontkowski, uniesiony tem, co o improwizacyi czytał, uprosił Żelwietra, żeby mu na kilka godzin ten list powierzył. Pobiegł z nim natychmiast do bawiącego podobnież wtenczas w Warszawie przyjaciela Adama Mickiewicza, później wielkiego

poety, Antoniego Edwarda Odyńca i podzielił się z nim doznaną rozkoszą. Odyniec, również wówczas jeszcze młody, gorąco czujący, staczał często bohaterskie walki z Polakami o wyższość Litwy nad Koroną. Pochwycił list od Kontkowskiego, zaniósł go do redakcyi *Gazety Polskiej* i tam zebrawszy kółko współpracowników, list im przeczytał, ale przepisać go nie pozwolił. Jeden z redaktorów zaraz po wyjściu Odyńca całą osnowę listu, o ile pamięć pozwoliła, na papier przeniósł. Obecni dostarczyli miejsc, które sami lepiej spamiętali i powstał z tego list tej samej niemal treści, ale zmieniony w porządku i wyrazach z opuszczeniem wielu szczegółów, a dodaniem takich, których pierwotnie nie zawierał. W kilka dni po wielu układach z cenzurą list na jaw wyszedł. Bez daty i miejsca, niepodpisany przez nikogo, nie nosił na sobie znamienia autentyczności i dał powód do ustnych sporów między Litwinami i Mazurami. Byłby nakoniec przebrzmiał, gdyby szczególne okoliczności nie wyprowadziły go na widownię i nie dały powodu do wielkich dla kilku osób kłopotów. Był to właśnie czas nieszczęśliwy dla uniwersytetu wileńskiego. Po długiem prześladowaniu młodzieży, po wysłaniu najzdolniejszych na wygnanie (1824 r.), po oddaleniu czterech znakomitych profesorów: Lelewela, Gołuchowskiego, Daniłowicza i Bobrowskiego, rozpoczął się w Wilnię rząd zgrozy. Nowosilcow znalazł w Pelikanie nie tylko usłużne narzędzie do swoich zamiarów, ale i człowieka, który do zacniejszego życia przeznaczony, poniewierał się na podłych drogach szpiegostwa. Najniesprawiedliwiej powziął wściekłą nienawiść do imienia polskiego, usiłował wszędzie je gubić i nękać. Zapamiętałość jego doszła do tego stopnia, że schlebiając Nowosilcowowi, kazał Żegocie Onacewiczowi szukać w dziejach krajowych plam, ciążących na rodzinie Czartoryskich. Bo choć sam nie miał żadnej urazy do księcia Adama Czartoryskiego, którego względów jako kuratora doznawał, wszakże [1]) dla przypodobania się Nowosilcowowi, który za dowody największego dobrodziejstwa wypłacał się księciu Adamowi czarną niewdzięcznością, a więc zdradzonego przyjaciela wszelką nienawiścią nienawidził. Chciał mu dostarczyć dowodów, że ród Czartoryskich skażony był wszelkiemi niego-

---

[1]) Trzeba się tu domyślać wyrazów: czynił to. (Uw. wyd.).

dziwościami. Usłużny Onacewicz powypisywał ze Stryjkowskiego wszystko, co miało związek ze spiskiem panów litewskich w XIV wieku na życie W. Księcia Zygmunta Kiejstutowicza. W tym spisku rzeczywiście główne zadanie Jan Czartoryski przyjął na siebie. Otóż Pelikan przesłał te wyciągi Nowosilcowowi dla użycia ich w danym czasie i miejscu, tudzież dla wrażania Cesarzewiczowi, że ród Czartoryskich jest od wieków buntowniczy i królobójczy. Prócz Onacewicza, miał jeszcze Pelikan na zawołanie Ignacego Szydłowskiego, człowieka oddanego haniebnemu nałogowi pijaństwa, a wszelkiemi nienawiściami nienawidzącego ludzi, głównie zaś Mickiewicza, chociaż żaden go z nim nigdy stosunek nie łączył, chyba że sam mając siebie za wielkiego poetę, rozumiał, że Mickiewicz sławie jego zawadzał. Szydłowski otrzymał przez Pelikana posadę cenzora, a z tego miejsca nie przestawał dostarczać swojemu orędownikowi wiadomostek, które można było za buntownicze przedstawić. W tej brudnej robocie napadł na *Gazetę Polską*, w której znalazł list o sile improwizacyjnej Mickiewicza. Pelikan, jak już dawniej z powodu pobytu Mickiewicza w Odessie, tak teraz z powodu zwiedzenia przezeń Petersburga, natychmiast doniósł Nowosilcowowi, że zuchwalstwo Filaretów dochodzi do ostatnich granic, że nie tylko w stolicy Cesarstwa organizują dla swego bożka owacye, ale że jakby na urąganie się Cesarzewiczowi drukują pod jego okiem w Warszawie opisy rzeczy kłamanych i całej Polsce je ogłaszają. Skoro ta denuncyacya rąk Nowosilcowa doszła, natychmiast poczęło się poszukiwanie. Redakcya *Gazety Polskiej* nie mogła zataić, że Kontkowski przyniósł jakiś list, który odczytawszy znowu z sobą zabrał. Kontkowski pracował wówczas w Komisyi Skarbu Królestwa pod ręką hrabiego Ludwika Platera, którego ojciec Kontkowskiego, Maciej, był kiedyś nauczycielem. Kontkowski był młodzieńcem tak czystych i nadobnych obyczajów, tak wzorowej cnoty i tak prawych zasad i niezachwianej odwagi cywilnej, że oboje hrabowie Plater kochali go jak syna, cenili jak człowieka. Sama hrabina była jedną z tej małej liczby osób, z któremi Cesarzewicz pozwalał mieć towarzystwo żonie swojej, księżnie Łowickiej. Kiedy więc Kontkowski zawołany został do tajnej policyi i kiedy mu powiedziano, że jeżeli koniecznie listu z Petersburga otrzymanego

nazajutrz nie złoży, niech czeka najgorszych dla siebie następstw, hrabina Platerowa, przerażona niebezpieczeństwem grożącem całej rodzinie młodzieńca, natychmiast pojechala do Belwederu i tyle na księżnej Łowickiej wymogła, że kazano z Kontkowskim najłagodniej postąpić. Gdy jednak dla formy raczej, niż dla istotnego dojścia prawdy o liście, dano zapytanie, Kontkowski odpisał, że całe bałamuctwo stąd wynikło: rozmawiał on z kilku młodymi ludźmi Polakami o cudownej prawie zdolności Mickiewicza improwizacyjnej, a kiedy mu zaprzeczano, poszedł do domu, ułożył list wymyślony o obchodzie imienin poety i o wszystkiem, co wówczas zaszło. Nie chcąc nikogo wciągnąć, Kontkowski nie wspomniał ani imienia Żelwietra ani Suchodolskiego. Zdawało się, że wszystko już wzięło koniec. Tymczasem Cesarzewicz po otrzymaniu pierwszej denuncyacyi Pelikanowskiej, czyli raczej Szydłowskiego do Nowosilcowa, napisał w jednym liście do cesarza, że w Petersburgu ciągle mu na przekorę robią i że świeżo, z głośnemi oznakami uwielbienia, Mickiewicza, którego on jako niebezpiecznego rewolucyjnego wichrzyciela z dawniejszych krajów polskich oddalił, przyjmują w stolicy jakby posłannika Bożego. Cesarz rozkazał dowiedzieć się, co tak nadzwyczajnego zrobiono dla Mickiewicza. Wówczas zajmował przy szefie żandarmów, hrabi Benkendorf, posadę dyrektora Maksymilian von Fock, z którym redaktor *Poczty Północnej*, Tadeusz Bułharyn, był sprzyjaźniony. Kiedy hrabia Benkendorf otrzymał rozkaz cesarski i poruczył panu von Fock rzecz wyjaśnić, wówczas znajdował się w jego gabinecie Bułharyn i oświadczył, że może będzie mu pożytecznym w rozwikłaniu zagadki. Jakoż nazajutrz zobaczył się z Malinowskim i zapytał, co się działo w dzień imienin Mickiewicza. Malinowski odczytał mu opisanie tego wieczoru ze swego dziennika i nie widział potrzeby ukrywać, że pisał do Warszawy do Żelwietra, lecz nic nie wie, co potem nastąpiło. Tegoż dnia na żądanie pana von Fock, Malinowski pojechał z Bułharynem do niego na herbatę. Tam pokazano mu numer *Gazety Polskiej*, w której odczytał bezimiennie niby umieszczony swój list, ale widocznie przerobiony, albo umyślnie, albo że przerabiacz pochwycił tylko ogólny jego zarys ze słuchania i potem powtórzył go własnemi słowami. Malinowski dodał, że uczta 24 grudnia odbyła się w domu Zerbina, w mieszkaniu

Adama Rogalskiego, że policya była podług przepisów uwiadomiona, że na wieczór zebrało się 40 osób, że Rogalski nawet ich listę, jak tego przepisy wymagają, do Części przesłał. Von Fock, rad z tych objaśnień, zażądał natychmiast raportu od policyi i rzeczywiście urzędowa lista została mu przesłaną.

Znalezienie na niej nazwisk Jelskiego, Łęskiego, Linowskiego, Sapiehy i wielu innych, dobrze już znanych w Petersburgu, rozweseliło von Focka. Hrabia Benkendorf złożył raport cesarzowi, który chcąc zapewne pokazać Wielkiemu Księciu, że wie wszystko, co się w stolicy dzieje, zawiadomił go, że lepsze towarzystwo Polaków, bawiących w Petersburgu, chciało odbyć swoim zwyczajem kucię, a właśnie dzień ten zbiegał się z imieninami Mickiewicza, który, jako urzędnik kancelaryi generał-gubernatora moskiewskiego, razem z nim do Petersburga przyjechał. Ordynatorowie tej kuci składkowej, obrawszy dom, w którym ją odbyć mieli, uwiadomili o tem policyę i dołączyli listę mających się zebrać osób. Że po wieczerzy grano na fortepianie, malarz Orłowski, domownik i pensyonaryusz Cesarzewicza, rysował, a Mickiewicz deklamował wiersze, których przedmiotem był koniec XVI wieku. Że pracujący w bibliotece publicznej Malinowski, o którym policya ma najlepsze doniesienia, opisał w liście do Żelwietra, człowieka od lat 25 w Petersburgu zamieszkałego i z najlepszej strony znanego, cały ten wieczór, tak więc jako w rzeczy, która się podług prawideł i z zachowaniem porządku odbyła, niema powodu upatrywać nic zdrożnego. Von Fock po ułożeniu tego listu zacierał ręce z zadowolenia i powtarzał, że szpiegi Cesarzewicza, złajani przez niego, wyjdą ot tak z długimi nosami. Ale skoro ten list w Belwederze otrzymano, Cesarzewicz kazał pochwycić Kontkowskiego i za to, że przed nim skłamał, że nie powiedział kto i do kogo pisał list, który rzeczywiście istniał, zabronił mu dalszej służby rządowej w Warszawie i czerwonemu swemu kozakowi kazał go zawieść do rodziców w powiecie święciańskim do Sieniszek blizko Dangieliszek. Nowosilcow chciał koniecznie mieć w ręku list Malinowskiego; kiedy więc już wiedział, że pisany był do Żelwietra, a poczciwego już Litwina w Warszawie nie było, gdyż napowrót wyjechał do Petersburga, kazał napisać do generał-gubernatora stolicy, hrabiego Goleniszczewa-Kutuzowa, aby koniecznie ten

list wydobyć. Spodziewano się zapewne doczytać się w nim czego innego, niż to, co von Fock w swoim raporcie pomieścił. Żelwietr bawił jeszcze na Litwie, kiedy żądanie Cesarzewicza zaszło. Powrót jego opóźnił się tak, że ledwie w połowie marca (1827 r.) stanął w Petersburgu; Malinowski od niego dowiedział się, że Kontkowskiego zrugowano z miejsca i wyprawiono z Warszawy do rodziców. Sam Żelwietr, wezwany do generał-gubernatora, nie tail, że list otrzymał, ale kiedy Kontkowski wziął go od niego na kilka godzin, wówczas, gdy i poszukiwania wnet się rozpoczęły, Kontkowski list zniszczył.

Tak skończyła się cała ta sprawa, Kontkowski nie uniknął doli, jaka nań czekała, bo choćby został w Warszawie, zawsze by w 30 lub w 31-ym roku wszedł do służby wojskowej. Tak się i teraz z nim stało. Gdy wrócił wyprawiony przez Cesarzewicza na Litwę, a Malinowski wszedł do zarządu massy Radziwiłłowskiej (w końcu roku 1828), sprowadził natychmiast Kontkowskiego do Wilna i umieścił go w tymże zarządzie. Skoro jednak nadszedł rok 1831, Kontkowski złożył pieniądze i papiery będące w jego ręku i połączył się z powstaniem kowieńskiem, którem wraz z poniewieskiem dowodził Karol Załuski. Pod Lipową w bitwie Kontkowski miał zgruchotaną nogę. Po jej amputowaniu wrócił znowu na posadę w prokuratoryi Radziwiłłowskiej, ożenił się z prześliczną Kasyldą Januszkiewiczowną, którą później miał nieszczęście stracić. Dziś (1864) jest pełnomocnikiem hrabiów Branickich i zawiaduje ich ogromną fortuną.

4.

Księżna Aleksandrowa Sapieżyna posiadała na Wołyniu dobra Teofipol. Książę Adam Czartoryski, mając już przeszło lat 50, nie myślał wcale o małżeństwie. W czasie, kiedy odbywał wizytę w Krzemieńcu, nadeszły święta wielkanocne, Księżna Sapieżyna zaprosiła więc go do Teofipola. O jej córkę Annę, 18-letnią dzieweczkę, starał się jenerał Ludwik Pac i przyjechał też na święta na Wołyń. Na pierwszy dzień świąt, po powrocie z kościoła, książę Adam przyszedł z powinszowaniem do księżnej Sapieżyny i przyniósł z sobą jajko malowane, nazywające się w języku ludu pisanką. Kiedy mężczyzna taką pisankę

ofiaruje dziewczynie i wymówi słowa: *Chrystos woskres*, wtenczas dziewczyna powinna z nim trzy razy się pocałować. Książę Adam zbliżył się do księżniczki Anny, chcąc skorzystać ze zwyczaju miejscowego. Księżniczka, zawahawszy się, spojrzała na matkę. Księżna dała znak głową, że może zrobić ofiarującemu pisankę tę grzeczność, co widząc Pac, wypadł piorunem do przedpokoju, rzucił służbie kilka dukatów, aby mu natychmiast piękną pisankę przyniosła. Uzbrojony w ten talizman wraca do salonu i zbliża się do księżniczki Anny, która znowu wzrokiem poradziła się matki, ale odebrała znak przeczący. Pac tknięty tem do żywego, zaczął ostro wymawiać, że nie rozumie tej różnicy między sobą i księciem. Księżna Sapieżyna odpowiedziała: »my mamy szczęście widzieć w księciu Adamie blizkiego krewnego«. Pac z oburzeniem począł dowodzić, że wszystkie wielkie domy w Polsce są w równym stopniu z sobą spokrewnione. Książę Czartoryski rozumiał, że powinien był położyć koniec tej sprzeczce, zbliżył się więc do Paca i oświadczył, że sami mogą między sobą ten spór załatwić. Pac odrzekł, że przyjmuje wyzwanie. W rzeczy samej w kilka miesięcy później przyszło na Śląsku między nimi do pojedynku. Książę był raniony w nogę. Rozniosło się to po Polsce i za granicą, panna mogła być skompromitowaną, książę zatem prosił o jej rękę i ożenił się. W kilka miesięcy później książę Czartoryski jako kurator zwiedzał gimnazyum podolskie w Winnicy i jeszcze wskutek pojedynku kulał. Ksiądz Maciejowski spytał go: »co to książę jegomość kula?«. Książę udał, że nie słyszy, ale kiedy Maciejowski nie przestawał nalegać o odpowiedź, książę rzekł: »pies mnie ukąsił«. »O! co to za niegodziwi ludzie ci słudzy, mając tak łaskawego i dobroczynnego pana, żeby psów nie odpędzać i dopuścić, ażeby się na księcia rzucały« — zawołał Maciejowski, udając, że nie wie, kto zranił nogę księcia, co tem bardziej całą młodzież, świadomą tego wypadku, rozśmieszyło.

5.

Jundziłł, umierając, miał lat 90. Tak już był słabym, że przez ostatnie lat kilka życia swego nie wychodził z pokoju od września do maja. Rozmowa staruszka tego nadzwyczaj

była interesującą. Był prawie zupełnie ślepym, wielką mu więc sprawiało przyjemność, gdy go ktokolwiek wieczorem odwiedzi. Trzeba też było wielkiego poświęcenia ze strony odwiedzających, ażeby dla przyjemności uczonej i miłej rozmowy znosić zaduch, jaki panował w nigdy nieprzewietrzanym pokoju staruszka. Jednym z częstszych gości jego był Mikołaj Malinowski, z którym Jundziłł najmilej czas przepędzał, opisując dawne czasy. Między innemi opowiedział mu, że w r. 1794, kiedy uniwersytet wileński wysłał go za granicę dla doskonalenia się w botanice i mineralogii i Jundziłł, zwiedziwszy kopalnie zagraniczne i węgierskie, wrócił do Wiednia i nie znalazł na dalszą podróż pieniędzy, które go tam czekać miały: udał się o pomoc do Staszica, bawiącego wówczas jako plenipotent kanclerzyny Zamojskiej w Wiedniu. Znalazł go łatającego trzewiki i kiedy młody Jundziłł wszedł, Staszic zachęcał go, ażeby, korzystając z jego przykładu, sam został oszczędnym. Jundziłł usłuchał rady jego i sam potem słynął ze skąpstwa. Kiedy już był tak starym, że potrzebował koniecznie czyjejkolwiek opieki, sprowadził do siebie synowca swego, który był nieszczególnym lekarzem, zobowiązał go opiekować się nim, za co miał mu zapewnić byt, ale tylko pod tym warunkiem, że synowiec nigdy się nie ożeni. Młody Jundziłł zakochał się wkrótce w prześlicznej pannie Dominice Lecayett i bez pozwolenia i wiedzy stryja ożenił się z nią. Rzecz dziwna, że wszyscy wiedzieli o tem ożenieniu, również jak i o warunkach księdza Jundziłła, który był człowiekiem surowym i pewno wydziedziczyłby synowca, gdyby się dowiedział, że ten wbrew jego woli postąpił. Lecz 4 lata żył jeszcze staruszek, nie wiedząc, że ma synowicę. Umierając zapisał 18 tysięcy rs. na wychowanie ubogich chłopców

6.

Sobolewski, profesor literatury łacińskiej w uniwersytecie wileńskim, był bardzo dowcipnym i rozumnym człowiekiem, ale miał złe serce. Będąc w Wilnie, zebrał anegdoty o Malewskim profesorze, sekretarzu, a potem rektorze uniwersytetu wileńskiego, człowieku dobrym, z praktycznym i zdrowym rozsądkiem, ale z natury rzeczy tak skąpym, że ta jego wygóro-

wana oszczędność nie pozwalała mu dawać względu na godność stanu, a nawet przechodząc później w chciwość, uczyniła go, kiedy został rektorem, przedajnym. Otóż Sobolewski tego rodzaju wykroczenia Malewskiego zebrał i w sposób bardzo dowcipny, ale jadowity opisał i kuratorowi złożył. Czartoryski, oburzony tą złośliwością, podany sobie rękopism kazał spalić, Sobolewskiego ostro zgromił i tylko rozległej swojej nauce i wielkim zdolnościom winien był Sobolewski, że kurator zgodził się na postanowienie uniwersytetu wysłania Sobolewskiego za granicę, gdzie miał ukształcić się na przyszłego profesora filologii. W r. 1819 Sobolewski wrócił do Wilna, i jako adjunkt zaczął wykładać literaturę łacińską z wielkim pożytkiem dla uczniów a sławą dla siebie. Wtem nagle pod koniec tegoż roku Sobolewski zachorował i leczyć się nie chciał. Przypisywano to czarnej melancholii, bo zamknął się i prócz służącego nikogo do siebie nie przyjmował. Okazało się później, że to był nałóg pijaństwa do najwyższego stopnia posunięty. Były wprawdzie krótkie przerwy trzeźwości, lecz Sobolewski wracał do nich kilkakrotnie i w r. 1829 zakończył życie z wielką szkodą dla nauki. W ostatniej chwili kazał sobie jeszcze podać szklankę wódki i ochrzypłym głosem zaśpiewawszy: rodziłem się goluteńki, umieram pijaniuteńki, skonał.

7.

Wincenty hrabia Kiszka z Ciechanowca, Zgierski libera parte, kawaler złotej ostrogi, ubogi szlachcic i sierota z drohiczyńskiego, dostał się na fundusz korsakowski w Wilnie, gdzie odbył szkoły. Po skończeniu gimnazyum począł uczęszczać na lekcye uniwersyteckie. Nie brakło mu pamięci, ale była to głowa płytka, przytem nadzwyczajnej zarozumiałości. Sława Jędrzeja Śniadeckiego spać mu nie dawała; zaledwie kilka miesięcy słuchał jego wykładu chemii, kiedy marzyć mu się poczęło o wynalazkach w tej nauce, któremi chciałby świat zadziwić. Napisał jaąś ramotę chemiczną, w której nie było ani ładu ani składu, zaniósł ją do Śniadeckiego, a kiedy ostro przezeń został zgromiony za taką zuchwałość, poprzysiągł mu wieczną nieprzyjaźń. Rzucił wydział fizyczno-matematyczny i prze-

niósł się na literacki; tu uderzony sławą poetów postanowił całe życie oddać muzom. Utrzymywał się z korepetycyi, co przy takiej liczbie porządnych uczniów uniwersyteckich było trudne, tak dalece, że Zgierski zaledwie nieodbite [1]) potrzeby życia mógł opędzić. Tymczasem przyjechał z Galicyi obywatel zamożny, Antoni Zgierski dla procesu z Michałem Ogińskim. Zgierski natychmiast udał się do niego. Człowiek zacny, widząc nędzę imiennika, dostarczył mu środki (sic) na utrzymanie się dwuletnie przy uniwersytecie; mówiąc zaś z nim o swoim procesie, powiedział, że dochodzi sukcesyi po Kiszczance swojej prababce, której majątek jakoby Ogińscy przywłaszczyć sobie mieli. Pan Wincenty Zgierski, pochwyciwszy tę wiadomość, szukał w Niesieckim, kto byli Kiszkowie, i znalazłszy, że był to jeden z najdawniejszych i najzasłużeńszych domów w Litwie, że za przykładem innych możnowładców Kiszkowie wyrobili sobie w końcu XVI wieku u cesarza niemieckiego dostojność hrabiów na Ciechanowcu na Podlasiu, natychmiast po wyjeździe Antoniego Zgierskiego począł pisać się całym tytułem jak wyżej; że zaś u pracowitego genealoga, Ignacego Bohdanowicza Dworzeckiego, bardzo starannego korrektora w drukarni Zawadzkiego, zobaczył raz pieczęć któregoś z dawnych Kiszków, a na niej godło tego domu, *liber a parte* (daleki od stronnictw), nie umiejąc po łacinie, przyimek *a* dołączył do przymiotnika *liber* i tak utworzone godło, nie dające żadnego sensu, wcielił do swego tytułu. Zgierski, nie przestając już na poetach polskich, rozkochał się w rosyjskich i nabył pewnej łatwości pisania w tym języku. Ponieważ wówczas mało kto z ludzi młodych po rosyjsku umiał, a konsystorz wileński potrzebował translatora, uprosił sobie to miejsce u ówczesnego oficyała, biskupa Tadeusza Kundzicza, człowieka małego rozumu, ale niezmiernie lubiącego pochlebstwa. Zgierski umiał trafić w tę słabość niedołężnego starca, który prędko dał mu posadę sekretarza konsystorskiego. Kundzicz był chciwy i przedajny; najwięcej ciągnął nieprawych dochodów z rozwodów, w czem Zgierski pracowicie mu dopomagał. Skoro lepiej dziać się mu poczęło, opanowała go mania elegancyi, w której niezmiernie przesadzał. Pstrzył się rozmaitemi błyskotkami, na palcach pełno pierścieni tak, że do niego

---

[1]) W rękopisie: nieodbitne.

zastosowaćby można to, co Krasicki w jednym z listów swoich o biłgorajskich jubilerach napisał: że przedawali klejnoty wielkiej wagi: za trzy złote dwa szmaragi. Mężczyźni poczęli nosić płaszcze zwane almaviva z długimi jedwabnemi kutasami; to zdało się Zgierskiemu zbyt pospolitem, kazał więc szmuklerzowi zrobić długie i grube sznury i kutasy ze złota, podszewkę zaś dał aksamitną purpurową i tak pysznił się jak paw; chodził po pięknych i bardzo uczęszczanych wówczas bulwarach wileńskich, które, zaczynając się od domu Rzewuskich naprzeciw katedry, ciągnęły się prześlicznemi z topoli piramidalnych alejami, okrążały arsenał i całą górę zamkową i ponad Wileńką wychodziły na plac Katedralny. Tę prześliczną ozdobę winno było miasto smakowi i staranności generał-gubernatora Korsakowa, który sam z własnej szkatuły wiele na to pieniędzy wyłożył. Niedość było Zgierskiemu na złotych kutasach, chciał koniecznie orderu; ale to było już trudniejsze. Posłyszawszy, że w Rzymie za sto dukatów można było, byle nastręczyć jaki powód, kupić ten order, ułożył więc bardzo ladajaki zbiór rozporządzeń rosyjskich tyczących się kościołów katolickich w Cesarstwie, nazwał to szumnie »prawem kanonicznem«, wydrukował u Misyonarzów i posłał przy liście papieżowi, jeszcze Piusowi VII, a za staraniem Antoniego Goreckiego, bajkopisarza, którego ta pretensya Zgierskiego bardzo bawiła, a który właśnie wówczas zajechał był do Rzymu, kupił sobie upragniony order. Order złotej ostrogi składa się z krzyża emaliowanego na biało, w dolnej jego części przytwierdzona jest malutka złota ostróżka. Nosi się na szyi na purpurowej wstędze, którą naturalnie że Zgierski kazał zrobić dwa razy tak szeroką, jak przepis wskazuje. Kiedy Zgierski zaczął popisywać się w Wilnie z tym orderem, policmajster Szłykow zapytał go, za jakiem prawem (sic) tej ozdoby używa; złożył on wprawdzie patent papieski, ale ponieważ nie było pozwolenia rządu rosyjskiego na noszenie w kraju tego orderu, Szłykow powiedział mu, że może ten order nosić, ale nie inaczej, jak pod koszulą. Zgierski, zapewniwszy sobie byt i używając znacznych dochodów, jakich mu sekretarstwo konsystorskie dostarczało, chciał zasłynąć sławą wielkiego poety. Począł więc pisać tragedye i natychmiast ogłaszał je drukiem. Kochał się też w sztukach

pięknych, żadnej więc ramoty nie wypuścił bez rysowanej[1]) winiety. Tak na tragedyi: *Złota wolność* przedstawił nagiego kupidyna ze skrzydłami, z łukiem w ręku, z kołczanem na żołądku i w ułańskim kaszkiecie! Druga wydrukowana przezeń tragedya: *Chodkiewicz pod Chocimem* tem się odznacza, że bohater tragedyi ani razu nie okazuje się na scenie. Wiersze Zgierskiego są gwarem wyrazów bez żadnej myśli, średniówka nigdzie nie szanowana, kadencye najdziwaczniejsze, znajomości składu scenicznego najmniejszej. Kiedy zaś posypały się epigramata na poetę, żółć się w nim poruszyła i najdowcipniejsze przycinki przypisywał Ignacemu Szydłowskiemu. Chcąc się zemścić, wybrał jednę z niewinnych piosnek przez Szydłowskiego w *Dzienniku Wileńskim* drukowanych i kazał przedrukować ją na oddzielnym arkuszu, a po czterech rogach polecił sztycharzowi Podolińskiemu wyobrazić głowyośle z rozdartą paszczą, z wystawionym na zewnątrz językiem i nadzwyczaj długiemi uszami, a pod każdą taką głową napisać »śpiewy — ziewy« (co miało znaczyć, że osioł nawet ziewa, słuchając śpiewu Szydłowskiego). Zgierski doświadczał sił swoich we wszystkich rodzajach poezyi; pisał bajki, ody, ballady, akrostychy i tym podobne. W czasie śledztwa nad Filaretami Zgierski został uwięziony; kiedy Nowosilcow kazał go przyprowadzić na komisyę i zapytał, dlaczego młodzież u siebie zbiera, a — w samej rzeczy Zgierski, nająwszy całe drugie piętro pałacu Słuszczyńskiego (dziś koszary na Antokolu), spraszał do siebie znajomych młodych poetów: Korsaka, Odyńca, Aleksandra Chodźkę i innych, dla których te wieczory były niewyczerpanem źródłem śmiechu i wesołości, a Zgierski częstował swoich gości różnemi łakociami i herbatą z likierem różannym — Zgierski, tłómacząc się przed Nowosilcowem, powiedział że dla poprawy gustu, który nędzne wierszydła Mickiewicza w młodzieży zepsuły, zbiera ich dla czytania własnych swoich wierszy i dla sprostowania ich na dobrą drogę. Nowosilcow kazał mu przedeklamować cokolwiek z genialnych jego utworów i oceniwszy natychmiast, co to była za głowa, uwolnił go z więzienia i życzył, aby i nadal nie zaniedbywał krzewić dobrego smaku poezyi. Po wyjściu jego z więzienia, Odyniec napisał bardzo zgrabne, wesołe i dowcipne

---

[1]) W rękopisie: rymowanej.

treny: *Kiszka w kozie*, parodyując znane treny Bajrona *Tasso w więzieniu*.

Uniwersytet dostał nowego profesora literatury rosyjskiej, Jana Łobojkę, wielkiego nieuka, ale któremu zdawało się, że potrafi rozkrzewić zamiłowanie Litwinów w poezyach klasyków rosyjskich. Łobojko gardził Puszkinem, ale wyznawał bałwochwalczą cześć dla Dierżawina. Wnet Zgierski ofiarował się tłumaczyć jego ody, jakoż w cudacki strój je przybrał, a Łobojko tak był dobrodusznym, że na każdej tłumaczonej odzie podpisywał: съ подлиннымъ вѣрно i takie ody w pojedyńczych broszurach w Wilnie przez cały rok wychodziły, a Zgierski nazywał to tomami. Nakoniec pokłóciwszy się ze swoim pierwszym protektorem Kundziczem, zrobił mu proces i wyjechał do Petersburga. Tam w przeciągu lat kilku zjadł to, co w Wilnie uzbierał; spodziewał się dźwignąć się z biedy i ogłosił prospekt na poemat bohaterski we dwudziestu czterech pieśniach na cześć cesarza Mikołaja, dawszy mu tytuł: *Nicolaida*; ale ktoś zwrócił uwagę na nieprzyzwoitość ramot Zgierskiego, wydano więc zakaz, aby nie ważył się *Nicolaidy* swojej drukować. Że zaś wtenczas Mickiewicz znajdował się w Petersburgu, Zgierski głośno żalił się, że Mickiewicz przez zazdrość przeszkodził wyjściu dzieła, któreby wszystkie jego własne nędzoty zaćmiło. Zgierski, gdy na polu poezyi nie szczęściło się, postanowił zrobić odrazu fortunę przez wydawanie w Petersburgu dziennika handlowego w kilku językach: polskim, rosyjskim, niemieckim, francuskim, angielskim pod tytułem *Merkury*; na prospekcie jaśniała winieta, przedstawiająca bożka handlu z nadzwyczajnemi i najdziwaczniejszemi emblematami. Po wyjściu zaledwie kilku numerów dziennik ustał, poeta gdzieś zginął tak, że śladu o nim powziąć nie było można; najprawdopodobniej, że gdzieś w jakimś zakącie umarł z cholery.

8.

Piotr Sławiński był bardzo pracowitym i zdolnym młodzieńcem, zwiedził Anglię i Francyę i wykształcił się na obserwatora; był nim dość długo w Wilnie. Pewnego razu zachorował mocno na gorączkę i kiedy przyszedł do siebie, postrzegł

z rozpaczą i przerażeniem, że zapomniał wszystkiego, czego się uczył. Frank mu poradził, że najlepiej zrobi, ucząc się wszystkiego na nowo. Sławiński usłuchał tej rady, wezwał kolegę swego Szahina; ten zaczął go uczyć od arytmetyki, geometryi i naturalnie, że się Sławiński postrzegł, iż w miarę jak zaczął się uczyć, przypomina mu się wszystko; uszczęśliwiony w sześć tygodni skończył swoją pracę. Był bardzo dobrym profesorem astronomii, żyje jeszcze dotąd o 3 mile od Wilna w mająteczku swoim Kiena.

9.

Lelewel szanował i kochał profesora Groddcka, któremu pod względem nauki niezmiernie wiele był winien; Groddeck cenił geniusz i pracowitość Lelewela, towarzystwo więc jego było mu zawsze najmilsze. Latem dla własnego i dwóch córek zdrowia przemieszkiwał w Werkach i zapraszał, ażeby w ciągu wakacyi Lelewel co najczęściej go odwiedzał. Gdy raz odjeżdżając z Werek zaproszony był nazajutrz na obiad, zapytał panny Maryi Groddeck, zajmującej się gospodarstwem domowem, czy nie potrzebuje czego z miasta. Młoda gospodyni powiedziała, aby posłał do klucznicy, która została w Wilnie dla dozoru mieszkania, żeby przysłała trochę masła, obawiając się, aby go w Werkach nie zabrakło. Lelewel w dniu naznaczonym posłał z tem poleceniem. Klucznica rozumiejąc, że nastręcza się dobra sposobność, powiedziała, że całą faskę chce posłać. Wielkie były trudności z ulokowaniem faski na drążkach, woźnica stawił przeszkody, ale znęcony dodatkiem pół rubla do umówionej już ceny za kurs do Werek umieścił z tyłu między resorami, dobrze powrozami przywiązawszy, faskę. Ani Lelewel, ani klucznica nie zważali na dzień niezmiernie upalny i na to, że w samo południe z Wilna wyjedzie. Lelewel zatopiony w dumaniach, woźnica zajęty swoim koniem, który ledwo wlókł się po piaszczystej drodze, nie postrzegli, że masło od gorąca sączyć się poczęło, tak dalece, że gdy przyjechali do Werek, ledwie połowę faski stopionego masła przywieźli. Panna Marya głośno narzekała, Groddeck śmiał się do rozpuku, wymawiając, że tak uczonego męża do podobnych posług używa-

Lelewel przekonał się jeszcze mocniej, że mu nic ani z kuchnią, ani ze spiżarnią mieć do czynienia nie wypada.

10.

Ignacy Emanuel Lachnicki, doktor filologii i kamerjunkier, był redaktorem *Pamiętnika magnetycznego* i wierzył ślepo w cudowną siłę magnetyzmu. Kiedy wyszło obszerne dzieło po niemiecku napisane przez Ennemozera [1]), Lachnicki czytał je z wielkiem zajęciem i zebrał obfite żniwo artykułów do swego czasopisma.

Kiedy w r. 1822 cesarz Aleksander wypędził gwardyę z Petersburga do Wilna, książę Michał mieszkał w Widzach, książę Mikołaj w Wilnie, a przy nim Paskiewicz, który bywając w kilku domach użalał się, że go reumatyzm dręczy. Przebywał wówczas w Wilnie książę Hieronim Lubecki, zwolennik magnetyzmu i Leroy. Był to bardzo dobry człowiek, straszył tylko ludzi księdzem, który był nauczycielem jego synów. Bo też ksiądz ten był dziwaczną figurką; maleńki, szczupły, zupełnie jak wystrzyżona figurka na parawany. Chodził zwykle w pończochach i trzewikach, dalsze ubranie nadzwyczaj bufiaste, chudy do najwyższego stopnia, twarz pomarszczona, a z pomiędzy obwisłej skóry błyszczało dwoje czarnych oczu. Istotka ta jednak była nie głupią. Ksiądz Laporte wytłumaczył i dobrze skomentował Cycerona *De fato*. Dla wielu dewotek wileńskich zrobił tę przyjemność, że spowiadał po francusku i miał czasem kazanie u misyonarzy po francusku. Miał zwyczaj rzucać się i krzyczeć na ambonie; jakaś dewotka, siedząc na ziemi z wlepionemi oczami w księdza kaznodzieja (sic), krzyczała zawsze, ile razy ten tylko z ambony skrzyknął, tak, że nie można było słyszeć, co ten mówi. Otóż Hieronim Lubecki, najlepszy człowiek pod słońcem, zupełnie różny od brata swego Ksawerego, wierzył w cuda, cudziki, sny i t. d. Miał w domu przy żonie i córkach pannę Wojciechowską, bardzo porządną i dobrą sługę, która dostała epilepsyi. Lachnicki podjął się ją magnetyzować. W samej rzeczy doprowadził ją do stanu jasnowidzenia.

---

[1]) Ennemoser Józef, doktor i filozof niemiecki (1787—18854), autor dzieła: *Magnetyzm w rozwoju historycznym* (Lipsk 1819) i in. (Uw. wyd.).

Sesye odbywały się uroczyście od 11 wieczór do 3 po północy. Pewnego razu poradzono Paskiewiczowi, ażeby się udał do Lachnickiego. Lachnicki zaprowadził księcia do Wojciechowskiej, uśpił ją i ta poradziła mu, ażeby poszedł na szklanny zaułek, odliczył od kraty, gdzie rynsztok spada, dziewięć kroków, że na prawo będzie brama, do której trzeba wejść w drzwi po prawej ręce, że wszedłszy do sieni są schody, tych jest 3 razy 9, jak się wejdzie w drzwi na lewo, będzie izba zamieszkała przez żydów, a w niej szafa. W szafie tej jest wiele płótna, trzeba wziąć dziewiątą sztukę niebielonego płótna, oderżnąć 9 cali, przynieść tu i nasmarować maścią z żywicy i innych 9-ciu ingredyencyi, a Paskiewicz zdrów będzie. Trzeba było widzieć osłupienie Paskiewicza! Służący Lachnickiego znalazł płótno tam, gdzie wskazała panna Wojciechowicz (sic), przyniósł potem z mieszkania Lachnickiego maść z 9 ingredyencyami, a panna W. tymczasem czytała położony papierek na dołku, przepowiadała i t- d. Po wyjściu księcia, Lachnicki zaproponował Mikołajowi Malinowskiemu pójść do mieszkania jego na kotlety, w drodze doktór kamerjunkier cieszył się głośno, że mu się tak udało oszukać Paskiewicza i przyznał się najotwarciej, że przepowiednia ta była wprzód ułożoną, że służący z jego mieszkania przyniósł płótno, że maść ta bez magnetyzmu uśmierza bole reumatyczne i w rzeczy samej Paskiewicz był uradowany, że mu ręka przestała boleć.

11.

Kiedy Warszawa przeszła pod panowanie pruskie, panował tam Fryderyk Gruby, dziad króla dzisiejszego, fanatyk luterski, tchnący największą nienawiścią do katolicyzmu. Tolerował więc zupełnie rozprzężenie karności w duchowieństwie katolickiem. Skorzystało z tego kilku znakomitych skądinąd mężów, jak: Franciszek Dmochowski, Ludwik Osiński, Wolski, Maciejowski i inni, którzy zrzuciwszy suknie zakonne pożenili się. Rząd nie tylko, że ich za to nie karał, ale nawet protegował, tak dalece, że z wielkiem zgorszeniem w nowo założonem przez siebie bardzo porządnem gimnazyum w Białymstoku mianował Maciejowskiego dyrektorem. Białystok w r. 1807

przeszedł pod panowanie Rosyi. Ksiądz Golański, pijar, był profesorem emerytem w Wilnie i kiedy dowiedział się, że Śniadecki chce oddalić Maciejowskiego z urzędu, uprosił, aby mu pozwolono nawrócić dawnego kolegę zakonnego. Uniwersytet przychylił się do prośby jego. Ksiądz Maciejowski przybył do Wilna i udając skruszonego wyrzekł się żony i znowu został księdzem. Śniadecki to przynajmniej zawarował, aby Maciejowski już na posadę dyrektorską do Białegostoku nie wracał, ale naznaczył go na dyrektora gimnazyum Podolskiego w Winnicy. W gimnazyum tem pobierał nauki sławny nasz historyk Malinowski. Miał on wówczas lat 19. Dyrektor bardzo go lubił; otóż kiedy Malinowski wyjeżdżał z Winnicy, udając się do uniwersytetu wileńskiego, ks. Maciejowski, żegnając się z nim, zapytał: czy masz znajomych w Wilnie? Mikołaj Malinowski odpowiedział, że oprócz kolegów, którzy przed nim wstąpili do uniwersytetu, nie zna nikogo. Wówczas dyrektor dał mu list do dziekana fakultetu filologicznego, ks. Golańskiego, ze wszech miar zacnego męża. Malinowski za przybyciem do Wilna, poszedł z tym listem do dziekana, który wyraziwszy radość, jaką doznaje w poznaniu tak zdolnego ucznia gimnazyum, oświadcza mu zarazem, że ksiądz Maciejowski pisze do niego, że był dyrektorem sumienia jego i prosi, ażeby teraz Golański oddał tę samą przysługę Malinowskiemu; lecz ponieważ dziekan z powodu ciągłego niezdrowia musiał odmówić Maciejowskiemu, polecił go więc swemu przyjacielowi księdzu Słomce, misyonarzowi, który kazał Malinowskiemu przychodzić co piątek do spowiedzi, a co niedzielę musiał Malinowski być na obiedzie u księdza Golańskiego i pokazać mu kartkę z odbytej spowiedzi — trwało to lat dwa.

12.

Prawdziwą postacią Mohortowską był Wojciech Nyko, rotmistrz kawaleryi narodowej, który spędziwszy młodość na kresach ukraińskich, w dojrzałym już wieku wziął uczęstnictwo w powstaniu Kościuszkowskiem. Ciężko ranny wpadł w niewolę pruską i zapędzony do Spandau, przykuty do taczki, użyty był do sypania wałów tejże twierdzy. Kiedy Antoni Radziwiłł

miał poślubić księżniczkę pruską Dorotę, zajmujący miejsce sekretarza przy jego ojcu Michale Radziwille, wojewodzie wileńskim, Casimir Delaroche, ojciec Leonardowej Chodźkowej, bardzo lubiany przez księcia Antoniego, wszedł w przeddzień ślubu, dla złożenia hołdu księżniczce Dorocie, do jej pokoju. Był wtenczas u niej brat jej, książę Ferdynand pruski, znakomity twórca nokturnów i znany z rycerskich cnót swoich. Casimir Delaroche, usłyszawszy, jak brat winszował siostrze, że już jutro stanie u celu swych życzeń, zawołał, że to samo słońce, które oświeci szczęście jej narzeczonego, nie zabłyśnie nad głowami kilkuset jego współziomków, zakutych w kajdany w Spandau. Książę Ferdynand wypadł jak piorun z pokoju i w pół godziny wrócił rozpromieniony radością, bo rzuciwszy się do nóg królowi, wyjednał, że w dzień ślubu księżniczki wszyscy oficerowie polscy otrzymają wolność i będą mogli wrócić, każdy w rodzinne swoje strony. Między uwolnionymi był i Nyko, późniejszy plenipotent księcia Adama Czartoryskiego. Miał on po rodzicach wieś dziedziczną na Wołyniu w powiecie włodzimirskim, która po zapędzeniu go w niewolę pruską znajdowała się pod opieką sprawnika ziemskiego. Wówczas nie było konfiskaty majątków drobniejszych właścicieli ziemskich. Cesarzowa Katarzyna kazała zabierać na skarb tylko dobra wielkich panów, którzy, mając majątki w innych częściach Polski, nie chcieli jej przysięgać na wierność. Otóż Nyko wrócił do domu i znalazł swój majątek w ruinie. Zwątpił więc czy będzie go mógł podźwignąć i postanowił nadać włościanom wolność i zostać kapucynem. Kiedy zwołał włościan i to im zapowiedział, otoczyli go ze łzami i oświadczyli, że na to nie pozwolą; że dość już nacierpieli się biedy, nie mając własnego pana, że chyba Bóg niełaskaw, aby oni przy szczerej pracy nie odbudowali folwarku, nie opatrzyli go we wszystkie potrzeby i nie zapewnili swojemu panu uczciwego bytu. Nyko rozrzewniony tą ich prośbą, postanowił dzielić z niemi złą i dobrą dolę i zaczął usilnie pracować. Bóg mu pobłogosławił, ludzie dobrzy, sąsiedzi, względni na wojaka, który za ojczyznę tyle cierpiał, przyszli mu z pomocą. Dom mieszkalny odbudowano, zabudowania gospodarskie stanęły, stajnie i obora napełniły się, słowem folwark Nyki był kwitnącym. W sąsiedztwie jego mieszkała zacna wdowa, podczaszyna Dubiecka, która miała

kilku synów i dwie córki. Pani ta słynęła z rządności i rozumu. Nyko często dom jej odwiedzał, rad gospodarskich zasięgał i najmilej tam swobodne od pracy chwile spędzał. Gdy jednego razu dłużej niż zwykle wieczorem zabawił, uderzyła łuna w okna; Nyko wybiegł na dziedziniec i postrzegł, że pożar dawał się widzieć w stronie jego folwarku. Wpadł na koń i dojechawszy do miejsca postrzegł z rozpaczą, że cały folwark stał się pastwą ognia. Nowy smutek, nowe postanowienie rzucenia świata i zamknięcia się w murach klasztoru; ale i tym razem włościanie na to nie pozwolili. Podczaszyna Dubiecka najtroskliwiej dopomagała mu w doprowadzeniu majątku do dawniejszego bytu. A kiedy wszystko już wróciło do porządku i kiedy raz podeszłemu już w wieku przyjacielowi i sąsiadowi poczęła wymawiać brak ufności w łasce Boskiej: Nyko odpowiedział, że ma słuszność, ale niemniej frasuje go, na co przyda się cała jego praca, kiedy jej ani z kim podzielić, ani komu zostawić nie ma. Wówczas panna podczaszanka Magdalena, 25-letnia panna, prawa ręka matki w domu, oświadczyła, że kiedy zechce się z nią ożenić, ona gotowa jest pomagać mu w pracy; a będzie to dla niej tem milszem, że i od matki prawie się nie oddali i że będą składać jeden dom i wspólną rodzinę. Nyko padł jej do nóg i ofiarę przyjął. Mikołaj Malinowski, będąc nauczycielem trzech młodych Nyków, patrzył na to wzorowe i szczęśliwe małżeństwo. Nyko, po załatwieniu interesów księcia Czartoryskiego w Granowie, wrócił do ojczystego gniazda i w bardzo późnej starości umarł.

13.

Nagórski, bogaty obywatel ze Żmudzi, będąc we Włoszech, zakochał się w pannie Maryi di Neri, Włoszce nadzwyczaj pięknej, lecz ubogiej. Nie chcąc zasmucić matki, która szukała dla syna żony z herbami, nie dbając nawet o pieniądze, Nagórski zostawił ją we Włoszech, dał nauczycielkę i nauczycieli, którzy najpiękniej ją wykształcili i uprzedziwszy matkę, że di Neri pochodzi ze znakomitej rodziny włoskiej, ożenił się z nią i przyjechał do kraju. Pani Nagórska podobała się bardzo panu Michałowi Ogińskiemu, co tak zmartwiło Nagórskiego, że się za-

strzelił. Wdowa jego wyszła wkrótce za Ogińskiego i miała z nim trzy córki i syna Irenego Ogińskiego, który umarł w r. 1863, zostawując z drugiej żony swojej Kalinowskiej (pierwsza żona jego była rodzoną siostrą drugiej) Bohdana i Michała. W najstarszej córce pani Michałowej Ogińskiej, pannie Idzie, która była nadzwyczajnej piękności, kochał się Benedykt Tyszkiewicz; ojciec jego Michał nie życzył sobie tego, a pragnął, ażeby się syn z Wandą Wańkowiczówną ożenił. Otóż przyszedł pewnego razu do pani Ogińskiej, a był to już 60-letni starzec, oświadczył się o rękę panny Idy — dodając, że przyszła żona jego tem się cieszyć powinna, że długo cierpieć nie będzie, a spodziewać się może zapisu. Matka najchętniej na to przystała; przyrzekła hrabiemu przygotować i skłonić córkę. Wielka była rozpacz Benedykta, gdy przyszedłszy raz do pani Ogińskiej, znalazł, że panna Ida, nauczona przez matkę, odparła, że go nigdy nie kochała, że nigdyby za niego za mąż nie poszła. Tknięty tem do żywego, Benedykt pojechał do ojca, powiedział mu, że zgadza się wziąć Wandę Wańkowiczównę za żonę, z czego uszczęśliwiony ojciec przyśpieszył ich ślub, a sam nigdy już nie bywał u pani Ogińskiej, którą bardzo ten figiel rozgniewał. Panna Ida wyszła wkrótce za Kublickiego, drugie jej siostry, jedna była za Karolem Załuskim, a druga pierwej za Brzostowskim, a rozwiódłszy się z nim, wyszła za Wysockiego.

14.

Maciej Tyszkiewicz, prałat katedry wileńskiej, zwiedzając Rukonie, swoje praestimonium, przywitany był przez tamecznego plebana z powodu otrzymania orderu Św. Stanisława następną odą:

1) Kawalerze,
Ty w orderze,
Powiedz, co tu robisz?

2) Order tobie
Ku ozdobie
A ty order zdobisz.

3) Tyszkiewicza
Król policza
Między blizkie swoje.

4) Dał jednemu
Dał drugiemu
Dał synowic dwoje.

15.

W majątku księcia Franciszka Sapiehy znajdowała się ogromna puszcza, która dla tego, że w niej bierze początek rzeka Szczara, nazywała się także Szczarą. Przed wielu laty jakiś pustelnik zbudował w tej puszczy kapliczkę i umieścił w niej niezgrabnie rzeźbiony drewniany posąg Jezusa. Ludzie przypisywali posągowi wiele łask; pielgrzymki włościan zwłaszcza były bardzo częste. O kilka wiorst stamtąd leżała duża wieś Szczara z cerkiewką i parafią unicką. Grunta były nadzwyczaj jałowe, pleban ubogi, a zdarzyło się jeszcze, że około roku 1820 był nim ksiądz mający 8 dzieci. Łatwo sobie wystawić nędzę tego biedaka. Książę Franciszek Sapieha wyjechał właśnie w tym roku za granicę i zwiedzając w Szwajcaryi najpiękniejsze góry i wąwozy alpejskie, przez zerwanie pasów u konia dyszlowego narażony był na niebezpieczeństwo wpadnięcia w przepaść. W przestrachu zawołał: Jezu Chryste Szczarski ratuj! W tej chwili z zakrętu skały wyszło kilku podróżnych, którzy zhukanego konia ujęli i książę został ocalony. Wróciwszy do Dereczyna w kilka tygodni przypomniał sobie ów wypadek. Postanowił więc zwiedzić kapliczkę, w której nigdy nie był i podziękować Panu Jezusowi za cudowne ocalenie. Gdy przyjechał na miejsce, zastał kapliczkę zamkniętą; słudzy ledwie odszukali księdza, książę wszedł i pomodlił się, a powstawszy, obejrzał się w tej nędznej budowli i ze zgorszeniem postrzegł, że posąg P. Jezusa, okryty kurzawą i pajęczyną, był w największem zaniedbaniu. Ostro wymówił to plebanowi, ale ten przyznając się do winy, powiedział księciu, że jest prawdziwym nędzarzem, a pole należące do cerkiewki jest zupełnie nieurodzajnem, że niema czem dźwignąć gospodarki, a obarczony liczną rodziną ledwie wyżyć może. Oto i teraz Mości

książe, mam dwóch starszych chłopców wieźć do Żyrowic, do szkół księży Bazylianów, którzy z miłosierdzia dają mieszkanie i stół biednym dzieciom, ale odziać je, obuć potrzeba, a Bóg widzi, że grosza przy duszy nie mam i serce z żalu pęka, że nie będę mógł wyprawić ich do szkół. Książe Franciszek obiecał mu dopomódz i wróciwszy do domu, do Dereczyna, kazał naładować kilka wozów zbożem i wędliną, a kamerdynerowi zalecił, aby z garderoby wybrał kilka par nie noszących się już sukien i razem z kilkudziesięciu rublami z kasy odesłał do Szczar. Po pewnym czasie wypadało księciu znowu wybrać się w daleką podróż. Pojechał więc do kaplicy szczarskiej, chcąc się poruczyć w opiekę Panu Jezusowi. Ale jakże się zdziwił, kiedy po odsunięciu firanek ujrzał Pana Jezusa ubranego w piękną tyftykową kamizelkę i frak z błyszczącemi guzikami. Dobroduszny ksiądz rozumiał, że takie piękne rzeczy nie mogły być przysłane dla jego chłopców, ale dla ozdoby ołtarza.

16.

Ksiądz Ludwik Trynkowski po ukończeniu nauk w seminaryum dyecezalnem wileńskiem, okazał nadzwyczajne zdolności mówcze. Z początku trzeba było oswoić się z jego twarzą, która wcale nie była brzydką, ale pokryta rażącemi pryszczami. Później pomoc lekarska cokolwiek mu ją wygładziła. Pozostały jednak ślady płci chropawej i chorobliwej. Ale wdzięk i doniosłość głosu, często prawdziwe uniesienie, styl obrazowy, silny, a często szczytny, ruchy szlachetne, a przytem pełne czucia, niekiedy nawet gwałtowności, uderzały w tym mówcy. Rok 1831 był dla niego polem wielkiego popisu. Celował nadewszystko w allegoryach i zręcznem przytaczaniu Pisma Świętego. Księgi Machabeuszów były niewyczerpanem źródłem przytoczeń, a wysoka poezya proroctw Jeremiasza brzmiała często z kazalnicy, jak trąba archanioła. Zachwycające były chwile dla słuchaczów tych kazań. Trynkowski przenikał w głąb duszy mrowiących się w kościele katedralnym a żądnych jego słowa. Liczba wielbicieli jego urosła po kazaniu, na którem głosem poważnym, pełnym i dźwięcznym wyrzekł te dwuznaczne słowa: powstańcie, powstańcie, powstańcie,

a prawie niedosłyszanym głosem dodał: z grzechów waszych. Amen. Władza nie zwracała jeszcze wówczas na to uwagi. Sława Trynkowskiego rosła. Uznano go za wielkiego mówcę i zdawało się, że coraz potężnieć i doskonalić się będzie. Ale widać, że jedna tylko struna drgała w jego duszy; dla spokojnych cnót chrześcijańskich i dla wyższej pobożności, przenoszącej wieczność nad wszystko ziemskie i doczesne, nie miał poczucia. Stąd też w niektórych tylko mowach pogrzebowych dawały się niekiedy widzieć błyski dawniejszej mówczej zdolności. Zwierzchność duchowna nagrodziła go za pracę kaznodziei katedralnego kanonią wileńską, co wówczas stanowiło znaczny dochód. Mowy pogrzebowe opłacały się hojnie, a wkrótce sam Trynkowski wysokie ceny za pracę swoją naznaczał. Zdarzyło się, że w r. 1832 w lipcu z powodu śmierci w Ems hrabiny Witgensztejn (Stefanii Radziwiłłówny) odbywały się wspaniałe egzekwie w katedrze. Po kazaniu prokurator Mikołaj Malinowski posłał mu przez kasyera 300 rs. Trynkowski z oburzeniem, uważając tę ilość za małą, odrzucił ją. Prokurator zawiadomił go, że pieniądze leżeć będą w kasie cztery tygodnie do rozporządzenia księdza Trynkowskiego, a po upływie tego czasu odesłane zostaną jako jałmużna do domu dobroczynności. Dwudziestego siódmego dnia od tego ostrzeżenia ksiądz kanonik po pieniądze przysłał.

Pochwały, pochlebstwa, zwłaszcza niedowarzonej młodzieży i kobiet, zawróciły głowę ulubionemu kaznodziei. Liczba najrozmaitszych stosunków i znajomości codzień się powiększała; wielu skompromitowanych politycznie należało do poufałego jego towarzystwa; to wplątało księdza Trynkowskiego w śledztwa, których wówczas było bez końca. Z powodu sprawy Konarskiego na nowo pociągniony do odpowiedzi i uwięziony, upadł na duchu. Na nieszczęście w zabranych papierach znalazło się mnóstwo listów miłosnych od kilku pań znanych wówczas z płochości. Bezwzględność Trubeckiego sprawiła, że i te panie pociągnięto do badań, i wówczas odkryły się obrzydliwości, krzywdzące nietylko kapłana, ale i młodzieńca najniedoświadczeńszego, opętanego przez namiętność. Dużo było zgorszeń; dawniejsi wielbiciele głośno go potępiali, co dochodziło do niego nawet do więzienia. Im naglej sława jego zabrzmiała, im więcej upajał się pochlebstwami, tem go to cięższej

przywaliło. Splątały się jego władze umysłowe i w chwilach czy gorączki, czy obłąkania zaczął pisać swoje pamiętniki, mające służyć za dowód, że nic przeciw rządowi nie przekroczył. Ale wylał tam tyle mętów rozpustnego i splugawionego życia, że to pismo dobiło go pod względem uczciwości obyczajów, a nawet i sumienia. Była tu w Wilnie jedna z najzacniejszych panien, już nie młoda i nie piękna Róża P......ska, która niewiadomo jakim obłędem pochwycona oddała się księdzu Trynkowskiemu; ale broniła ją od obmowy ludzkiej, długiem przykładnem życiem nabyta, dobra sława. Mogła ona w tajemnicy duszy swej ciężko boleć przed Bogiem, nad upadkiem swoim, ale świat o tem nie wiedział, a szczera pokuta mogła zgładzić winę. Dopiero pismo księdza Trynkowskiego w więzieniu pisane bez żadnej potrzeby, wskutek tylko znarowionej głowy i skażonego serca, wydało na jaw występek rażący swoją niesumiennością. Trubecki, człowiek bezecny, obwoził po całem mieście pamiętnik Trynkowskiego, chcąc nietylko na stan katolickiego duchowieństwa, ale nawet na charakter narodowy rzucić najbrudniejszą plamę. W sercu nieszczęśliwej ofiary musiał jeszcze pozostać wielki skarb miłości, wiary, nadziei, bo uznawszy to objawienie win swoich za karę boską, przyjęła ją z pokorą, nieusprawiedliwiając się; ale życiem pełnem poświęcenia dla brata i jego dziecięcia, pełnem miłosierdzia nad biedną ludnością wiejską, oddaniem całego niemal majątku na dzieła pobożne i ludzkie, usiłowała zasługami uczynić zadość sprawiedliwości boskiej. Największe upokorzenia, a byli ludzie tak okrutni, że ich nie szczędzili dla biednej pokutnicy, przyjmowała z rezygnacyą. Szczęściem, że posiadała piękny talent do malarstwa. Doprowadziła go wysoce i dopóki ręka drżeć nie przestała, a oczy ciągłemi łzami nie przyćmiły się, w malowaniu obrazów treści religijnej szukała jeżeli nie pociechy, to przynajmniej skrócenia czasu długiego dla tych, których serce cierpi, a którzy końca tych cierpień nie przewidują. Trynkowski zhańbione życie zakończył w Permie, dokąd został wygnany.

17.

Stanisław Kostka Potocki był bratem Ignacego Potockiego, jednego z największych obywateli polskich, musiał

urodzić się około roku 1760; przewodnikiem jego młodości był jezuita Grzegorz Piramowicz, jeden z najcnotliwszych i najświatlejszych mężów swego czasu. Obaj Potoccy Stanisław i Ignacy po odbytych podróżach po Europie, pożenili się z księżniczkami Lubomirskiemi, siostrzenicami księcia Adama Czartoryskiego, stąd najbliższe ich związki z Puławami. Stanisław Potocki był obdarzony nadzwyczajną wymową; wyniosła i szykowna postać, piękne i pełne wyrazu oblicze, głos donośny a dźwięczny, zdawały się go wzywać do powodzeń sejmowych. Jakoż około r. 1780 został posłem lubelskim. W owym czasie książe Adam Czartoryski był najgorzej z królem, Potoccy, trzymając się polityki wuja żon swoich, podzielali niechęć do Stanisława Augusta. Zaszły wówczas dwie sprawy, zdolne obudzić najzawziętszną namiętność i rzucić na króla i dom jego ohydę. Pierwszą z nich było uwięzienie przez kapitułę biskupa krakowskiego Kajetana Sołtyka. Mniej z przekonania, niż dla dokuczenia królowi i jego bratu prymasowi, wystąpił na sejmie w obronie uwięzionego Stanisław Potocki. Kilka mów, które z tego powodu powiedział, a które krasomówstwem i gwałtownością porównać się dają z mowami Cycerona przeciw Katylinie, są bez wątpienia najpiękniejsze, jakie w XVIII wieku w Polsce słyszano. Przedmiot był wielki.

Kajetan Sołtyk, pięcioletni więzień w Kałudze, męczennik niezłomnych przekonań i najgorętszej miłości kraju, starzec urodzeniem, wysoką dostojnością w kościele i Rzeczypospolitej zaszczycony, zdawał się być ofiarą intrygi i chciwości prymasa, który, jak fałszywie mu przypisywano, co jednak powszechnie wiarę znalazło, czyhał na zagarnienie dochodów najbogatszego w Polsce biskupstwa. Obrońcą jego był 25-cio letni młodzian głośnego w kraju imienia, wielkiego majątku, a więc wyższy nad wszelkie podejrzenia szukania rozgłosu lub osobistej korzyści. Potomność inaczej tę sprawę osądziła; niewinność króla i jego brata nie ulegają wątpliwości; ale oceniając mowy Potockiego tylko ze stanowiska sztuki, nie można im odmówić sprawiedliwego uwielbienia. Druga sprawa, spółcześnie prawie z brudnej jaskini wylęgła, rzuca na Potockiego cień szkodliwy jego sprawie. W pośród rozprzężenia obyczajów, jakie wówczas w Warszawie panowało, przebywała tam młoda, piękna, ale zepsuta i płocha kobieta, która wyszedłszy za jakiegoś awan-

turnika rosyjskiego Ugrumowa, otworzyła dom swój łatwym miłostkom. Marnotrawstwo nie dozwoliło jej zebrać zapasu na dni niepowodzenia, które z wdziękami niknącemi prędko nadeszły. Wówczas, korzystając z powtarzanych w jej domu opowiadań o nienawiści panującej między królem a Czartoryskim, wymyśliła plan haniebny, z którego spodziewała się zyskać dużo pieniędzy. Oto wezwawszy do siebie Ryxa, kamerdynera królewskiego, odkryła przed nim, że Czartoryski przez Potockiego namawiał ją za wielką nagrodą otruć króla, że nawet dano jej proszek, który powinna była starać się wsypać do napoju wówczas, kiedy ją Stanisław August odwiedzi, co na niesławę tego króla zdarzało się dość często. Ryx uwierzył tej potwarzy i otrzymał od pana swojego rozkaz dostarczenia Ugrumowej pieniędzy, ale pod warunkiem, aby ułatwiła mu sposobność podsłuchania Potockiego, kiedy o tym zamiarze mówić z nią będzie. Kiedy pierwszy krok na tej zbrodniczej drodze udał się tej kobiecie pomyślnie, wezwała do siebie Stanisława Potockiego i wyznała przzd nim, że król przez Ryxa skłaniał ją do otrucia Czartoryskiego. Uwiadomiony o tem jenerał ziem podolskich, miał podobnie przy świadkach podsłuchać Ryxa mówiącego o tem z Ugrumową. Niegodziwa ta kobieta tak zręcznie rzeczy pokierowała, że z przyległego gabinetu Ryx pochwytał urywane wyrazy rozmowy, w której toczyła się rzecz o truciźnie, której król miał stać się ofiarą. Podobnież postąpiła sobie i z Potockim, który z tegoż samego gabinetu w innym dniu podsłuchał Ryxa, mówiącego o truciźnie. Potocki sądził, że uwięzienie Ryxa rzuci światło na tę tajemniczą intrygę i otrzymawszy od teścia swojego Stanisława Lubomirskiego, marszałka wielkiego koronnego, straż i zaczaiwszy się w domu zajmowanym przez Ugrumową, za wymówieniem znowu przez Ryxa kilku słów o truciźnie, pochwycić go i odprowadzić do prochowni kazał. Wnet wieść o zamachu króla na życie Czartoryskiego gruchnęła po Warszawie. Zgorszenie było ogromne. Król nie mógł pozwolić przytłumienia tej sprawy. Wytoczono ją przed sądy marszałkowskie, a chociaż Lubomirski miał nieprzebłagany żal do króla za bałamucenie przed laty jego żony, jednak uczucie sprawiedliwości przemogło, sprawa zbadaną została najsumienniej. Ugrumowa musiała wyznać, że uknuła tę niegodziwą potwarz

przywiedziona do tego niedostatkiem. Zapadł wyrok na wystawienie jej pod pręgierzem i piętnowanie na plecach i zamknięcie na całe życie w twierdzy gdańskiej, zwanej Latarnią. Potocki ze zgryzotą i wstydem, że dał się uwieść tak bezecnej kobiecie, król i Czartoryski z niesławą, że utrzymywali z nią stosunki, wyszli z tej sprawy, lecz nie posłużyło to nawet do pojednania braci ciotecznych, jakimi byli Stanisław August i Adam Czartoryski.

Stanisław Potocki razem z bratem swoim Ignacym należeli do partyi zwanej patryotyczną, a więc przeciwnej dworskiej, która pochylała się na stronę Rosyi. Mowy Stanisława Potockiego na szybko po sobie następujących sejmach podniosły go znowu w mniemaniu narodowem, jako gorącego miłośnika Ojczyzny. Wytrwał on na tej drodze przez cały sejm konstytucyjny, a po upadku kraju schronił się za granicę. Mniej szczęśliwy brat jego Ignacy, wywieziony do Petersburga, w kazamatach twierdzy św. Piotra i Pawła cierpiał, aż dopóki cesarz Paweł nie wrócił mu wolności. Stanisław Potocki cały czas od r. 1794—1806 przepędził w Dreźnie i na podróżach po Francyi i Włoszech. Oddał się wyłącznie naukom i sztukom, a kiedy Napoleon I w moc traktatu tylżyckiego utworzył księstwo warszawskie, Potocki już osobiście przez cesarza Francuzów uznany został ministrem oświecenia i wyznań. Na tym urrędzie wiele zasłużył się krajowi, rozwinął wzorową gorliwość o podniesienie nauk i o pożytek młodzieży. Mowy jego miewane na egzaminach liceum warszawskiego prosto idą do serca i zdolne były rozniecić w młodzieży niezrównany zapał do pracy. Talent mówczy Potockiego ciągle wzrastał, często przemawiał on w najuroczystszych chwilach życia narodu, które wtenczas biło tak potężnym zdrojem. Ale najpiękniejszą z tych mów jest zapewne wyrzeczona w Wilanowie przy poświęceniu pomnika dla poległych Polaków na wojnach toczonych o odzyskanie Ojczyzny. Pózniej Stanisław Potocki został prezesem senatu, a więc pierwszym dostojnikiem nowego królestwa Polskiego. Musiał on złożyć urząd ministerstwa oświecenia i wyznań, bo swobodny pogląd na stosunki kościoła z krajem i tollerancya wywołały niechęć stronnictwa klerykalnego, a przytem jako członek wolno-mularstwa i mistrz wschodu warszawskiego wpadł w niełaskę cesarza. Odtąd poświęcił się ozdobie

Wilanowa, utworzeniu galeryi obrazów, uzupełnieniu biblioteki bogatej i wspieraniu rzeźbiarstwa krajowego pod dłutem Tatarkiewicza. Szkoła sztuk pięknych w Warszawie winna mu swój początek. Gorliwy o rozwój krasomóstwa i sztuk nadobnych wydał dwa dzieła: O wymowie i stylu podług kursu literatury Blaiza i O sztuce u dawnych, czyli Winkelmann polski. W podeszłym już wieku, otoczony poważaniem narodu, umarł dnia 14 września r. 1821.

18.

Aleksander I chcąc po traktacie wiedeńskim wywiązać się z przyrzeczenia, nadania prowincyom polskim rządu narodowego, mianował następnych gubernatorów Polaków: w Wilnie księcia Ksawerego Lubeckiego; w Grodnie jenerała Andrzejkowicza; w Białym Stoku hr. Wołłowicza; na Wołyniu Bartłomieja Giżyckiego; na Podolu Mikołaja Grocholskiego, w Mińsku Kazimierza Sulistrowskiego.

19.

Za Mirkowicza było w Wilnie spokojnie, konfiskaty i prześladowania przekonały publiczność wileńską, że emisaryusze sami giną i innych gubią, nie należała więc do żadnych towarzystw. Każde powstanie polskie, każda klęska nasza, była żniwem dla urzędników rosyjskich. Przy Mirkowiczu więc, który był człowiekiem spokojnym, ale nie daleko widzącym, znudzili się, że niema emisaryuszów i nadziei otrzymania nagród. U Mirkowicza był rządcą kancelaryi Pokrowski, człowiek zły, który bardzo pragnął, żeby nową jaką komisyę złożyć, więc umówiwszy się z pułkownikiem Juferowym, wymyślili zupełny romans, opisali jako istniejący bardzo rozległy spisek, utrzymując, że do niego należeli wszyscy, którzy nie nadskakiwali władzy i nie starali się o względy rządu. To kłamstwo było zręcznie wymyślone; potrafili oni wmówić Mirkowiczowi, że kiedy odrazu, nie dając czasu do porozumienia się spiskowym, kilkuset ludzi rozkaże uwięzić, wtenczas cały plan spisku

zostanie odkryty. Mirkowicz, przerażony obrazem zamachu, mającego wybuchnąć, uwierzył doniesieniu Pokrowskiego i rzeczywiście wydał rozkaz do uwięzień. Działo się to w roku 1838. Cały klasztor domininikański i mury S-o Jańskie napełniły się więźniami. Mianowski, jako profesor akademii medycznej i chirurgicznej w Wilnie, wracał właśnie z zagranicy. Pokrowski rzucił na niego podejrzenie, że tę podróż odbył w zamiarach politycznych. Osadzono go więc w więzieniu, a ponieważ Welk, jego przyjaciel i kolega, rozpoczął czynne starania o uwolnienie, wtrącono i Welka do klasztoru. Rozpoczęto śledztwo, z którego wprawdzie spisku nie odkryto, ale przy zabieraniu papierów i książek znalazło się wiele dawniejszych lub świeżo wydanych zagranicznych polskich dzieł emigracyjnych, a w niektórych listach żale i obelgi na rząd. Poczta odebrała rozkaz otwierać listy, że zaś wówczas filozofia Trentowskiego zajęła głowy młodzieży, która poczęła używać jego wyrazów i tłumaczyć się jego ciemnym językiem, przywieziono do Wilna wielu uczniów polskich z uniwersytetu petersburskiego, moskiewskiego i dorpackiego, sądząc, że język ten jest umówionym i że wszyscy do spisku należą. Przy takiem mnóstwie uwięzionych, ogrom zabranych książek i papierów wymagał do rozpatrzenia długiego czasu i stąd właśnie Pokrowski i Juferów nie mogąc znaleść nic o spisku zaczęli upędzać się za polskim patryotycznym duchem, na którego ślady wszędzie napadali. Do komisyi wileńskiej naznaczony był pułkownik żandarmów Łomaczewski, Rosyanin, człowiek sumienny i obdarzony prawdziwym zdrowym rozsądkiem. Owóż kiedy nastawać począł na Pokrowskiego, aby mu powiedział przyczynę, dlaczego tylu ludzi w więzieniu trzymają, wówczas kiedy najmniejszego nawet śladu niema, aby do spisku należeć mogli, otrzymując tylko wykrętne i naciągane odpowiedzi, postanowił sam niektórych poważniejszych więźniów egzaminować. Rozmowa z Mianowskim przekonała go o zupełnej jego niewinności, napisał więc wprost raport do hrabiego Orłowa, szefa żandarmów i wyraźnie powiedział, że uważa całe postępowanie komisyi za wymysł i chęć oszukania rządu, aby od niego wyłudzić nagrody. Orłow pokazał ten raport cesarzowi Mikołajowi, który przysłał fligel-adjutanta Nazimowa, a ten razem z Łomaczewskim przekonali Mirkowicza, że był oszu-

kanym przez Pokrowskiego. Cesarz przysłał później jenerał-adjutanta Kawelina, który, aby nie kompromitować rządu, wysłał kilkudziesięciu studentów w głąb Rosyi na służbę. Niewinność Mianowskiego i Welka odkryła się najzupełniej. Obaj ci lekarze byli używani przez księżnę Witgensztein i Dołhorukow, które, pojechawszy do Petersburga, wystawiły całą niesprawiedliwość postępowania z ludźmi tak zacnymi i uczonymi. Trafiły do cesarzowej, a ta do męża, który nagradzając tym profesorom doznane przez nich prześladowania, osypał ich rangami i dał pensyę dożywotnią po 1000 rs. Mianowski, po przeniesieniu się tych obu pań do Petersburga, został wezwany tamże na profesora. Wkrótce rad jego używać poczęła księżna Leichtenberska, przez co Mianowski wszedł w sferę arystokratyczną petersburską, co mu później posłużyło do otrzymania posady rektora szkoły głównej w Warszawie. Mianowski jeszcze w Wilnie zaślubił pannę Aleksandrę Becu. W pannie Aleksandrze kochał się też Ludwik Szpicnagiel. Jako zapalony filhelen zamyślał udać się na pomoc wybijającemu się z pod jarzma ludowi, otóż Józef Masalski napisał na niego następny epigramat: Grecya powstała, chwytaj broń Ludwiku, płyń jej na pomoc, w Becuwnej trzewiku. (Panna Becu miała nadzwyczajnie wielkie ręce i nogi).

W tym samym czasie, prawie razem z Mianowskim, uwięziono i Szemesza obywatela i malarza amatora. Rozkochany w filozofii Trentowskiego, pisał jego rogatym stylem listy do krewnych swoich odbywających nauki w moskiewskim uniwersytecie. Przejęta korespondencya dała powód do ich uwięzienia i przywiezienia pod strażą samego Szemesza. Kiedy jenerał-adjutant przybył do Wilna, dla ostatecznego ukończenia tej sprawy tak niebacznie zagajonej, i kiedy przekonał się o niewinności Szemesza, kazał go uwolnić i wezwał do siebie. Kawelin, który już wtenczas musiał mieć początki obłąkania — bo w kilka miesięcy później zupełnie zwaryował — w zapale oratorskim począł Szemeszowi wymawiać jego styl i przedstawił mu, że używanie takiego cudackiego języka naraziło go na takie kłopoty i niebezpieczeństwo. Zapominając się dodał: że Szemesz nie powinien zaprzątać sobie głowy żadnemi mrzonkami, że co umarło, już nie odżywa, a więc i Polska nigdy nie zmartwychwstanie. Szemesz z największą gwałtowno-

ścią tak odparł Kawelinowi: Kto tobie daje jenerale prawo kłaść granice wszechmocności boskiej! Może w tej chwili, kiedy mówimy, Rosya na zawsze zginęła, a Polska wstaje z grobu świetniejsza i potężniejsza, niż kiedykolwiek. Samo z siebie, że Szemesz za tę obronę wszechmocności boskiej wysłany został na wygnanie w głąb Rosyi; Kawelin wrócił do Petersburga i zwaryował, wyprawiono go więc do domu obłąkanych w Rosztoku.

20

Mikołaj z Łęczycy był jezuitą wielkiej świątobliwości, posuwał ją do tego stopnia, że kiedy przechodził przez ogród i dolatywał go zapach kwiatów, natychmiast nos zatykał, żeby nie doznawać w tem przyjemności i nie budzić namiętności. Dziś pamiątka celi, w której mieszkał, znajduje się wmurowana w ścianę jednego z pokojów zajmowanych, obecnie przez redaktora »Kuryera wileńskiego«.

21.

Staszic był synem młynarza, pobierał nauki w szkółce parafialnej. Andrzej Zamojski, kanclerz, zwiedzając tę szkółkę, która znajdowała się w dobrach jego, zwrócił uwagę na Staszica, wziął go z sobą i oddał do Zamościa, do szkoły wyższej zwanej Akademią; tam skończył Staszic nauki, został nauczycielem języka francuskiego i wdział sukienkę zakonną. Wkrótce potem Andrzej Zamojski wziął go na nauczyciela do synów swoich Aleksandra i Stanisława; ale Staszic okazał ogromną zdolność do administracyi dóbr; więc po śmierci kanclerza Zamojskiego jego wdowa wydała plenipotencyę Staszicowi do zarządzania całą fortuną. Testamentem wynagradzając jego pracę i podniesienie dochodów, zapisała mu 60.000 rs. Staszic bawił czas jakiś w Wiedniu, gdyż tam mieszkała pani Zamojska, wrócił potem do kraju i przestał być księdzem. Wkrótce potem wszedł do służby rządowej w wydziale spraw wewnętrznych; zajął się najpilniej dźwignieniem rzemiosł w Warszaszawie i jemu to właśnie Warszawa winna doskonałość swoich rzemieślników. Przez szczęśliwe obroty swego kapitału po-

mnożył fundusz do tego stopnia, że umierając zostawił około 6 milionów złotych. Kupił na własność rozległe dobra Hrubiebieszowskie, darował je włościanom, opisawszy czynsz bardzo umiarkowany. Z dochodów czynszu tego polecił testamentem kupować ciągle dobra przyległe, a nawet i dalsze w Polsce, dla urządzenia ich tymże samym sposobem, tak, aby w nieokreślonym przeciągu czasu największa część ziemi w Polsce mogła przejść na własność ludu wiejskiego. Układ ten wziął cesarz Aleksander I pod swoją i swoich następców opiekę, która prowadzona bardzo porządnie, aż do namiestnictwa księcia Paskiewicza[1]); potem naznaczeni z jego ręki jenerałowie i pułkownicy na administratorów, nieznajomością rzeczy, chciwością i pogardą wszelkich prawideł doprowadzili dobra Hrubieszowskie do ruiny. Staszic prócz tego wymurował dom w Warszawie i darował go Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Lecz rząd w r. 1832 skonfiskował ten dom i umieścił w nim biuro loteryi. Staszic był tak oszczędnym, że na stół swój nigdy więcej nie wydawał, jak 2 złote na dzień. Chodził zwykle w bardzo wytartej sukmanie, nigdy nie najął dorożki, a gdy razu jednego siostra jego przybyła do niego, prosząc o poprawę jej losu, Staszic dowiedziawszy się, że jest żoną młynarza, który trzymał w arendzie młyny, kupił jej młyn na dziedzictwo, radząc, aby nigdy nie wychodziła ze swego stanu. Pogrzeb Staszica, który umarł na początku r. 1830, był nadzwyczaj wspaniały. Cała ludność warszawska towarzyszyła jego orszakowi, a profesorowie i uczniowie zmieniając się z ministrami i senatorami zanieśli trumnę jego do grobu. Staszic w młodości jeszcze swojej przetłumaczył utwór Floryana, autora francuskiego z drugiej połowy XVIII wieku, Numa Pompiliusz, w którym, przy opisaniu sceny pogrzebu króla sabińskiego Tacyusza, Numa jako najbliższy jego krewny powinien był pochodnią zapalić stos, na którym zwłoki króla miały spłonąć. Floryan pisze: *Numa baissa le flambeau et alluma le bucher.* W egzemplarzu z którego Staszic tłumaczył była omyłka drukarska, z *baissa* wypuszczono jedno *s*, młody więc nauczyciel języka francuskiego przetłumaczył: Numa pocałował pochodnię i stos zapalił.

---

[1]) W rękopisie wszędzie to nazwisko pisane jest: Paszkiewicz. (Uw. wyd.).

22.

Adam Łodzia Poniński, podskarbi wielki koronny, zaproponował rządowi, oddać jezuickie majątki szlachcie. Joachim Chreptowicz, kanclerz litewski, opierał się temu najusilniej, wymagając, ażeby majątki te pozostały funduszem edukacyjnym. Sejm konstytucyjny za zdradę kraju odebrał Ponińskiemu nazwisko i majątek i skazał na wieczne wygnanie; ten zaś wyjechał za granicę i nazwał się Adam Toutcourt. Syn jego Kalikst, posądzony o zdradę, że nie pośpieszył z oddziałem na czas pod Maciejowice, sam się oddał pod sąd, lecz ten uznał go niewinnym.

23.

Krążył po Warszawie następny nagrobek żyjącego jeszcze biskupa kijowskiego, Józefa Andrzeja Załuskiego, człowieka ogromnej nauki, ale roztrzepanego, a który wysłany był wraz z biskupem Sołtykiem do Kaługi na wygnanie: *Hic iacet ingenium, Expectat iudicium;* (tu leży głowa, czeka rozsądku).

24.

W roku 1820 na Białej Rusi był ogromny głód. W guberniach tych przy schyłku istnienia Jezuitów, zakon miał tam swoje szkoły, klasztory i dobra. W gubernii litewskiej znajdował się też majątek Aleksandra Wirtemberskiego, brata cesarzowej Maryi Teodorównej, matki Aleksandra I, który właśnie w czasie tego głodu przejeżdżał koło majątku wuja swego, Jezieryszcze. Widząc tłum ludu wynędzniałego i chwiejącego się a który padł przed nim na twarz, zdziwiony cesarz pyta o przyczynę: kiedy mu wszystko wytłómaczono, że biedacy ci umierają z głodu, cesarz zapytał: A czyje wy? — ci zawołali: Jezieryskija — cesarz był trochę głuchym, zwrócił się więc do przyjaciela swego, adjutanta Wołkońskiego, który chcąc ukryć błąd wuja cesarskiego, dbającego mało o dobry byt ludu w ma-

jątkach swoich w Polsce, powtórzył przekręcając na Jezuickija. To tak oburzyło cesarza, że na pierwszej stacyi podpisał rozkaz o wygnanie z Rosyi tego zakonu.

25.

W XVI w. Emanuel Alwarez hiszpan, jezuita, napisał doskonałą gramatykę łacińską, nadzwyczaj obszerną. Jezuici wierząc w doskonałość dzieła sądzili, że najlepiej nauczą dzieci po łacinie, kiedy im całą książkę w głowę wpakują; na co potrzeba ogrom czasu, tak, że mało go zostanie na nabycie i innych wiadomości. Stanisław Konarski, mąż nadzwyczaj światły, widząc bezużyteczną pracę dzieci, napisał sam gramatykę łacińską; lecz ksiądz Jan Bielski, profesor jezuicki, tak się tem oburzył, że obchodząc 250 rocznicę od śmierci Alwareza, która wypadała właśnie w czasie egzaminu rocznego w Kaliszu, ksiądz Bielski wystąpił z mową w obronie Alwara, w której wychwalał urzędników, znajdujących się tam dowodząc, że Alwarowi winni oni swoje wyniesienie, a w zapale dodał, że St. Konarski chce się wsławić przepędzeniem ze szkół Alwara, jak Herostrat spaleniem swiątyni Dyany w Efezie.

26.

Tomasz Ujejski z Wielkiejpolski był podkanclerzym koronnym za panowania Jana Kazimierza i biskupem kijowskim i czernichowskim. Przebywając w Wilnie, uniesiony pobożnością, został Jezuitą. Gdzie dziś koszary św. Ignacego, był dawniej ogromny klasztor jezuicki, nazywający się Dom Profesorów. Był to jak gdyby dom emerytalny dla Jezuitów, którzy pracować nie mogli; a razem odbywał się tam nowicyat, pod dozorem starców, którzy wprawiali młodzież do zakonnych przepisów. Każdego z nowicyuszów dla wypróbowania pokory chrześcijańskiej raz w tygodniu wyprawiano z torbami na żebraninę po rynkach wileńskich. Kiedy ksiądz Ujejski został nowicyarzem, przypadła i na niego kolej żebrania. Ale

znano go dawniej w mieście ze szczodrobliwości i okazałego życia za czasów podkanclerstwa; kiedy więc pokazał się na rynku, przekupki rzuciły się z płaczem, błagając, aby najwięcej zapasów z ich koszów przyjął, tak że w mgnieniu oka napełniły się jego torby, do tego stopnia, że udźwignąć ich nie mógł. Ksiądz Słupski, oficyał wileński, prałat wielkiego znaczenia, przejeżdżał w karecie przez rynek właśnie wtenczas, kiedy ksiądz Ujejski, otoczony płaczącemi przekupkami, prosił ich, ażeby odebrały największą część swoich datków. Wzruszony oficyał wysiadł z karety, przedarł się do księdza Ujejskiego i padłszy mu do nóg, prosił o błogosławieństwo. Po długiem i świątobliwem życiu ksiądz Ujejski umarł w głębokiej starości, otoczony szacunkiem duchowieństwa i mieszkańców Wilna. Kiedy klasztor, w którym Ujejski żył i był pochowanym, zabierano na koszary, znaleziono w sklepach szczątki grzebionych tam osób, a między innemi spruchniałą trumnę księdza Ujejskiego z tablicą cynową, obejmującą krótki nagrobek; ciało zaś jego tak dobrze się przechowało, że uczniowie medycyny zabrali je do swej sali anatomicznej i pomalowali pokostem bronzowym, chcąc go zrobić podobnym do mumii. Ksiądz Herburt był wówczas prałatem Żytomierza; zgorszony, że ciało byłego biskupa, męża tak świątobliwego jest dziś zabawką studencką, sprowadził szczątki jego i wyprawił wspaniały pogrzeb i złożył w grobach biskupich w Żytomierzu.

27.

Ciecis zewski, biskup łucki i żytomirski (krewny Lelewela), żył lat 100. Cesarz Aleksander I nadzwyczaj go szanował i zawsze całował w rękę. Ksiądz ten utrzymywał we wzorowej karności duchowieństwo łuckie; nie mając zaś czasu wglądać we wszystko, zdał to na oficyała biskupa Jana Bożydara Podhorodeńskiego i ten był pilnym przestrzegaczem obyczajów między duchowieństwem. Wydał więc rozporządzenie, ażeby żaden ksiądz, przyjeżdżający do Łucka w interesach swojego dekanatu lub parafii, nie zatrzymywał się gdzieindziej jak po klasztorach, a przełożony klasztorów obowiązany był donosić o jego prowadzeniu się.

28.

Gruber był jenerałem jezuickim za cesarza Pawła, i wyleczywszy szczęśliwie na niebezpieczną chorobę oczu cesarzową Maryę Teodorównę, zjednał najwyższe względy Pawła.

29.

Tomasz Wawrzecki, chorąży wielki litewski, mianowany następcą Kościuszki, był później prezesem komisyi wileńskiej. Był on bratem ciotecznym Wincentego Tyszkiewicza, referendarza litewskiego, który przyjeżdżając do Wilna, zatrzymywał się zwykle w klasztorze OO. Bernardynów; często mając zamiar bawić dłużej w Wilnie, sprowadzał ze wsi Wawrzeckiego. Tyszkiewicz miał zwyczaj przeglądać codzień kalendarz i wyszukiwać imienia znajomych osób. Otóż pewnego dnia w dzień imienin Wawrzeckiego, bawiąc z nim w Wilnie, zawołał zrana sekretarza swego Jundziła, kazał mu pójść na górę do Wawrzeckiego (sam mieszkał u Bernardynów na dole, gdyż nogi miał już słabe) powinszować imienin i złożyć w darze na wiązanie 1.000 czerw. złot. Wawrzecki był ubogi, w porównaniu W. Tyszkiewicza, lecz nie chciał przyjąć pieniędzy. Kiedy Jundził wrócił z oznajmieniem, że p. Tomasz powinszowanie przyjął, lecz o podarunku i słyszeć nie chciał, Tyszkiewicz rozgniewał się, że Wawrzecki pogardził darem brata i przyjaciela, kazał podać sobie szkatułkę, odliczył drugie tysiąc czerwonych złotych i znowu posłał na górę; lecz kiedy i tym razem pieniądze odesłano, Tyszkiewicz dołożył jeszcze tysiąc. Wówczas Wawrzecki nie chcąc, żeby się suma powiększała, lub może pamiętając, że sztuka do trzech razy się udaje, przyjął upominek. Tyszkiewicz był pedantem; słowa nigdy nie złamał, a danego dotrzymał. Lubił nadzwyczaj kołduny; jadł zwykle wiele. Miał siostrę zamężną za Korzenieckim, odwiedzał ją często w jej majątku Doboi, a jak był akuratnym, dość przytoczyć, że kiedy napisze do niej, że przyjedzie o 12, to gdyby przyjechał o 10-ej, stać będzie kilka godzin pod bramą, ażeby tylko o naznaczonej godzinie zajechać pod ganek. Odwiedzając

licznych krewnych swoich, zostawiał im zawsze kilka rulonów złota w darze, lecz nigdy nie wręczał tych pieniędzy zwyczajnym sposobem, a założywszy w tył ręce, w których trzymał rulon, chodził tak po pokoju i gdy zawołał któregokolwiek z dzieci, odwracał się nagle, a oswojony z tem przywołany, brał pieniądze, nie dziękując, gdyż to było najsurowiej zabronione. Żonatym był z rodzoną siostrą księcia Józefa Poniatowskiego, Teresą, która rozstała się z mężem za to, że ten rozcisnął jej szklanne oko. Mieszkała ona potem w Paryżu i tam zaprzyjaźniła się z Taillerandem, który miał stopę zepsutą i trochę kulał. Pewnego dnia, gdy hrabina ukazując paluszkiem na chorę nogę Taillerand a zapytała go: *Comment va mon prince?* ten pokazując wzajemnie na jej szklanne oko odrzekł: *Comme vous voyez, Madame.*

30.

Michał Sobański był bardzo czcigodnym obywatelem powiatu bracławskiego, lecz zdarzył się z nim wypadek nadzwyczaj niemiły. Pewnego razu przyjechał on dość wcześnie, o niezwykłej porze do folwarku, w którym nie mieszkał; zajeżdżając przed dom postrzegł gumna otwarte, mnóstwo snujących się żydów i furmanki, naładowane pełnemi workami. Za zjawieniem się jego, żydzi uciekli, ekonom schował się do konopi, a chłopi powiedzieli, że ich najęto do wywiezienia sprzedanej pszenicy. Sobański widząc, że się tu coś złego święci, kazał chłopom wyszukać ekonoma i przekonawszy się o kradzieży, wyliczył mu na miejscu 15 plag. Oburzony szlachcic udał się ze skargą do cesarza Pawła, który nie wysłuchawszy przeciwnej strony, wydał rozkaz i napisał do gubernatora Czewkina, aby ten zjechał z marszałkiem na miejsce i jeżeli Sobański nie zagodzi ekonoma, aby mu ten nawzajem wyliczył 15 plag. Gubernator przybył do Sobańskiego i ze smutkiem oznajmił mu rozkaz cesarza. Wówczas Sobański zaczął targ ze szlachcicem i dawał mu 3 tysiące dukatów, pragnąc tylko od hańbiących plag się uwolnić. Zacięty szlachcic odrzucił propozycyę. Sobański stopniowo powiększał sumę i dawał mu już nawet 5 tysięcy dukatów; ale zapamiętały ekonom nie chciał

o tem i słyszeć. Nareszcie po dość długim targu oznajmił, że wówczas tylko będzie zaspokojonym, kiedy mu pan Sobański odda folwark ten na dziedziczne władanie. Nie chcąc, ażeby się śmiano z niego, że wolał być obitym, niż zapłacić, pan Michał z żalem oddał majątek złodziejowi. Szlachcic uszczęśliwiony wydał Sobańskiemu kwit, że żadnej do niego pretensyi nie ma, zapomniał zaś takowy uzyskać u Sobańskiego. Po śmierci Pawła Michał Sobański oskarżył go jako złodzieja, żydzi i chłopi przysięgli za świadków i szlachcica wtrącono do więzienia. Prawo było wówczas nadzwyczaj srogie. Za ukradzenie 15 rs. przez szlachcica zsyłano go na Syberyę. Ekonom wiedział o tem, udał się więc z prośbą do Sobańskiego, błagając go o litość. Sobański wytłumaczył mu wówczas, że zrobił to jedynie dla tego, że chciał go przekonać, jak łatwo stracić majątek nabyty nieuczciwym sposobem. Wyjednał potem ułaskawienie ekonoma, wypłacił mu 5 tysięcy dukatów za krzywdę, a majątek pod pozorem wykupna odebrał nazad.

31.

Cesarz Paweł wydawał za mąż córkę swą Aleksandrę za Józefa, arcyksięcia austryackiego, Palatyna węgierskiego i był nadzwyczaj rad z tego związku, gdyż oddawna chciał już połączyć dom swój z jednym z panujących domów, co mu z wielką trudnością przychodziło, gdyż religia stawała na zawadzie. Ponieważ książe był katolikiem, potrzeba więc było brać ślub podwójny; wezwano więc na tę ceremonię księdza Onufrego Kickiego, arcybiskupa lwowskiego, starca nadzwyczaj szanownego, który swym taktem i godnem postępowaniem obudził na dworze rosyjskim poważanie ogólne. Po ślubie arcybiskup miał do młodych prześliczną przemowę po francusku, ta się nadzwyczaj cesarzowi Pawłowi podobała. W czasie ostatniego powstania Kościuszki bardzo wielu poddanych galicyjskich, Polaków, przeszło za granicę Polski, tam wzięto ich w niewolę i wysłano na Syberyę. Kicki wypisał nazwiska wygnańców, a było ich przeszło tysiąc, i będąc pewnym, że cesarz zechce go wynagrodzić, miał zamiar prosić o ich ułaskawienie. Paweł, po skończonej ceremonii ślubu, przedstawił córce swojej, że

powinna podziękować szanownemu arcybiskupowi, że z tak daleka przyjechał, ażeby ich związek błogosławić, że tak śliczną i czułą miał do nich przemowę; i polecił jej razem, ażeby go spytała, czego sobie arcybiskup życzy. Córka wypełniła wolę ojca. Arcybiskup nie tracąc zręczności, która się sama nawinęła, przedstawił jej los biednych wygnańców i z prośbą o ułaskawienie owieczek — oddał jej spory spis wysłanej na Syberyę młodzieży. Paweł, kiedy był z czego nie kontent, miał zwyczaj miauczeć jak kot, i wykrzywiać i tak już szpetną twarz swoją; otóż i teraz, stojąc niedaleko, słyszał wszystko, miauknął więc przerazliwie i wyszedł z gniewem. Arcybiskup postrzegł z żalem, że prośba jego nie wysłuchaną zostanie; wrócił więc smutnie do domu. Nazajutrz przysłał mu cesarz krzyż brylantowy i szubę sobolową. Kicki zabawił dni kilka i chciał już wyjechać, prosił więc marszałka o pożegnalną audyencyę u Pawła. Cesarz kazał mu zabawić jeszcze czas jakiś. Z żalem musiał go usłuchać Kicki, gdyż go te ceremonie męczyły, a zresztą tęskno mu było do swoich. Tak upłynęło 4 tygodnie i nareszcie Paweł raczył mu pozwolić wracać do kraju. Smutny staruszek, otoczony najwyższemi oznakami szacunku, wracał powoli do Lwowa, lecz utrudzały podróż jego ceremonie z jakiemi go na każdej stacyi czekano. Nareszcie wjechał do Lwowa. Na spotkanie jego wyjechał gubernator i znaczniejsi urzędnicy. Ze zdziwieniem postrzegł arcybiskup tłumy ludu — nie miał jeszcze czasu wytłumaczyć sobie, coby to znaczyć miało, gdy go tłum ten otoczył, a gubernator oznajmił mu, że to są ci nieszczęśliwi, o których ułaskawienie on błagał cesarzowej; że dlatego trzymano go tak długo w Petersburgu, iż chciano ich ściągnąć z najoddaleńszych stron Syberyi, co niemało zajęło czasu, a cesarz Paweł pragnął, ażeby za powrotem Kicki znalazł już w kraju owieczki swoje. Dodał przytem gubernator, że cesarz Paweł opatrzył każdego w odzienie i pieniądze. Staruszek ze łzami witał i błogosławił wróconych wygnańców.

32.

Przy dworze Szczęsnego Potockiego mieszkał targowiczanin, brygadyer Grekowski, który miał nadzwyczaj piękną

córkę. Jakiś piszczyk, syn popa, widział ją parę razy i zakochał się w niej, lecz czując, że jako niższy położeniem i prawosławnego wyznania, a przytem syn popa, nigdy nie posiędzie ręki panny Grekowskiej, nabrawszy z kieliszka animuszu, napisał do cesarza Pawła list i posłał go pocztą. W piśmie swojem błagał cesarza o wstawienie się do pana Grekowskiego za nim i córką jego, panną Grekowską, która kocha go wzajemnie, lecz ojciec jej, Polak, nie zgodzi się nigdy wydać ją za prawosławnego, syna popa i wierno-poddanego sługi cesarza. Paweł, nie myśląc długo, napisał do gubernatora ówczesnego kijowskiego list, aby ten wziął piszczyka i pojechał z popem do Grekowskiego do Humania i kazał dać ślub młodym. Gubernator rozkazał pannie Grekowskiej ubrać się do ślubu i stanąć do ołtarza. Ta nie tracąc energii powiedziała, iż w życiu swojem nie widziała tego piszczyka, że cesarz może kazać odebrać jej życie, lecz nigdy nie zmusi ją (sic) wyjść za nieznajomego człowieka za mąż. Gubernator posłał natychmiast do Pawła raport objaśniający rzecz całą. Paweł kazał piszczykowi dać 500 kijów i oddać w sołdaty.

33.

Kiedy Paweł uwolnił Kościuszkę a z nim i innych Polaków, kazał przywołać do siebie brygadyera Deniskę, który cudów waleczności dokazywał. Prosił go więc, ażeby ten się zgodził służyć u niego w tej samej randze. Denisko wymawiał się, że nie zna sztuki wojskowej, że był tylko posłusznym naczelnikowi i umiał tylko komenderować: Nabij — Zabij. Cesarz powiedział, że w jego służbie niczego się więcej wymagać nie będzie, jak nabij i zabij wielu nieprzyjaciół — lecz Denisko nie przyjął tej łaski.

34.

Szczęsny Potocki należał do Targowicy, był nawet marszałkiem tej konfederacyi, nie lubiony był więc za to przez Pawła. Kiedy spieszył z Tulczyna na koronacyę cesarza, Paweł kazał mu oznajmić, że odbiera rangę jenerała *en chef,* którą

mu nadała cesarzowa Katarzyna i że zabrania mu wjazdu do obu stolic. Zmartwiony Szczęsny wrócił do domu i zachorował. Miał w Petersburgu przy dworze syna, też Szczęsnego, który był kamerherem, i chciał z początku go odwołać ze służby, lecz lękając się obrazić cesarza, posłał do niego sztafetę, donosząc tylko o swej chorobie. Szczęsny prosił o uwolnienie go natychmiast do niebezpiecznie chorego ojca; Paweł zgodził się na wyjazd jego, lecz kazał mu jeszcze być na balu dawanym u dworu. Potocki był posłusznym. Włożył na siebie dziwaczny strój kamerherowski, wymyślony przez Pawła, poszedł na bal i stanął pod świecznikiem. Wkrótce zbliżył się ku niemu cesarz, rozmawiał poufale, pytał o zdrowie ojca i odszedł. Szczęsny, nie czekając końca balu, pojechał do siebie, zdjął perukę, trzewiki i inne drobiazgi, służące do skarykaturzenia człowieka, włożył podróżne ubranie, wsiadł do przygotowanego powozu, i pojechał. Kiedy już był w Witebsku, dopędził go feldjeger, wzywając do cesarza. Szczęsny mocno się zatrwożył, gdyż w owe czasy wiele osób wysyłano na Syberyę. W podróżnym ubraniu stanął Potocki przed Pawłem. Ten zadał mu następne pytanie: »Powiedz mi Acan, dlaczego wczoraj na balu lewy twój lok był krótszym od prawego«? Potocki pomyślał chwilkę i odparł: — »Dlatego, Najjaśniejszy Panie, że stojąc pod gorejącym świecznikiem, lewa strona głowy mojej była dalej od światła, kiedym był zaszczycony rozmową Najjaśniejszego Pana, prawa zaś strona narażoną była na działanie ciepła, co rozpuściło pomadę i lok się rozwinął«. — Dobrze, dobrze, znasz Acan fizykę, możesz jechać do ojca i powiedzieć, że mu wracam tytuł i łaskę swoją«.

35.

Kiedy książe Konstanty Pawłowicz robił przegląd nabranych rekrutów z Królestwa, postrzegł, że jeden wysmukły i śliczny mazur śmieje się do rozpuku. »Czego się śmiejesz«, pyta go książe — »Kiedy se boje«, — »Ale nie bój się, »mów« — »Ale bo jasny książe wygląda jak małpa«.

36.

Wielki książe Michał Pawłowicz był dość dowcipnym, udawały mu się szczególniej kalambury. Zwiedzając raz obserwatoryum na pułkowej górze (o kilka mil od Petersburga) prosił ówczesnego dyrektora, sławnego astronoma Struwe, ażeby go odwiedził w Petersburgu. Struwe był kilka razy w Petersburgu, nie ośmielił się jednak, a zresztą i nie miał czasu wypełnić żądanie księcia. Lecz kiedy go razu pewnego książe gdzieś spotkał i znowu przypomniał o przyrzeczeniu i na nowo zaprosił, Struwe za pierwszą swoją bytnością w stolicy wybrał się do księcia. Zdziwił się i zmieszał niezmiernie, gdy w sali znalazł mnóstwo dygnitarzy w gwiazdach i dowiedział się, że to był tabel[1]). Nowy kłopot, gdyż Struwe, nie szukając w kalendarzu dni tabelnych, przyszedł do księcia we fraku trochę wytartym; stał więc zmieszany w kąteczku; gdy w tem wszedł książe, zbliżył się do niego i zaczął poufale rozmawiać. Lecz Struwe tak był zmięszany, że się żadna rozmowa zawiązać nie mogła. Po jego wyjściu dziwili się wszyscy, co się ze Struwem stało, że był jak złapany. »Nic dziwnego, odparł książe — jako astronom zdziwił się Struwe mocno, widząc tyle gwiazd nie na swojem miejscu«.

37.

Zakładając w roku 1811 uniwersytet w Petersburgu, nie chciano sprowadzać profesorów cudzoziemców, lecz starano się znaleść ich pomiędzy Słowianami. Tak więc przywołano Orlaja i Stojkowicza z Rusi Czerwonej. Orlaj został sekretarzem w głównym rządzie szkół. Bazyli Kukolnik, unita, rodem z Karpatów węgierskich, wezwany został na katedrę prawa cywilnego i karnego. Z łatwością wyuczył się po rosyjsku i użyty był do dawania lekcyi prawa Mikołajowi i Michałowi Pawłowiczom. Po nadaniu szkole Jezuitów w Połocku tytułu akademii, wysłany tam został Kukolnik jako wizytator i wziął z sobą syna,

---

[1]) Urzędowe święto (Uw. wyd).

Pawła (dziś prezesa komitetu cenzury w Wilnie). Jezuici, chcąc pochlebić Bazylemu Kukolnikowi, dali 16 letniemu Pawłowi tytuł doktora praw. Bazyli Kukolnik został potem dyrektorem liceum w Nieżynie, założonem hojnością księcia Bezborodki. Paweł pobierał nauki w gimnazyum petersburskiem i był później urzędnikiem w departamencie pocztowym; a kiedy Pelikan został rektorem uniwersytetu wileńskiego, Nowosilców wyrugował z tego zakładu czterech profesorów: Joachima Lelewela profesora historyi powszechnej, Józefa Gołuchowskiego profesora filozofii, Michała Bobrowskiego (oryentalistę, wykładał zaś pismo święte) i Ignacego Daniłowicza, profesora prawa, i poosadzał zajmowane przez nich katedry najniedołężniejszymi nieukami; i tak na miejsce Lelewela wezwano z departamentu pocztowego Pawła Kukolnika, na miejsce Józefa Gołuchowskiego księdza pijara Anioła Dowgirda; na miejsce Michała Bobrowskiego, księdza Gintyło — rozpustnika i intryganta; na miejsce zaś Daniłowicza, — Korewickiego, który wykładając prawo, za każdem słowem powtarzał: cynk człeku«.

38.

Fouché duc d'Otranto był ministrem policyi za Napoleona I. Wiadomo, że po pierwszym powrocie Bourbonów nie tylko nikogo nie prześladowano, ale Fouché, który najwięcej pomagał Taillerandowi do tego, aby senat francuski dekretem swoim złożył z tronu Napoleona I, był wysoko ceniony przez Ludwika XVIII. Fouché, który był naprzemian: księdzem, jakobinem, potem ministrem policyi, osypany przez Napoleona I honorami i dostatkami, wystąpił przeciw niemu, jako wróg najzawziętszy, nie mógł więc posiadać powszechnego szacunku. Najjawniej i w sposób najdotkliwszy dawali mu czuć pogardę swoją wielcy panowie, którzy z Ludwikiem XVIII wrócili z emigracyi, a którzy albo osobiście byli znajomymi księciu d'Otranto, albo znajdowali się z nim w stosunkach w ciągu pobytu swego zagranicą. Fouché, chcąc się pomścić, zbliża się do jednego z takich emigrantów i głośno do niego przemówił: że inni udają, iż mnie nie znają, temu się wcale nie dziwię, ale jak pan hrabia, który odbierałeś odemnie przez lat kilka pensyę za donoszenie

mi o każdym kroku i słowie króla Jegomości, za panowania Napoleona, to mię najmocniej zastanawia. Samo z siebie, że tak zagadniony magnat natychmiast wyjechał z Tuilleries, ale inni lękając się podobnej niedyskrecyi, otoczyli księcia d'Otranto, przypominali się jego znajomości i pamięci i byli niewyczerpani w najczulszej dla niego przyjaźni.

39.

Arystoteles był nauczycielem Aleksandra Wielkiego. Kiedy ten sławny wojownik udawał się do Egiptu i Indyi, Arystoteles prosił go, aby przysyłał mu stamtąd owady, ptaki, zwierzęta, ryby i rośliny dla zbadania całej przyrody. Zgłębiając zaś naturę umysłu ludziego, śledził prawo myślenia, dociekał, skąd się biorą wyobrażenia, w jakim porządku rozwijać się powinny i co czystym rozumem dostępnem jest dla człowieka. Arystoteles pociągał ogromną liczbę uczniów, dla których skreślił rys metafizyki, to jest właśnie filozofii rozumu ludzkiego, ale to pismo, rzucone tylko w pierwszych zarysach, uzupełniały jego ustne objaśnienia. Uczniowie dopełniali je wiadomościami, jakie (!) żywym głosem udzielał im nauczyciel. Ponieważ te noty ludzi młodych i jeszcze niedojrzałych często myśl wielką filozofa przekręcały, powstała stąd gwatwanina tak nierozwikłana, że tylko najusilniejsza praca filologów potrafiła oddzielić to, co Arystoteles napisał, od tego, co uczniowie jego nabredzili. W wiekach średnich po klasztorach metafizyka Arystotelesa była przedmiotem filozoficznej nauki mnichów, którzy jeszcze więcej dziwacznemi wymysłami całą rzecz zmienili. Przez kilkaset lat trzymając się takiego przewodnictwa, nic dziwnego, że tak zwani ówcześni filozofowie zabijali zdrowy rozsądek i uczyli subtelności, które do niczego nie prowadziły, tylko do wyzucia ludzi z odwagi własnego myślenia. Do jakiego stopnia doszło to obłąkanie, dość powiedzieć, że popisano ogromne traktaty *de Nihilo* (o niczem) i (ludzie) suszyli sobie mózgi nad tem, co jest nic; dręczyli umysł, ażeby opisać jego naturę.

40.

Józef de Maistre (ur. w 1753) starał się obudzić ducha religijnego głównie między młodzieżą arystokratyczną. Będąc posłem sardyńskim w Petersburgu, zaczął wpływać na tameczną młodzież i znalazł między niemi wielu zwolenników; nie utrzymywał on, że religia katolicka niezbędną jest dla zbawienia, lecz chciał rzeczywiste pojęcie kościoła i wiary wpoić w tym duchu, że papież jest głową całego świata i najwyższym sędzią tu na ziemi. Dzieło jego *Le Pape* dąży do skoncentrowania głównego kierunku wiary w osobie papieża; ale wykład całej jego filozofii religijnej i politycznej znajduje się w książce tak zwanej: *Soirées de St. Peterbourg*. Hrabia Cavour kazał w czasie wojny Włoch z Austryą przejrzeć raporta jego, pisane do dworu Sardyńskiego, w których najsurowiej gromi całą politykę Austryi. Brat jego Ksawery de Maistre, wsławił się klejnocikiem literackim, jakim jest małe dziełko jego: *Voyage autour de ma chambre*.

41.

Jeden obywatel przez zbieg okoliczności stracił majątek. Dopóki go miał, był w urzędowaniu i piastował godność prezydenta; jak zubożał, przeniósł się do jednego z bogatszych krewnych i był co dawniej nazywano w Polsce rezydentem. Inny znowu, który za czasów Rzeczypospolitej był posłem na sejmie, prowadził się nieszczególnie, ale majątek ocalił. Przyjechawszy raz do owego domu, w którym podupadły jego znajomy przemieszkiwał, powiedział do niego: »Waść wprzódy byłeś prezydentem, a teraz rezydentem« — a ten mu odparł — »Straciliśmy obadwa po pierwszej literze«.

42.

S t a t e k w polskim języku znaczyło dawniej to samo, co dobre prowadzenie się: otóż jeden poważny, ale nie zalecający

się wielką bystrością rozumu jegomość, przysłuchiwając się rozmowie trzpiota zawołał: Co za głowa! gdyby statek! — Co za statek, gdyby głowa! odpowiedział mu ten natychmiast.

43.

O stanie społecznym, umysłowym i obyczajowym kraju po ostatecznym rozbiorze Polski.

Burza 1795 r. przeciągnęła wśród tysiaca klęsk i zniszczeń nad Polską. Kraj północno-zachodni i południowo-zachodni wcielony został do Rosyi. W Grodnie ks. Mikołaj Repnin, od r. 1763 razem z hrabiem (sic) Keyzerlingiem posłujący[1]) w Polsce, przez 30 z górą lat miał zręczność najdokładniej poznać Polskę i jej mieszkańców. Cały skład rządu był mu z gruntu wiadomy; wszyscy ministrowie polscy i litewscy przez tak długi przeciąg czasu zostający z nim w ścisłych, a często poufnych stosunkach, wszyscy senatorowie, posłowie, wojskowi, a nawet prywatni obywatele tak dokładnie pod względem sposobu myślenia, stanu zamożności lub niedostatku, wpływu na współziomków, osobistych cnót lub występków, zalet lub słabości, związków rodzinnych, byli mu znani, że nie podobna było wymienić osoby, o której musiałby wprzód zasięgnąć wiadomości, nimby wyrzekł o niej swoje zdanie: czy pod względem stosunków jej do nowego rządu należało mu jej zaufać lub nie dowierzać. Ks. Repnin był człowiek potężnej głowy. Siostrzan Panina, wtajemniczony przezeń we wszystkie szczegóły polityki rosyjskiej pod kierunkiem Keyzerlinga, jednego z najbieglejszych dyplomatów narodu, któremu służył; w kraju własnym zasługami przodków, szerokiemi pokrewnemi związkami należący do najpierwszych, używał wielkiej powagi i znaczenia. W młodości wszedłszy do wojska pod wodzami, jak Apraksin i Rumiancow, podczas wojny siedmioletniej wyćwiczył się w tym zawodzie, zjednał sobie sławę świetnej, osobistej odwagi i głęszej znajomości sztuki wojennej. Przez urodzenie, majątek, ukształcenie i stanowisko społeczne należał do tego, co się kwiatem towarzystwa zwało. W ciągu rozmaitych podróży po

---

[1]) W rękopisie: posługujący.

Europie oswoił się z wymaganiami wyższej społeczności. Z przyrodzenia wziął postać okazałą, oblicze poważne i piękne, w ciągłych z ludźmi stosunkach nabył wprawy tłumaczenia się ustnie z precyzyą i wdziękiem. Zalotny, hołdujący skłonności wieku, szukał raczej, niż unikał związków z płcią piękną, co go nieraz na trudności, niebezpieczeństwa i żywe nieprzyjaźni narażało. Ale obok tych zewnętrznych, a nawet głębszych przymiotów, szkodziła mu nieposkromiona popędliwość, wybuchy gniewu, w których zapominał często o przyzwoitości, a nawet dopuszczał się okrucieństw, czem psuł nieraz rozumne skąd inąd i odpowiedne okolicznościom pomysły. Długo żyjąc, z miejsc, jakie zajmował, wdany w najrozmaitsze i najdrażliwsze okoliczności, miał częściej zręczność obeznawać się z naturą ludzką z najgorszej jej strony, tak dalece, że nic dziwnego, że pogarda dla ludzi stała się sprężyną działań późniejszego życia. Od młodości przywykły widzieć płaszczących się przed sobą, a zawsze z pobudek nikczemnej dumy lub chciwości, przybrał w obcowaniu ton rozkazujący, który w długiem spełnianiu nieograniczonej władzy zamienił się w nieznośną i niczem nieusprawiedliwioną pychę. Owóż taki człowiek mianowany został przez cesarzową Katarzynę, wnet po wcieleniu Litwy do Rosyi, wielkorządzcą nowo zdobytego kraju. Powiedzieliśmy już, że ks. Repnin znał jak najdokładniej więcej niż od lat 30 kraj i obywateli, którymi miał rządzić, jakoż przez długie lata ambasady swojej w Warszawie rządził niemi rzeczywiście. Sam najlepiej wiedział cały ogrom nieszczęść, jakie przez jego ręce spłynęły na kraj i ludzi, powierzonych teraz jego zarządowi. W trzydziestoletniej walce różnorodnych, a sprzecznych z sobą pierwiastkow, Repnin starał się bezwarunkowo jednemu tylko z nich zapewnić zwycięstwo. Jednakże lubo wygrana ostatecznie została przy nim, nie mógł zataić przed sobą, że często w obozie przeciwników znajdował mężów, którzy wymuszali dla siebie uszanowanie, że w liczbie nękanych przez siebie widywał ludzi, których chętniej nazwałby swymi przyjaciółmi, niż tych, którzy usłużnie mu dopomagali w jego robotach.

Litwa od połączenia z Polską przyjęła tryb republikańskiego rządu w całej rozciągłości. Sejmy i trybunały były instytucyami, w których przymioty umysłu i serca przechodziły przez próbę niezawodną, a tak głośną, że dobre lub złe imię

każdego, co został sędzią lub posłem sejmowym, w krótkim czasie stawało się narodowi znajomem. Od wyroku, jaki mniemanie powszechne wydawało, nie było żadnej apelacyi. Przypadkowe powodzenie, zbieg okoliczności nieprzewidziany, szczęście majątkowe, bądź z obrotów pieniężnych, bądź ze spadkobierstwa lub bogatego ożenienia wypływające, nic to wszystko nie nadwątlało raz wydanego przez mniemanie powszechne wyroku. Kto wyniósł z tej obywatelskiej próby chwałę uczciwości lub piętno hańby, ten niczem już zmyć tego ostatniego nie zdołał, tak jak pierwsza była jego niepożytem dziedzictwem, na potomków spływającem.

Wielu znakomitych obywateli liczyła Litwa w epoce przejścia pod rząd rosyjski. Powiedzieliśmy już, że Repnin znał ich osobiście. Mówiąc tylko o głośnych dziejowych imionach, żyli w 1795 r. Radziwiłłowie: Michał wojewoda wileński, Józef wojewoda trocki, panowie rozległych dóbr na Litwie; w polityce odznaczali się oni zawsze życzliwością dla Rosyi i postępowanie swoje miarkowali instrukcyami, odbieranemi od ambasadorów. Żył Maciej Radziwiłł, kasztelan wileński, mąż znany z cnót i przywiązania do kraju, ale światły, kochający nauki, umiał korzystać ze świeżego przykładu nie dość obmyślanej porywczości narodu, która się tak boleśnie skończyła. Nie należał więc do żadnego z tych rozpaczliwych wysileń, które utratę Ojczyzny jeszcze boleśniejszą i niepowetowańszą uczyniły. Żył Mikołaj Radziwiłł, jenerał porucznik wojsk litewskich, dziedzic na Żyrmunach i innych choć nie tak rozległych dobrach. Żył Dominik Radziwiłł, dziedzic na Annopolu, człowiek słabej głowy, ale skądinąd bez zarzutu; żył Jakób Radziwiłł, dziedzic na Czarnowczycach, we wszystkiem prócz śmieszności podobny do krewnego swego Dominika. Pełen sławy i zasługi dom Sapiehów przedstawiany był przez Franciszka Sapiehę, jenerała artyleryi litewskiej, mianowanego przez cesarzową radcą tajnym; mąż wzniosłej duszy, ale oględny, nie szukający w niebezpiecznej grze z niepokonaną potęgą rozgłosu raczej szaleńca, niż miłośnika kraju. Żył Pac, starosta kowieński, właściciel pięknej i rozległej fortuny, dziedzic bardzo kochanego w Litwie imienia, które stryj jego, starosta Ziołowski, udziałem swoim w konfederacyi barskiej nowym otoczył blaskiem. Żyli dość szeroko rozrodzeni Tyszkiewiczowie, z których Ludwik,

dawniej hetman, później marszałek wielki litewski, a przez Rosyę mianowany rzeczywistym radcą tajnym i ozdobiony orderem św. Andrzeja, znany był Repninowi, jako dostojnik bardzo rozsądny, widokom Rosyi nie przeciwny, a krajowi, jako wzorowy gospodarz, słynący rzetelnością, żywem uczuciem honoru, jako najlepszy sąsiad i współobywatel. Nie założył on rąk po upadku kraju, nie oddał się bezpłodnemu próżniactwu i daremnemu smutkowi, ale chcąc i nadal służyć współobywatelom, przyjął godność marszałka gubernskiego wileńskiego, czem zachęcił i innych, że przez dziedziczną urazę nie odmawiali urzędów, jakie w ręku krajowców rząd rosyjski zgadzał się zostawić. Żył Joachim Litawor Chreptowicz, przedostatni kanclerz litewski, który tyle dla kraju przez myśl ustanowienia komisyi edukacyjnej pożytecznego sprawił, i który w zarządzie dóbr swoich i ustaleniu stosunków dwornych z włościanami dał dowody wysoko pojętych obowiązków ludzkości i zobopólnego pożytku. Żyło wielu innych, otoczonych powszechnem poważaniem, jak np.: Józef Niesiołowski, wojewoda nowogródzki, Dzierzbicki, wojewoda brzesko-litewski, Ludwik Plater, ostatni kanclerz litewski i wielu innych.

Rząd, szanując ich sprawiedliwą boleść, niczem jej nie jątrzył, nie wzbraniał używania dawnych godności, piastowanych za Rzeczypospolitej. Nie wzbraniał noszenia orderów polskich, co jednak pod wpływem innych wyobrażeń rewolucyjnych francuskich, tak dziwnem się wydało Napoleonowi, że kiedy były podskarbi litewski, Michał Kleofas Ogiński, przedstawiał się mu w orderze Orła Białego, nie mógł utaić swego zdziwienia, że cesarz Aleksander I na to pozwalał. Niepodobieństwem byłoby wyliczać cały szereg obywateli zamożnych, zasłużonych, zaszczytnie krajowi znanych, którzy byli ozdobą, radą i przewodnictwem swoich powiatów. Nowa w tym kraju instytucya marszałków powiatowych stała się ogniskiem administracyi wewnętrznej, ogniwem pośredniczem między rządem a stanem szlacheckim, na którym według ówczesnych wyobrażeń głównie oparte było powodzenie i urok tronów.

Duchowieństwo przedstawiane było w nowo połączonym kraju przez 4 biskupstwa: wileńskie, żmudzkie, łuckie i kamienieckie. W Wilnie, po okropnej śmierci biskupa dyecezyalnego ks. Ignacego Massalskiego, była chwila, że myślano

o zupełnem zniesieniu katedry, ale wkrótce zdrowszy namysł przemógł i obmyślano prałata pełnego światła, wzorowych obyczajów i najlepszych dla kraju chęci, podnieść na godność biskupa wileńskiego. Był nim Jan Nepomucen Korwin Kossakowski, nie żaden krewny Kossakowskich litewskich, co mu za zasługę poczytywano. W liczbie prałatów tej katedry zasiadali: biskup ks. Dawid Pilchowski, dawniej jezuita, wzorowy tłumacz Sallustyusza i Seneki, dobroczyńca uczącej się młodzieży; zasiadał ks. Paweł Brzostowski, były referendarz wielkiego księstwa litewskiego, znany z pięknego i na zasadach ludzkości opartego urządzenia dziedzicznych dóbr jego Pawłowa. Po kraju pełno było duchownych, którzy w zawodzie nauczycielskim piękne imię zostawili, albo, pracując nad zbawieniem dusz, byli prawdziwymi ojcami i przewodnikami powierzonej sobie trzody. Wielce przyczyniała się do podniesienia powagi duchowieństwa ta okoliczność, że zgromadzenia zakonów: Pijarów, Bazylianów, Dominikanów, a nawet Bernardynów, Franciszkanów i Trynitarzy utrzymywały wiele i bardzo porządnych szkół, gdzie młodzież brała wychowanie, często nakładem samychże zgromadzeń.

Pierwszem najważniejszem rozporządzeniem spełnionem za wielkorządztwa ks. Repnina, był dokonany popis ludności w całym kraju; popis, który później służył za podstawę tej ważnej statystycznej czynności, stał się urzędowym dowodem praw wszystkich stanów, ogólną ludność kraju składających. Ks. Repnin był doświadczonym i biegłym organizatorem; już na urzędzie jenerał-gubernatora nadbałtyckiego kraju, do którego przyłączone wówczas były pod jeden zarząd gubernie białoruskie, w czasie srożącego się tam głodu dał dowód wielkiej miłości bliźniego, bo nim rząd pośpieszył z pomocą dla ludności dotkniętej nieurodzajem, ks. Repnin z własnego majątku zaradzał naglącym potrzebom. Rozgłos tej dobroczynności zalecił go z najlepszej strony krajowi, który wszedł pod jego zarząd. Wiedząc o tem, że ten zarząd nie mógł być jakimś nowym utworem, ale tylko dalszym ciągiem miejscowego publicznego życia, starał się zaciągnąć do służby cywilnej co największą liczbę ludzi używanych przez rząd dawniejszy, a którzy znajomością interesów, pracowitością i uczciwemi zasadami w polityce i powszednich stosunkach życia dali się poznać z dobrej strony.

Rad był dawniejszych urzędników litewskich używać w jurysdykcyach przez siebie zaprowadzonych. Jeszcze w Warszawie miał ks. Repnin zręczność poznać rejenta asesoryi litewskiej, Tadeusza Kukiewicza. Mianował go prokuratorem gubernialnym wileńskim. Był to urząd zwłaszcza w pierwszych latach nowego bytu kraju niezmiernie ważny. Przy kasach powiatowych pozostawiał po większej części skarbnych, służących jeszcze za Rzeczypospolitej; bo doświadczony był z przekonania o ich poczciwości, dobrej wierze i bezwarunkowem szanowaniu grosza publicznego. Dla pomocy w należytem działaniu administracyi miejscowej, zdawało się ks. Repninowi dogodnem utworzenie osobnych komisyi, na wzór tych, jakie w ostatnich czasach bytu Polski zaprowadzone były pod rozmaitemi nazwami. Tak między innemi z woli księcia Repnina stanęła w Wilnie komisya edukacyjna, której powierzył zarząd szkół i czuwanie nad ogólnym ruchem oświecenia w kraju. Potrzeba tej komisyi zdawała mu się tem widoczniejszą, że patrzał na zdrożne skutki trybu, jakiego chwycił się był wielkorządca części południowo-zachodniego kraju, radca tajny Tutolmin, który czuwanie nad sprawą oświecenia poruczył wprost gubernatorom cywilnym. Ks. Repnin, hołdując wyobrażeniu, że kraj jednym pociągiem piora można zupełnie rosyjskim zrobić, rozkazał, aby tak zarząd policyjny, jakoteż wymiar sprawiedliwości odbywał się nie inaczej, jak w języku rosyjskim; ale potem przekonawszy się, ileby stąd wynikło niedogodności, nie naglił na bezwarunkowe spełnienie tego rozkazu, i owszem skoro cesarz Paweł wstąpił na tron i w administracyi pozwolił na wyzwoleńsze zasady, wnet wróciła miła krajowi instytucya trybunalska, tudzież zwyczaje sądowe i inne, które sama długość ich używania uczyniła krajowi miłemi. W takim stanie rzeczy umysły poczęły wracać do równowagi między uczuciem (sic). Ks. Repnin wolał usunąć wszystkie pytania zapalne i wprowadzić tryb z siebie prosty, niż kusić się o rzeczy niepodobne, do których rzędu należała chęć nagłego wytępienia języka, wyobrażeń i samego nawet pisma polskiego. Pobieżnie wspomnieliśmy o wysokich dostojnikach rządu Stanisława Augusta, widzieliśmy, jak weszli do składu nowej administracyi...

(Tu się rękopis urywa).

Dodatkowa uwaga wydawcy.

Już po wydrukowaniu całej prawie Księgi wspomnień, otrzymałem z prywatnego archiwum dra Józefa Korzeniowskiego, kustosza Biblioteki Uniw. Jag., do przejrzenia parę manuskryptów, przynoszących pewne szczegóły do tak mało znanego życia autora tej Księgi. Jednym z nich jest »Powitanie Józefa Korzeniowskiego przez Mikołaja Malinowskiego na obiedzie, który na przyjęcie znakomitego gościa w Wilnie dał Adam Zawadzki w dniu 2/14 czerwca 1849«. drugim jest list tegoż Zawadzkiego do Józefa Korzeniowskiego, w którym księgarz wileński w ten sposob usprawiedliwia się, że nie zaraz odpisał na list autora Spekulanta: »ten zacny listek Pański nie zastał mię w Wilnie, byłem wtenczas na kuracyi w wodach morskich Lipawskich, następnie żona moja kochana, dostawszy go w ręce w czasie mojej niebytności i sama naczytała się i kilku znajomym pokazała, nim mi go do Lipawy nareszcie odesłała. I tu wszakże w zupełnem władaniu tego drogiego upominku nie byłem, bo sąsiadując z Panią Stanisławową Malinowską, córką naszego uczonego Mikołaja, która tyle żałowała, że podczas pobytu Pana mojego w Wilnie, nie była tu wówczas, iżby go osobiście poznać, musiałem dać listek Pański jej do przepisania i naczytania się i nim mogłem przybrać się do odpisania i czas wyjazdu z Lipawy nastąpił«.

Z tego listu dowiadujemy się, o czem z pamiętników Malinowskiego dowiedzieć się nie można było, że był on żonaty (czy z Guttówną?) i miał córkę wydaną także za jakiegoś Malinowskiego.

INDEKS

(Liczby oznaczają stronice).

OMYŁKI DRUKU.

Na str. 2 w. 21 z góry po słowach »a także« opuszczono: »był«.
Na str. 4 wiersz 4 z góry zamiast 1824 czytaj 1828.


ACADEMIA · LITTERARUM · CRACOVIENSIS


LIBRARY OF CONGRESS
0 018 459 817 6